KATASTROFA W SŁUŻBIE ZDROWIA

POLAKU, LECZ SIĘ CZARODZIEJSKĄ RÓŻDŻKĄ!

JACEK PIEKARA BEZ ŚCIEMNIANIA O POLSKIEJ POLITYCE

WYBORY, JAKICH NIGDY NIE BYŁO I DŁUGO NIE BĘDZIE

JAKIEGO POKOJU NA UKRAINIE CHCIAŁBY ZACHÓD I CO TO DLA NAS OZNACZA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

44 (622) 2024
28 X – 3 XI 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

WŁADZA OSZUKAŁA POWODZIAN

NAJPIERW ZALAŁA ICH WODA, TERAZ PROPAGANDA, BIUROKRACJA, SKĄPSTWO I NIEUDOLNOŚĆ RZĄDU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 4 XI 2024 r.

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl c67ab20c39

Presja ma sens

Ponadsiedmiomiesięczne aresztowe piekło nareszcie się kończy. Decyzją Sądu Apelacyjnego ks. Michał Olszewski oraz urzędniczki resortu sprawiedliwości Urszula D. i Karolina K. mogą wyjść na wolność po wpłaceniu przez każde z nich kaucji w wysokości 350 tys. zł. „Sąd nie zauważył żadnych podstaw, by trzymać tych ludzi w izolacji. Uznał, że materiał dowodowy jest już zebrany i mogą się bronić z wolnej stopy" – powiedział mecenas Krzysztof Wąsowski.

Wiemy jednak, że przesłuchania nie były prowadzone przez długie miesiące. Po co więc ich przetrzymywano? Dlaczego zdecydowano się na spektakularne zatrzymanie ks. Michała Olszewskiego w Wielki Czwartek, święto wszystkich kapłanów? Dlaczego skuto go jak najcięższego przestępcę i zaserwowano mu „60 godzin piekła"? Dlaczego niekarane wcześniej urzędniczki doprowadzano w kajdankach, a potem upokarzano i dręczono? Dlaczego całą trójkę traktowano z takim okrucieństwem? Bo nie chodziło tylko o nich. Zastosowana w ich przypadku bezwzględna i bezduszna procedura aresztowa miała być procedurą pokazową. Miała ich złamać, pozwolić na wydobycie oczekiwanych zeznań w sprawie Funduszu Sprawiedliwości i otworzyć drogę do dalszych aresztowań w ramach pakietu programowego „Zemsta+".

Przypomnijmy, że wszyscy troje osadzeni mogli być na wolności już od dwóch miesięcy. 31 lipca Sąd Apelacyjny w Warszawie zdecydował o skróceniu aresztu do 31 sierpnia. Neo-Prokuratura Krajowa, aby uzasadnić konieczność ich przetrzymywania, postawiła nowe zarzuty, którymi miał być udział w tzw. grupie przestępczej. Mecenas Skwarzyński, obrońca ks. Olszewskiego, nazwał je „sztucznymi i fikcyjnymi, sprzecznymi albo z prawem Unii Europejskiej, albo ze zdrowym rozsądkiem". Można mieć pewność, że gdyby neoprokuratura miała jakikolwiek ruch, by zatrzymać osadzonych w areszcie, zrobiłaby to i tym razem.

W tym momencie ks. Michał oraz obie urzędniczki mogą jednak skorzystać na wolności z „domniemania niewinności". Choć nie w pełni. Bo przecież mimo że ich proces *de facto* jeszcze nie ruszył, spędzili w areszcie ponad pół roku i są przedstawiani przez ludzi Donalda Tuska oraz sprzyjające im media jako przestępcy. Największemu atakowi został poddany ks. Olszewski, i to już wiele miesięcy wcześniej. Do dziś niektórzy politycy powielają kłamliwe plotki o jego zatrzymaniu czy działalności duszpasterskiej. Próbowano go medialnie zohydzić, zniszczyć, upodlić, oblepić najgorszą nieprawdą. Wszystko po to, by nikt nie chciał się za nim ująć. By nikt nie chciał go bronić. By wreszcie jego przypadek rzutował negatywnie na wszystkich księży, a opinia publiczna uznała nową, niepisaną doktrynę koalicji rządzącej, według której każda współpraca państwa z Kościołem jest przestępstwem. A jednak perfidny plan się nie powiódł.

Nie udało się złamać ani ks. Michała, ani urzędniczek. Nie zaczęli oni zeznawać tak, jak oczekiwaliby tego neoprokuratorzy. Nie udało się także zdominować opinii publicznej przekazem rządowo-prokuratorskim. Ludzie zażądali prawa do sprawiedliwego procesu. W tych żądaniach zaczęli się coraz silniej jednoczyć. Osią tego zjednoczenia była modlitwa, wokół której zawiązywała się coraz mocniejsza wspólnota i głęboka więź pomiędzy osadzonymi a wspierającymi ich ludźmi. I chyba takiej wspólnoty najbardziej boją się wszelkie struktury antywolnościowe. Listy, poręczenia, manifestacje, aż wreszcie protest głodowy byłych działaczy antykomunistycznych – wszystko to zbudowało front jedności przeciwko bezprawiu, łamaniu praworządności i prześladowaniu katolików.

Kolejny raz okazało się, że społeczna presja ma sens. Nastąpił przełom, który niesie nadzieję na zatrzymanie galopującej dewastacji państwa, jakiej dopuszcza się koalicja 13 grudnia. Jeśli opór nie będzie stanowczy, pójdą znacznie dalej – w niszczenie rodziny, demontaż tożsamości, usuwanie Kościoła z przestrzeni publicznej, likwidowanie katolickich mediów i instytucji. Ten plan jest precyzyjnie rozpisany. Ale nadal istnieje siła, by go zatrzymać. Zjednoczenie, którego doświadczamy ostatnio, jest tego dowodem.

Marzena Nykiel

Autopromocja

SIECI spis treści

31 Zakusy na 800+
Piotr Gursztyn

50 Wielki zjazd pod okiem Putina
Jan Rokita

65 Nie czas umierać, 007
Piotr Ostrowski

NA POCZĄTEK

5 DEMOKRACJA, CZYLI FASZYZM
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 PLAJTUJĄCE PAŃSTWO
Jan Pietrzak

9 OSTATNI DZWONEK DLA POLSKIEJ EDUKACJI
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 OGRYWALI GO I OGRYWAJĄ – ZIELONY ŁAD TO TYLKO POCZĄTEK
Daniel Obajtek

13 URATOWAĆ EUROPĘ
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA MAŁGOSI RETKOWSKIEJ
Michał Korsun

16 LĘKI TUSKA
Samuel Pereira

16 IGNOROWANIE WŁASNEJ ROLI TO KROK DO KATASTROFY
Arkadiusz Mularczyk

17 A JEGO IMIĘ 49
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 POMOC WCIĄŻ W PLANACH
Marek Pyza

KRAJ

25 POLAKU, LECZ SIĘ CZARODZIEJSKĄ RÓŻDŻKĄ!
Konrad Kołodziejski

28 WARIANT: SIKORSKI
Stanisław Janecki

31 ZAKUSY NA 800+
Piotr Gursztyn

OPINIE

34 WYBORCY PLATFORMY SĄ JAK Z POWIEŚCI ORWELLA
Z Jackiem Piekarą rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

38 KWIAT LOTOSU I BESTIA NA OSTATNIEJ PROSTEJ
Dariusz Matuszak

41 JAK ZACHÓD CHCIAŁBY NEGOCJOWAĆ POKÓJ NA UKRAINIE
Marek Budzisz

44 NA KOSZT SĄSIADÓW
Aleksandra Rybińska

46 MOBOKRACJA PO ALBAŃSKU
Z Salim Berishą rozmawia Goran Andrijanić

48 MUZEUM DUSZ CZYŚĆCOWYCH
Grzegorz Górny

50 WIELKI ZJAZD POD OKIEM PUTINA
Jan Rokita

SIECI KULTURY

53 POZA SKALĄ
Jolanta Gajda-Zadworna

56 HERBERT NEUTRALIZOWANY
Maciej Walaszczyk

58 I MY ODPUSZCZAMY
Robert Tekieli

59 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

60 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

62 WYKLĘTY RZEŹBIARZ WRACA DO POLSKI
Stanisław Płużański

POZA HORYZONTEM

65 NIE CZAS UMIERAĆ, 007
Piotr Ostrowski

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: KLAUDIA CARLOS
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 ZMAGANIA Z TRZECIĄ WŁADZĄ
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 KŁAMSTWO W PEŁNEJ PODAŻY
Aleksander Nalaskowski

73 JAK ZACHÓD MOSKWĘ BOJKOTOWAŁ
Ryszard Czarnecki

74 KUPA MIĘSA NIE RAZI SZTUCZNEJ INTELIGENCJI
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl c67ab20c39

BRONISŁAW WILDSTEIN

Demokracja, czyli faszyzm

Przed kolejnymi wyborami, w których startuje Donald Trump, warto przypomnieć sobie opinie amerykańskich (i światowych) mediów oraz ośrodków opiniotwórczych z kampanii wyborczej 2016 r. Najbardziej uznane umysły i pióra głosiły, że zwycięstwo Trumpa stanowić będzie katastrofę planetarną. Proroctwa te nie były spójne i przeczyły sobie nawzajem, ale jedno wynikało z nich niezbicie: prezydentura ekscentrycznego biznesmena to załamanie się USA i prawdopodobnie całego Zachodu.

W skali międzynarodowej oznaczać miała ona totalną destabilizację, przegraną przez Stany wojnę albo amerykański izolacjonizm, który pozostawi świat na pastwę agresywnych tyranów. Wewnątrz kraju miało być to rozmontowanie mechanizmów demokracji, koniec państwa prawa i gospodarczy krach.

Nic z tych diagnoz się nie sprawdziło. Bilans prezydentury Trumpa jest pozytywny. To rozwój gospodarczy Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza w porównaniu z Europą, i stabilizacja jej międzynarodowej pozycji. Skuteczne blokowanie imperialnych apetytów Chin i Rosji. Obłożenie sankcjami, a więc powstrzymanie budowy Nord Streamu. Z perspektywy Polski szczególne znaczenie miało wzmocnienie wschodniej flanki NATO, a więc i roli naszego kraju, oraz generalnie odejście od akceptacji Niemiec jako hegemona UE, co otwierało przed nami perspektywy realnej, europejskiej polityki.

Joe Biden to katastrofalna rejterada z Afganistanu i wycofanie się z blokady rosyjsko-niemieckiego gazociągu, co zachęciło Putina do agresji na Ukrainę. W wewnętrznej polityce to ustępstwa przed lewicowymi radykałami w rodzaju BLM i „woke" z wszystkimi tego ponurymi konsekwencjami.

Nie chcę dokonywać tu bilansu obu prezydentur. Chodzi o fakty, których nikt nie może kwestionować, czyli o radykalny fałsz liberalnych projekcji na temat prezydentury Trumpa. W przeciwieństwie do Donalda Tuska nie odrzucał on niekorzystnych dla siebie werdyktów wymiaru sprawiedliwości – to, że je krytykował, to prawo każdego obywatela w demokracji. Narzekał, ale znosił permanentny ostrzał dominujących mediów. Kwestionował przebieg wyborów w 2020 r., do czego miał realne podstawy, ale nie wzywał do przeciwstawienia się siłą ich wyrokom. Wszystko wskazuje, że sławetny „szturm na Kapitol" był prowokacją jego wrogów, a groźny był wyłącznie dla szturmujących. Trump nie miał z nim nic wspólnego.

Czy chociaż jeden z „autorytetów" głoszących, że prezydentura Trumpa będzie apokalipsą, rozliczył się ze swoich absurdalnych i oszczerczych sądów? Skądże. Dziś ci sami ludzie powtarzają to samo w jeszcze bardziej alarmistycznym tonie.

W Polsce Adam Michnik grzmi: „zwycięstwo Trumpa może mieć takie skutki jak dojście Hitlera do władzy" i dodaje: „zawsze mówiłem, że reżim PiS to »putinizm po polsku«. Teraz mogę powiedzieć ostrzej: to jest faszyzm w stylu Mussoliniego. Faszyzm z ludzką twarzą Andrzeja Dudy".

Zawsze protestowałem przeciw interpretacji działań Michnika w świetle jego młodzieńczej lewicowości. Nie miałem racji. Okazuje się, że raz bolszewik – zawsze bolszewik, w każdym razie w tym wypadku.

Rekordy w kłamstwie i manipulacji bije Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego, polskiego szefa MSZ. Stanowisko męża powinno zobowiązywać ją do milczenia, no, ale są to standardy cywilizacji, od której liberalizm nas wyzwala. Oto próbka owej publicystki: „Nawołując do masowej przemocy, daje do zrozumienia, że żywi podziw dla tych dyktatur (Hitlera, Stalina, Pol Pota, Mao), ale także demonstruje pogardę dla rządów prawa i przygotowuje swoich zwolenników do zaakceptowania idei, że jego reżim może podobnie jak jego poprzednicy, łamać prawo bezkarnie".

Trump nie nawołuje do przemocy, a przytoczony wywód jest przykładem liberalnej równi pochyłej, która wywodzi, że każdy, kto ma ideały, jest totalitarystą, ale Applebaum jest liberalnym autorytetem i jako taka jest bezkarna.

Od zawsze powtarzam, że żyjemy w świecie na opak, w którym nienawistnicy aktywność swoją nazywają walką z nienawiścią, a kłamcy nie ominą okazji, aby pochwalić się swoimi bojami o prawdę. Wskazuje to już nie na afiliacje, ale wręcz zlanie się komunizmu z liberalizmem. Wprawdzie „Wyborcza" nie nazywa się „Prawdą", ale już jej telewizyjny odpowiednik głosi „całą prawdę całą dobę".

Prawda potrafi jednak przecisnąć się nawet przez najbardziej szczelny bełkot.

Znowu Applebaum: „Jeśli ludzie są w stanie oddać głos na kogoś takiego jak Trump, który jest ewidentnie debilem [...], lub Dudę, który bredzi o Unii Europejskiej, wtedy trzeba zapytać, po pierwsze, czy demokracja jest możliwa, i po drugie, czy jest potrzebna"

Z pewnością nie jest potrzebna środowisku Applebaum i Michnika. Im wystarczy demokracja liberalna.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c67ab20c39

Sygnalista nadaje

Pamiętacie, jak ***Donald Tusk*** zapowiedział, że w Europie nikt go nie ogra? I co? I nikt nie ograł premiera, którego zesłał nam dobry los (copyright by Janusz Rolicki). Zwłaszcza w Berlinie, do którego Tusk nie pojechał na spotkanie z Joe Bidenem, Olafem Scholzem i jeszcze jakimiś dwoma zagranicznikami. PiS-owcy mówią, że to dlatego, że Scholz nie zaprosił Tuska. No i co z tego? Pan premier był już w Berlinie wiele razy, więc po co miał jechać kolejny raz? Po to, aby ktoś go tam ograł? Poza tym spotkanie było w piątek, a weekendy (pan premier zaczyna je w czwartek) są zarezerwowane na pobyt w Sopocie. Zresztą pełna obietnica złożona w exposé przez Donalda Tuska brzmiała: „Mnie w Europie nikt nie ogra. Nowa koalicja gwarantuje, że wrócimy na miejsce należne Polsce" – powiedział 13 grudnia roku pamiętnego. Wszystko się zgadza. Polska, ta uśmiechnięta, wróciła na należne jej miejsce.

Widać zresztą, że brak zaproszenia do Berlina nie zdenerwowało premiera, bo Donald wcale się nie wściekł. Gdyby było inaczej, od razu kazałby aresztować jakiegoś PiS-owca, i to z hukiem. Albo wysłałby zbrojne hufce, by szturmowały NBP i pruły szafy pancerne w Trybunale Konstytucyjnym. Zawsze tak robił, gdy się wściekł. A tu nic. Znamy odpowiedź. Otóż to dlatego, że dzisiejsze Niemcy to kraj upadły. Nie jest to już moralne mocarstwo Angeli Merkel. Nie ma już Muti, panuje za to tradycyjne pruskie chamstwo, które bardzo dopiekło literatowi o nazwisku Dehnel (wbrew pozorom to osoba polskojęzyczna i z paszportem RP). Literat Dehnel postanowił porzucić Niemcy z powodu braku uprzejmości wobec niego oraz zepsutych automatów na monety (wyjaśnijmy młodszemu pokoleniu, że dawno temu w Polsce też takie były, zanim pojawiły się na karty płatnicze). Rzeczywiście, stosunki między Warszawą (a dokładniej Sopotem) a Berlinem są bardzo napięte, i to do tego stopnia, że nawet Paweł Kowal skrytykował zachowanie Niemców.

Adam Michnik ostrzega ludzkość: zwycięstwo Trumpa będzie tym samym, co dojście Hitlera do władzy. Niestety ludzkość jest głucha na wezwania autorytetów moralnych, nawet tak wielkich jak Adam Michnik. Być może dlatego, że jego apel był zbyt słaby. Nie robią już wrażenia porównania z Hitlerem, jakimś kontrowersyjnym, nieco już zapomnianym niemieckim politykiem austriackiego pochodzenia. Gdyby jednak Michnik powiedział światu, że Trump jest prawie tak zły jak Kaczyński? To by zadziałało! Czy Adamowi Michnikowi nie zabraknie odwagi, aby wykrzyczeć tę straszną prawdę?

Nie wszyscy w uśmiechniętej Polsce doceniają słuszną linię partii i jej przywódcy. W tygodniku „Polityka" znów marudzenie: „Tusk ponosi koszt tamtego wzmożenia, bo po takim, dla wielu wręcz pokoleniowym, przeżyciu spodziewano się rządów wielkich, równie przełomowych jak sam akt 15 października, wręcz cywilizacyjnej zmiany. A wyborcy dostali rządy przeciętne, rutynowe, zbyt banalne jak na rozbudzone aspiracje. Ponadto Tusk, który dawał w przeszłości dowody, że to potrafi, od dawna nie opowiada rzeczywistości w szerszym planie, także moralnym i aksjologicznym, nie tłumaczy, w jakim punkcie znajduje się jego polityka, jakie są kolejne cele. Jakby wierzył, że wszystko jest oczywiste, ale wyraźnie nie jest. Ogranicza się do próśb, aby się nie niecierpliwić, zaufać, dać mu czas i szanse" – narzeka naczelny maruda dawnego organu KC PZPR Mariusz Janicki. Panie, jeśli coś się panu nie podoba, to idź pan do sklepu z Tuskami i kup sobie lepszego Tuska!

Jeśli zaś chodzi o inne placówki handlowe, to jest problem z zakupami w sklepie z ekspertyzami prawnymi. Oferta tam bardzo szeroka, za

eprasa.pl c67ab20c39

odpowiednie pieniądze można kupić dowolną opinię napisaną przez najsłynniejszych w Polsce profesorów prawa. Niestety problemy zaczynają się, gdy ktoś próbuje oszczędzać i kupuje tańsze, anonimowe wersje. To przytrafiło się prokuraturze, która nabyła ekspertyzy potrzebne jej do aresztowania posła Marcina Romanowskiego. Bodnarowscy prokuratorzy (neo-, pseudo-, post-, anty-, każdy z tych przedrostków pasuje, wstawiamy je zgodnie z własnym gustem) kupili anonimowe ekspertyzy, niepodpisane przez żaden wybitny umysł prawniczy. Efektem było to, że z powodu braku podpisów sąd odrzucił wniosek prokuratury o aresztowanie Romanowskiego. Tamten wniosek upadł, a nasz jest następujący: ludzi ubogich nie stać na rzeczy tanie. Zwłaszcza gdy są ubodzy na umyśle.

Wybiegnijmy nieco w przyszłość. Oczami wyobraźni spójrzmy na piękną uroczystość, która odbędzie się za rok, może dwa lata. Główna sala w siedzibie PiS na Nowogrodzkiej. Pięknie udekorowana, girlandy na ścianach, z boku czekają kelnerzy z szampanem. Na środku stoi Jarosław Kaczyński z wielkim bukietem biało-czerwonych róż. Wzruszony podchodzi do skromnej kobiety, która jest bohaterką tego spotkania. – Paulino, nasza wdzięczność wobec ciebie nie ma granic. Gdyby nie ty, Polską nadal by rządził Tusk – mówi łamiącym się głosem Kaczyński. – Panie prezesie, melduję wykonanie zadania – odpowiada żołnierskim tonem ***Paulina Hennig-Kloska***, agent numer 002 Prawa i Sprawiedliwości.

PiS-owska Mata Hari (nigdy nie zdekonspirowana) wślizgnęła się w szeregi rządu Tuska, udając zwykłą idiotkę. Mówiła jak idiotka, zachowywała się jak idiotka, tak że wszyscy uwierzyli, że nią jest. Pamiętna jest data 22 października 2024 r., gdy publicznie powiedziała, iż załamanie handlu detalicznego to dobra wiadomość. „Ludzie rezygnują z zakupów rzeczy, które nie są pierwszej potrzeby, zwłaszcza tekstyliów, i to bardzo dobrze dla klimatu" – powiedziała jako minister klimatu w rządzie Tuska. Mówiła więcej takich głupot, które szły na konto koalicji. Jawną dywersją były jej działania w sprawie opłat za energię. Długo można opisywać jej agenturalną działalność. Finał znamy – bukiet róż od Jarosława Kaczyńskiego.

Pytacie, dlaczego Hennig-Kloska jest agentką PiS o numerze dopiero 002. Bo numer wyższy – 001 – mimo wszystko ma minister zdrowia Izabela Leszczyna. Widać, że dostała z Nowogrodzkiej to same zadanie i stosuje podobne metody skompromitowania rządu uśmiechniętej Polski. Z dokładniejszymi ocenami trzeba jednak poczekać do zimy, gdy kraj – ten uśmiechnięty i nieuśmiechnięty – dostanie kataru, grypy i przeziębienia. Sabotaż PiS-owskiej agentki Leszczyny doprowadzi do tego, że cała ta – *nomen omen* – zakichana uśmiechnięta Polska odbije się od gigantycznych kolejek w przychodniach zdrowia. No i przeciwko komu skieruje swój gniew?

Dekonspirujemy kolejnych PiS-owskich agentów. ***Dariusz Wieczorek*** – minister nauki, szczecinianin, społecznik, samorządowiec, polityk lewicy. To wersja oficjalna. Prawdziwa twarz to agent Nowogrodzkiej numer 003. To on wyrzucał z posad naukowców, którzy 15 października głosowali za uśmiechniętą Polską, bo nie chcieli brać więcej pieniędzy od Przemysława Czarnka. To on próbował zatopić Oceanię, aby pokazać, że takie statki mogą pływać tylko za rządów PiS, a nie Donalda Tuska. To on dał się nagrać – niby bez jego wiedzy – jak szantażował prof. Kopkę. Wreszcie argument ostateczny: wiceministrem u niego jest Maciej Gdula, kolejny PiS-owski sabotażysta, który każdym swoim czynem i słowem przybliża dzień powrotu prawicy do władzy. To szachy 5D agentów z Nowogrodzkiej.

Wrogą agenturę ma też w ratuszu Rafał Trzaskowski. Tym razem nie z Nowogrodzkiej. To swoi mu bruździą, bo uważają, że przyszły prezydent Polski powinien być z Sopotu albo z Chobielina, ale nie z warszawskiego Powiśla (choć dobrze się tam mieszka, co mogą potwierdzić państwo Myrcha-Gajewscy). Najpierw ci swoi pozdejmowali krzyże z urzędów. Rafałowi nawet się to spodobało, ale potem przyszła refleksja, że wybory prezydenckie wygrywa się nie w Warszawie, lecz w Końskich, a tam laicyzacja na razie słabo działa. Z tego powodu Rafał wydał jasny nakaz: gdy tylko przyjdzie wniosek o zgodę na urządzenie Marszu Niepodległości, to od razu zezwolić, nie przeszkadzać, nie dawać powodów do ataku. Dobrze wiemy, co się potem wydarzyło. Rafał sam musiał wszystko odkręcać. Do pomocy nie było chętnych, zaś w Sopocie i Chobielinie śmiechom nie było końca.

Fiesta na lewicy. Złośliwi mówią, że to miara politycznej skuteczności lewej strony koalicji, ale czy trzeba ich słuchać? Otóż lewica cieszy się szczerą, dziecięcą radością, gdyż udało się ogłosić projekt ustawy o związkach partnerskich. Nie chodzi o przegłosowanie, nie chodzi o wejście ustawy w życie. Na to zresztą nie ma szans, o czym stale powtarza znudzony tą sprawą Marek Sawicki z PSL. Mimo to piękne, że lewica potrafi radować się z małego. W dzisiejszym zachłannym świecie to rzadkość.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Liudmyla Kazakova

eprasa.pl c67ab20c39

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Plajtujące państwo

Jan Pietrzak

Trwa awantura o Marsz Niepodległości. Władze od lat nie życzą sobie świętowania polskiej niepodległości. Znamy już ten schemat. Władza nie pozwala, ludzie się zbierają. Władza atakuje, robi haniebne prowokacje. Niemieckie telewizje z satysfakcją pokazują burdy w Warszawie, zamieszki w innych miastach... Jak to polscy podludzie nie radzą sobie z niepodległością. W domyśle – ktoś musi zarządzać tym motłochem. Na szczęście za Odrą mieszkają nadludzie zaprawieni w przywracaniu europejskiego porządku, Ordnung muss sein. I przy pierwszej lepszej okazji instalują tu swoją administrację, marionetkowy rząd polski. Taki rząd natychmiast zabiera się do anulowania, ograniczania polskości. Innymi metodami niż Hitler, ale równie konsekwentnie.

Mówi poseł Gróbarczyk: „Puste bocznice kolejowe w porcie w Świnoujściu, żadnego pociągu, nawet jednego wagonu. Takiego dramatu z przeładunkami nikt sobie nie wyobrażał". Taki dramat dzieje się we wszystkich branżach transportowych. Przewoźnicy drogowi są w tragicznej sytuacji. PKP Cargo również.

Mówi rozczarowana kobieta: „Mój mąż przepracował w Cargo 28 lat. Do marca tego roku w Cargo było mnóstwo pracy. Nagle przyszło PO. Nie ma pracy, nie ma pieniędzy. Nic się nie opłaca".

W tej sytuacji chyba rozumiecie, dlaczego nie ma sensu budowanie CPK. Analogicznie – rządowi bardzo nie opłaca się służba zdrowia. Szpitale padają jak sosny pod huraganem. Dla rządu absolutnie nieopłacalne jest wypłacenie 800 zł jakimś nieznajomym ludziom i w ogóle wszelkie wydatki na cele społeczne z emeryturami na czele. Edukacja jest zbyt kosztowna i nauka wyższa też.

Informacja z ostatnich dni: gabinet wstrzymuje finansowanie statku badawczego Oceania przebywającego w Arktyce. Jak powszechnie wiadomo, Arktyka uważana jest przez Rosję za ich strefę wpływów ze względu na bliskość Sybiru. Miliony Polaków od trzech stuleci dokładnie poznawało specyfikę tej krainy, nazwanej przez Józefa Czapskiego „nieludzką ziemią"... I wystarczy. Tu przypomina się scena z sowieckiego sądu, opisana w jakichś wspomnieniach. Sędzia pyta oskarżonego:

– Ile macie lat?

– Dwadzieścia.

– Wystarczy, więcej nie będzie...

I następuje strzał w głowę.

Wracajmy do przeglądu bieżącej sytuacji naszego plajtującego państwa: „Fatalne dane o sprzedaży detalicznej, eksperci zaskoczeni. Trudo uwierzyć". „Dynamika produkcji budowlano-montażowej była w sierpniu niższa r/r o 10 proc.". „Firmy zwijają żagle. Padł rekord". Ponieważ rząd zaczął także „opiłowanie" Kościoła, niebawem nie będziemy mogli nawet wspólnie się pomodlić za ojczyznę. Bardzo brakuje księdza Jerzego!

Kolaż osobowości

Z aktorką Natalią Rybicką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od „Żurku" Ryszarda Brylskiego przez „Chrzest" Marcina Wrony i „Excentryków" Janusza Majewskiego, za sprawą seriali, takich jak „Londyńczycy" czy „Blondynka", zaskarbiła pani sobie sympatię widzów. Rola w „Grze z Cieniem" tego nie zmienia?

Natalia Rybicka: Helena Bielawska wierzy w szczerość, w prawdę, w ludzi. Zostaje niesłusznie oskarżona i skazana za morderstwo w szpitalu, w którym pracuje. Trafia do więzienia. Są lata 50. Trudny okres w powojennej Polsce.

Reżyserka serialu znakomicie dobiera składy aktorskie. Czuła to pani na planie?

Kinga Dębska jest wulkanem energii i znakomitym kapitanem. Moja bohaterka spotyka w celi więźniarki grane przez Kingę Preis, Elżbietę Zajko, Weronikę Warchoł, Alę Stasiewicz. Każda z nas jest inna, każda silna w innych momentach. Kinga stworzyła z naszych osobowości wspaniały kolaż.

Serialowe historie z kobiecych więzień to trend ostatnich sezonów. Jak on wygląda w „Grze z Cieniem"?

Ten świat w dużej mierze stworzył Adam Sikora, nasz operator. Zanurzył zdjęcia w odcieniach brązu z delikatnymi niebieskimi refleksami. Strona wizualna, także za sprawą scenografii, jest tu bardzo mocnym punktem.

Co teraz przed panią?

Trwają próby do opery w Teatrze Studio. Premiera 8 grudnia, reżyseruje Krystian Lada. Jestem też po zdjęciach z reżyserką Kasią Iskrą, która w Studiu Munka zrobiła 30-minutowy film inspirowany „Pociągiem" Jerzego Kawalerowicza. Uwielbiam współpracować z młodymi ludźmi, którzy chcą, którzy mają pasję. Ja też się czuję młodo, choć w zawodzie jestem już od 20 lat.

Fot. Paweł Wodzyński/East News

eprasa.pl c67ab20c39

Ostatni dzwonek dla polskiej edukacji

Projekt „profilu absolwenta" jest antyrozwojowy, antypolski, antykatolicki, antyeuropejski, egocentryczny i antyrodzinny

Kto sądzi, że na czele polskiej oświaty stanęła niekompetentna osoba, która nie wie, co robi, ten się myli. W jednym z ostatnich wywiadów dla tygodnika „Sieci" Hanna Dobrowolska, współzałożycielka Ruchu Ochrony Szkoły, starała się zdementować to twierdzenie. „Pani minister realizuje misterny plan dekompozycji polskiej oświaty poprzez generowanie chaosu, tworzenie punktów zapalnych w takiej liczbie, że zaczynamy się w tym gubić. A główny cel jest osiągany krok po kroku i jest nim pozbawianie suwerenności oświaty w Polsce i w efekcie – narodowej tożsamości" – uważa Dobrowolska.

Temu służą cięcia w podstawach programowych i kluczowych lekturach czy ograniczanie prac domowych.

„Do obniżania poziomu edukacji przyczynia się także promowanie edukacji włączającej, która ma teoretycznie zaspokoić potrzeby wszystkich uczniów, nawet z największymi dysfunkcjami, kosztem całej reszty. Szeroki kontekst tych zmian jest taki, że MEN jest podwykonawcą unijnych projektów oświatowych, które mają prowadzić do powstania europejskiego obszaru edukacji. A celem tego projektu ma być wychowanie młodego »unijczyka«, czyli budowanie nowej tożsamości europejskiej według obcych nam wartości; stworzenie sformatowanego młodego człowieka, całkowicie mobilnego, wynarodowionego, łatwo sterowalnego, będącego tanią siłą roboczą. O tym mówi się wprost w unijnych dokumentach. Wszystkie zmiany w edukacji są podporządkowane realizacji tego planu" – nie ma wątpliwości Dobrowolska.

Stanie się to albo na drodze przygotowanej zmiany traktatów, albo bez oficjalnych zmian prawnych, na miękko, na drodze rozwiązań rekomendowanych przez pseudonaukowe gremia i międzynarodowe organizacje, które oddziałują bezpośrednio na wewnętrzne struktury MEN, a także na polskie uczelnie, instytuty badawcze, ośrodki wpływu itp. W realizację tego planu włączony jest także Instytut Badań Edukacyjnych, który otrzymał od ministerstwa zlecenie przygotowania formatu założeń nowej podstawy programowej i profilu absolwenta. Na łamach tygodnika „Sieci" mówiła o tym Agnieszka Pawlik-Regulska, prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla Wolności": „IBE pracuje obecnie nad profilem absolwenta. Do tej pory celem edukacji, co zapisano w prawie oświatowym, było wspieranie dziecka w rozwoju ku pełnej dojrzałości w sferze emocjonalnej, fizycznej, intelektualnej, duchowej, społecznej. Teraz celem edukacji ma być sformatowanie młodego człowieka jako pracownika pod potrzeby rynku pracy. Czyli zamiast kompletnego, dojrzałego człowieka mamy stworzyć zasób siły roboczej. Nie ma tu miejsca na wartości, samodoskonalenie, rozwój osobisty, kształtowanie silnej woli. Uczeń przestaje być podmiotem systemu szkolnego, a zaczyna być traktowany jako produkt epoki i element przyszłego rynku pracy. To stoi za europejskim obszarem edukacyjnym i mobilnością pracownika. I to wszystko dzieje się na naszych oczach. Stopniowo, krok po kroku".

Podczas konferencji w Sejmie zorganizowanej przez Stowarzyszenie „Nauczyciele dla Wolności" we współpracy z Koalicją na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły dr Zbigniew Barciński, prezes Stowarzyszenia Pedagogów NATAN, określił projekt „profilu absolwenta" jako antyrozwojowy, antypolski, antykatolicki, antyeuropejski, egocentryczny i antyrodzinny. Zdaniem Hanny Dobrowolskiej prace nad „profilem absolwenta" mają doprowadzić do zmiany podstawy programowej w taki sposób, „aby wiedza obiektywna i przedmioty zostały zastąpione przez nieoczywiste formatujące ucznia miękkie kompetencje oraz sprawczość. Kompetencje od lat wypierają wiedzę poprzez konstrukcję podstaw programowych sformułowaną na rzecz tzw. umiejętności – efekty w postaci upadku poziomu kształcenia widzimy od lat. Teraz na wokandę wkroczyła dodatkowo sprawczość. Modna sprawczość sprowadza się do umiejętności odziaływania na innych i wpływania na drugiego człowieka według naszej woli oraz opanowanych metod. Tego ma uczyć polska szkoła według założeń minister Nowackiej, to kryje profil absolwenta, który ma zostać narzucony wszystkim polskim uczniom" – pisze pedagog na BiałyKruk.pl. Czy można jeszcze powstrzymać te zmiany? Zostało niewiele czasu.

Każdy może wziąć udział w konsultacjach społecznych, które MEN prowadzi na temat „profilu absolwenta". Trwają one tylko do końca października, To ostatni dzwonek, by zatrzymać dewastację polskiej szkoły.

Dorota Łosiewicz

Pyrrusowe zwycięstwo

W Mołdawii odbyła się pierwsza tura wyborów prezydenckich oraz referendum konstytucyjne, którego wyniki stały się szokiem dla rządzącego proeuropejskiego obozu skupionego wokół prezydent Mai Sandu.

W referendum zapytano obywateli, czy do konstytucji powinna być wpisana integracja z Unią Europejską. Za takim wpisem opowiedziało się zaledwie 751 tys. głosujących (50,4 proc.) a przeciw było 737 tys. (49,5 proc.). Szalę przeważyły głosy tych, którzy wyemigrowali z Mołdawii i mieszkają dziś poza granicami kraju. Gdyby nie oni, referendum na temat członkostwa w Unii byłoby przegrane dla obozu proeuropejskiego.

Kraj czeka też druga tura wyborów prezydenckich, bo urzędująca głowa państwa zdobyła 42,5 proc. głosów, a były prokurator generalny Alexandr Stoianoglo, popierany przez tradycyjnie prorosyjskich socjalistów, niemal 26 proc. Teraz wszystko może zależeć od tego, kogo poprze Renato Usatîi, były burmistrz miasta Bielce, który zdobył 13,8 proc. głosów. W czasie poprzednich wyborów prezydenckich także był on trzeci i wówczas w drugiej turze poparł Maię Sandu. Dziś zapowiedział, że nie wskaże swoim zwolennikom, na kogo głosować, ale negocjacje się dopiero zaczęły i wszystko jest jeszcze możliwe.

Na krótko przed ogłoszeniem wyników głosowania prezydent oświadczyła, że Rosja na masową skalę ingerowała w jego przebieg, kupując głosy mołdawskich wyborców. Mowa była o przeznaczeniu na ten cel przez Kreml ponad 100 mln dol., co jak na ubogą i niewielką Mołdawię (2,4 mln mieszkańców) jest bardzo znaczącą kwotą. Sandu szacuje, że agenci Rosji chcieli kupić nawet 300 tys. głosów, choć nie przedstawiła na poparcie swoich tez żadnych dowodów, a policja prowadzi oficjalne dochodzenia dotyczące jedynie 400 przypadków korupcji wyborczej.

Niezależni eksperci argumentują, że niekorzystny dla Mai Sandu wynik głosowania jest rezultatem rozczarowania rządami proeuropejskiej większości. Reformy zostały wstrzymane, utrzymuje się trudna sytuacja gospodarcza, a rząd jest oskarżany o nieudolność i korupcję. Dodatkowym problemem są mieszkańcy autonomicznej Gagauzji, którzy jednoznacznie opowiedzieli się przeciwko integracji z Unią Europejską. Na „nie" było tam niemal 95 proc. głosujących, co oznacza, że Mołdawia stoi przed kolejnym wyzwaniem, jakim jest narastający separatyzm prorosyjskich Gagauzów.

Marek Budzisz

Inwazja szpiegów

USA

Ilu hakerów pracuje w Chinach lub innych krajach na rzecz komunistycznego rządu w Pekinie? 600 tys. Tak oceniają amerykańskie agencje wywiadowcze. Pod tym względem przewaga Państwa Środka nad cybernetycznym kontrwywiadem Stanów Zjednoczonych wynosi 50:1.

W ostatnim czasie niebywale wzrosła aktywność tej armii cyberpiratów. Tylko we wrześniu hakerzy na usługach reżimu włamali się do ponad 260 tys. urządzeń podłączonych do sieci w USA. Celem szpiegostwa przemysłowego jest nie tylko wykradanie tajemnic korporacyjnych. Cyberprzestępców interesują także słabe punkty infrastruktury krytycznej – porty, elektrownie, linie energetyczne czy wodociągi. Waszyngton uważa, że chińskim służbom chodzi o złamanie amerykańskiego systemu zabezpieczeń, aby w kluczowym momencie sparaliżować Stany Zjednoczone za pomocą zmasowanego ataku hakerskiego.

Pekin nie zaniedbuje jednak bardziej tradycyjnych metod pracy wywiadowczej, czyli umieszczania swoich agentów w ośrodkach władzy przeciwnika. W zeszłym miesiącu prokuratura oskarżyła o szpiegostwo 41-letnią Lindę Sun, naturalizowaną obywatelkę USA urodzoną w Chinach. Od 2012 r. pełniła ona wiele funkcji w agencjach i organach wykonawczych stanu Nowy Jork. Doszła nawet do stanowiska zastępczyni szefa gabinetu gubernator tego stanu Kathy Hochul z Partii Demokratycznej. Obwiniona miała m.in. dostarczać chińskim służbom nieautoryzowane listy z zaproszeniami do USA, jednostronnie zmieniać treść oficjalnych komunikatów na temat Chin, uniemożliwiać przedstawicielom Tajwanu spotkania z urzędnikami z Nowego Jorku, a nawet samowolnie dodać chińskiego urzędnika jako uczestnika jednej z konferencji telefonicznych odbywanych przez władze stanowe. Przypadek Lindy Sun to tylko wierzchołek góry lodowej. Amerykański wywiad jest przekonany, że w Stanach Zjednoczonych działa cała armia chińskich szpiegów.

Grzegorz Górny

RPA

Afrykański kulturkampf

Nowe prawo oświatowe może uderzać w prawa białej ludności RPA. Zgodnie z ustawą podpisaną przez prezydenta Cyrila Ramaphosę wiele szkół nauczających w języku afrikaans będzie musiało działać w trybie dwujęzycznym.

Języka afrikaans używają Afrykanerzy – potomkowie holenderskich osadników z XVII w. Jednak dziś coraz częściej jest to również język czarnych. Według najnowszych danych na co dzień posługuje się nim 6,6 mln mieszkańców RPA i ta liczba ciągle rośnie. To przede wszystkim skutek dużej popularności szkół z wykładowym językiem afrikaans. W powszechnej opinii reprezentują one najwyższy poziom i ich ukończenie wiąże się z wysokim prestiżem. Z tego powodu czarne elity RPA bardzo chętnie posyłają swoje dzieci do takich szkół.

Wkrótce może się to jednak zmienić. Radykalne organizacje murzyńskiej ludności zarzucają afrykanerskim szkołom tworzenie bariery w dostępie do lepszej edukacji – chodzi o to, że większość dzieci w RPA nie ma szans na naukę w drogich i elitarnych placówkach. Badania z 2021 r. wykazały, że aż 81 proc. dziesięciolatków w RPA nie potrafi czytać ze zrozumieniem. Jednak zamiast poprawić ogólny stan edukacji, postuluje się – choć nie wprost – obniżenie poziomu najlepszych szkół.

Temu właśnie mają służyć przepisy nowego prawa oświatowego. W RPA jest 12 oficjalnych języków. Zgodnie z konstytucją każdy ma prawo do nauki w jednym z nich, jeżeli jest to „wykonalne". Nowe przepisy odwołują się do tej normy konstytucyjnej i pozwalają przymusić szkoły do nauczania w więcej niż jednym języku. Nikt nie ukrywa, że ma to uderzyć głównie w placówki afrykanerskie, które będą musiały otworzyć klasy z innym językami wykładowymi i przyjmować mniej uzdolnioną młodzież.

Zdaniem polityków Sojuszu Demokratycznego (DA), który reprezentuje głównie białych wyborców, nowe prawo oświatowe nie rozwiąże żadnego problemu. „Szkoły z językiem afrikaans stanowią mniej niż 5 proc. placówek w kraju, więc przekształcenie ich w szkoły dwujęzyczne nie poprawi jakości edukacji" – zauważył John Steenhuisen, lider DA i minister rolnictwa. Niektórzy uważają więc, że pomysłodawcom nowego prawa tak naprawdę nie chodzi o edukację, lecz uderzenie w białych. Ich kultura ciągle jest atrakcyjna, również dla czarnych, mimo że od upadku apartheidu w RPA minęło już 30 lat. Nic więc dziwnego, że w radykalnych środowiskach budzi to ogromną irytację.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x4

HIV migruje do Europy

Wielka Brytania

Imigracja wywołała wzrost liczby przypadków zakażenia wirusem HIV o 51 proc. w ciągu roku, osiągając najwyższy poziom od 15 lat. To dane pochodzące od Brytyjskiej Agencji Bezpieczeństwa Zdrowotnego (UKHSA), która potwierdza, że częściowo wynika to z zaobserwowanego wzrostu liczby przypadków wśród imigrantów masowo przybywających do Anglii.

Chodzi o ponad połowę z 6008 nowych przypadków wirusa HIV. Z tego 50 proc. zdiagnozowano u osób urodzonych w Afryce Wschodniej, a 22 proc. w innych częściach czarnego kontynentu. Kolejne 8 proc. pochodziło z Azji, Ameryki Łacińskiej lub Karaibów. W swoim corocznym raporcie na temat tej choroby Agencja zauważyła też, że liczba zdiagnozowanych przypadków wśród osób heteroseksualnych (zarówno kobiet, jak i mężczyzn) wzrosła o 30 proc., czyli ponadtrzykrotnie więcej niż w przypadku osób homoseksualnych. Komentując te wyniki, organizacje charytatywne, oceniają, że cel rządu Partii Pracy, jakim było położenie kresu nowym transmisjom wirusa HIV w Anglii do 2030 r., został realnie zagrożony.

W ub.r. saldo imigracji do Wielkiej Brytanii wyniosło 685 tys., co stanowi niewielki spadek w porównaniu z poprzednim rekordem, który w 2022 r. wyniósł 764 tys. Najczęściej imigranci pochodzą z krajów o stosunkowo niskich standardach opieki zdrowotnej, zwykle są wycieńczeni podróżą i zaniedbani higienicznie, co dodatkowo sprzyja rozwojowi oraz przenoszeniu chorób. Dominują trzy infekcje: gruźlica, wirusowe zapalenie wątroby oraz właśnie HIV, a więc zespół wirusów uszkadzających komórki układu odpornościowego oraz osłabiający zdolność organizmu do zwalczania codziennych infekcji i chorób. Choć politycznie poprawna definicja wciąż mówi o tym, że jest nim zagrożony każdy z nas, faktycznie dotyczy to głównie narkomanów, homoseksualnych mężczyzn, prostytucji oraz korzystających z niej osób.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl c67ab20c39

Ogrywali go i ogrywają – Zielony Ład to tylko początek

Od rezolucji w sprawie Europejskiego Zielonego Ładu ze stycznia 2020 r. przez wprowadzenie drożyzny ETS2 już od 2027 r., zmniejszenie należnych Polsce puli uprawnień do emisji CO_2, podniesienie podatku klimatycznego od aut, oddanie walkowerem spraw rolnictwa i lasów, zakaz sprzedaży samochodów spalinowych od 2035 r. czy wreszcie nakaz remontu domów pod groźbą eksmisji w 2024 r. – wszędzie ludzie Tuska karnie podnosili rękę za łupieniem Polaków. Takie są fakty, a dzisiejsze rządowe deklaracje w sprawie walki o poluzowanie i przesunięcie zielonych obciążeń to co najwyżej kiepski PR.

Premier Tusk zaczął swoje faktyczne rządy od przyzwolenia w grudniu 2023 r. na wejście w życie paktu migracyjnego. Mógł go wtedy wetem zatrzymać, ale widocznie nie chciał.

Potem było tylko gorzej – zgodził się na przywrócenie przez Niemcy granicy i przerzucanie nam przez zachodniego sąsiada niechcianych nielegalnych migrantów.

Zaniechał konkurencyjnych wobec Zachodu inwestycji w terminale portowe i transport rzeczny czy CPK. Pozwala na kolejne unijne rozporządzenia likwidujące w Polsce przemysł i miejsca pracy. Nie ma pomysłu na wsparcie przedsiębiorców energochłonnych ani żadnych innych.

Stracił szansę na nową bazę wojskową NATO w Polsce. Sojusz ustanawia całodobową kontrolę Morza Bałtyckiego, będzie ją jednak (mimo wcześniejszych uzgodnień) prowadził nie z polskiego portu, a z niemieckiego Rostocku.

Na rozmowy w sprawie możliwości zakończenia wojny na Ukrainie i powojennej odbudowy tego kraju Tusk nie dostał nawet zaproszenia. O przyszłości gospodarczej Ukrainy – i co za tym idzie naszej części Europy – w Berlinie rozmawiali prezydenci USA i Francji, premier Wielkiej Brytanii oraz kanclerz Niemiec – państwa regionu Europy Środkowo-Wschodniej reprezentował symbolicznie portret niemieckiej Mitteleuropy Neumanna na ścianie pokoju, w którym rozmawiali „możni".

„Nikt mnie w Unii nie ogra" – deklarował buńczucznie Donald Tusk, wtedy jeszcze kandydat na premiera, i, jak ma w zwyczaju, mijał się z prawdą. Już wtedy ogrywali go bowiem jego partyjni koledzy ręka w rękę z tymi z innych koalicyjnych ugrupowań, którzy ochoczo głosowali w europarlamencie za każdym elementem apokalipsy zwanej Zielonym Ładem

Nie przypomina wam to czegoś?

W podobnym formacie już raz decydowano o naszych losach. Po II wojnie światowej. W Jałcie na Krymie i w Teheranie. Nie skończyło się to najszczęśliwiej dla Polski.

Tymczasem współtworzony i prowadzony przez Polskę projekt Trójmorza, jeszcze niedawno silnie rozwijający się i istotniejszy z każdym miesiącem, praktycznie przestał istnieć. Zamiast niego wraca Mitteleuropa, gdzie rozgrywającym ma być Berlin, a państwa regionu co najwyżej adiutantami.

Z ostatniej Rady Europejskiej premier Tusk wywiózł piarowy przekaz o czasowej możliwości zawieszenia prawa do azylu i pisemne konkluzje, w którym państwa (w tym Polska) wspólnie wzywają do przyspieszenia wejścia w życie paktu migracyjnego i obowiązkowej relokacji osób. Sami państwo ocenią, co będzie niedługo naszą rzeczywistością, a co okaże się kolejnym medialno-piarowym działaniem premiera.

Smutna to konstatacja, że polski szef rządu, a wraz z nim Polska coraz częściej są ogrywani i lekceważeni. Jeszcze smutniejsze, że nasz kraj traci nie tylko pozycję polityczną, lecz także gospodarczą – znowu stajemy się niemieckim wasalem. A najsmutniejsze, że tracimy kolejną dziejową szansę gospodarczą.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl c67ab20c39

Uratować Europę

Marta Kaczyńska-Zielińska

Unia Europejska coraz mocniej koncentruje się na eksperymentowaniu w sferze społecznej i fiskalizacji klimatycznej, skazując swoich członków na zacofanie infrastruktury systemów innowacyjnych. Unijna machina urzędnicza wprowadza nadmiar regulacji i przepisów, wywołując inflację norm niezrozumiałych dla przeciętnych odbiorców i wywierających hamujący wpływ na innowacje. Receptą na pogarszający się stan państw Wspólnoty jest odejście od klimatycznej równi pochyłej i skuteczne uszczelnienie unijnych granic regulowane przez racjonalną, a nie zideologizowaną politykę migracyjną poszczególnych państw.

Tymczasem działania podejmowane przez Komisję Europejską nie pozostawiają złudzeń, że już mamy do czynienia z przyspieszeniem wdrażania paktu migracyjnego i rozpędzającym się Zielonym Ładem, które duszą potencjał Starego Kontynentu, szczególnie negatywnie oddziałując na konkurencyjność gospodarki i bezpieczeństwo takich państw jak Polska.

W opisanej sytuacji, nie kwestionując absolutnie sensowności pozostawania członkiem UE, wobec straceńczej polityki forsowanej przez europejskie elity z Niemcami na czele, warto pochylić się nad ideą formatu międzynarodowego stawiającego na innowacyjność i rozwój państw znajdujących się w sercu Europy. Inicjatywa Trójmorza (The Three Seas Initiative – 3SI) powołana w 2015 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę i prezydent Chorwacji Kolindę Grabar-Kitarović skupia obecnie 13 państw położonych w rejonie mórz Bałtyckiego, Czarnego i Adriatyckiego: Austrię, Bułgarię, Chorwację, Czechy, Estonię, Litwę, Łotwę, Polskę, Rumunię, Słowację, Słowenię, Węgry i Grecję. W deklaracji podpisanej na pierwszym szczycie w 2016 r. wyraźnie wskazano, że Europa Środkowa i Wschodnia staną się bezpieczniejsze i bardziej konkurencyjne oraz przyczynią się tym samym do wzmocnienia UE jako całości. Trójmorze nie jest więc organizacją konkurencyjną dla Unii, ale formatem, który może się przyczynić do jej rozwoju. Jego priorytety to energetyka, transport i połączenia cyfrowe, transponowane w projektach wspólnych. Takie dziedziny, jak zdrowie, gospodarka cyfrowa, gospodarka, energetyka, inteligentne sieci, cyberbezpieczeństwo, farmacja i biotechnologia, sztuczna inteligencja, produkty nano, turystyka, rolnictwo czy przemysł spożywczy również stanowią pola współpracy.

Inicjatywy 3SI wspiera Fundusz Trójmorza, którego współzałożycielem i głównym inwestorem jest polski Bank Gospodarstwa Krajowego. Fundusz wspiera komercyjne inwestycje infrastrukturalne w trzech kluczowych obszarach: energetyce, transporcie i gospodarce cyfrowej. W szczycie, który odbył się w Warszawie w 2017 r., wziął udział prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump. Zapewnił, że USA stoją ramię w ramię z krajami Trójmorza.

W styczniu 2021 r. w Kijowie prezydent Mołdawii Maia Sandu podpisała z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim deklarację, w której oba państwa wyraziły wolę uczestnictwa w inicjatywie Trójmorza. Na szczycie w Bukareszcie w 2023 r. Ukrainie i Mołdawii przyznano członkostwo stowarzyszone. Podczas ostatniego spotkania w maju br. w Wilnie przywódcy zgodzili się, że 3SI może odegrać ważną rolę w odbudowie Ukrainy.

Nieobecność polskiego premiera w trakcie niedawnego spotkania z udziałem prezydentów USA, Francji, kanclerza Niemiec i premiera Wielkiej Brytanii poświęconego właśnie odbudowie naszego wschodniego sąsiada wskazuje, że w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy wektory polskiej polityki zostały przestawione, a nasze zaangażowanie w odbudowę Ukrainy może stać pod znakiem zapytania, także w formacie Trójmorza.

Rosnące poparcie dla Donalda Trumpa w zbliżających się wyborach prezydenckich w USA budzi nadzieję na dalsze amerykańskie wsparcie dla inicjatywy Trójmorza. Przyszłe poszerzenie zakresu partnerstw strategicznych z takimi wschodzącymi mocarstwami, jak Indie, które wykazują wolę współpracy z szeroko pojętym Zachodem, czy nowoczesnymi gospodarkami, takimi jak Korea, mogłoby stworzyć jeszcze większy potencjał rozwojowy dla państw położonych w sercu Europy i uratowanie Starego Kontynentu przed rolą co najwyżej skansenu dla reszty świata.

REKLAMA

17/0924/F

eprasa.pl c67ab20c39

Walizka Małgosi Retkowskiej

nauczycielki plastyki, rekonstruktorki, kostiumografki, charakteryzatorki, projektantki mody i menedżerki kultury

Moje podróżowanie trwa nieustannie, od pierwszej godziny mojego życia, kiedy do szpitala z wojskowych koszar wiozła mnie karetka pogotowia. Było to w 1969 r. Przez następne pięć lat co miesiąc jeździłam do babci PKS-em, niebieskim jelczem „ogórkiem" albo motocyklem WSK z wujkiem na grzyby, groszkowym maluchem z rodzicami i siostrą, a potem z chłopakiem motocyklem CZ, z którym zwiedziłam całą Polskę. Ta podróż przez PRL trwa, bo dziecięce przeżycia i uważność na otaczający świat doprowadziły do stworzenia Agencji Artystycznej „Retro-Pasje", z wypożyczalnią strojów retro i flotą pojazdów, wśród których jest m.in. polewaczka ZOMO, radiowozy milicyjne i nyska karetka. Dzięki doświadczeniom, wiedzy, kostiumom i rekwizytom moje życie jest przepełnione kalejdoskopem podróży do przeszłości, bo czas, który mnie fascynuje, to lata 1863–1989. Budzę wspomnienia, zadumę i ludzką wrażliwość ze snu, tworząc stylizacje, widowiska historyczne i teatralne, filmy, bale kostiumowe i wystawy historyczne. Moja walizka jest pełna retrospekcji z czasów, kiedy niewielu miało telefon, wszyscy wysyłali pocztówki, umiejętność robótek ręcznych była cnotą, a w sklepach były pustki i wszystko było na kartki. O tych czasach PRL opowiadam w „Starej Szkole" – na ekspozycji, której jestem twórcą i kustoszem, w ramach wystawy „Miałem kiedyś takiego" w dawnej Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu.

ZIELONA BIŻUTERIA

Kiedy dorastasz w świecie czarno-białych gazet, szarego papieru toaletowego i brązowych, smutnych opakowań zastępczych, to podarowana ci przez przyjaciela, zakupiona za średnią pensję na bazarze Różyckiego seledynowa plastikowa biżuteria nawet 40 lat później stanowi „relikwię".

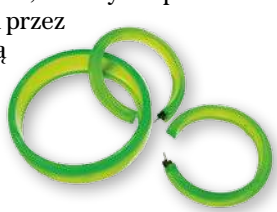

Fot. Michał Korsun, Cezary Pomykało, Andrzej Wiktor

eprasa.pl c67ab20c39

PŁYTA MAANAMU „LIVE"

Nie umiałam prawidłowo wymawiać „r", ale uczyłam się na piosence „Oddech szczura". W 1987 r. Bodek z Maanamu odrzucił mój zespół „Top Hard" w Ogólnopolskim Młodzieżowym Przeglądzie Piosenki, ale w 1994 r. wygrałam „Szansę na Sukces", śpiewając piosenkę „Złote tango" Maanamu. Nie chciałam jednak wystąpić na finale w Sali Kongresowej, bo moja córka i studia były ważniejsze.

WALIZKA

W latach 80. jechaliśmy z rodziną do Zakopanego naszym maluszkiem, a ulewny deszcz doszczętnie zmoczył nasze dwie walizki na dachowym bagażniku. Derma z tej czerwonej zafarbowała wszystkie nasze ubrania na różowo, w których spędziliśmy dwa tygodnie wczasów.

POCZTÓWKI

Mam ich tysiące od rodziny, sąsiadów, koleżanek, kolegów i wysłałam ich tysiące. Radość oczekiwania na kolorowe zdjęcie była bezcenna.

SZTUCZNE OWOCE

Każdy miał je w kuchni na lodówce lub w dużym pokoju na segmencie. Banany, pomarańcze czy mandarynki jadło się sezonowo raz w roku, o ile ciocia z Warszawy przywiozła lub dostało się w pracowniczej paczce dla dzieci pod choinkę.

PRZEŹROCZA

W domowych ciemniach wielu samodzielnie wywoływało czarno-białe zdjęcia. Kolorowe, a raczej różowo-czerwone z klisz ORWO. Przeźrocza były formą niemego i nieruchomego obrazu wyświetlanego na rzutnikach – diaskopach.

ZIMA STULECIA

Pomysłowość i potrzeba tworzyły niesamowite kreacje rękami polskich kobiet – spódnicę z koca, bluzkę ze ścierek czy dwustronny ocieplany watą beret z moheru.

POCZTÓWKI DŹWIĘKOWE

Słuchało się ich na gramofonoradiach i adapterach Bambino. Istniały studia nagrań, gdzie można było zamówić wybrany utwór i nagrać na płycie życzenia swoim głosem lub głosem lektora, a następnie wysłać pocztówkę ukochanej.

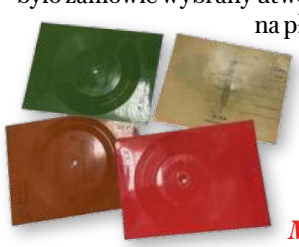

SZKOLNE PRZYBORY

Nikt się nie bał, że w szkolnym tornistrze i drewnianym piórniku znajduje się najbardziej niebezpieczne narzędzie świata. Żyletka, to niezwykle pożądane wielofunkcyjne narzędzie do golenia, ostrzenia ołówków, cięcia papieru, majsterkowania i haftowania bajorkiem.

MASTER MIND

Jedna z wielu form zabawy wdzierającego się w socjalistyczną codzienność kapitalizmu. Można ją było kupić w Peweksie. Wielu nie rozumiało zasad tej gry pisanej w języku angielskim.

Wysłuchał ***Michał Korsun***

eprasa.pl c67ab20c39

Lęki Tuska

Samuel Pereira

Donald Tusk to człowiek, który w polskiej polityce zapisze się wielkimi literami. Treść to już inna sprawa, ale ważnym rozdziałem będzie „STRACH". Niech państwa nie zmyli agresja jego polityki, bo jest to wyraz tchórzostwa. Ktoś pomyśli: ale jak to, czy tak doświadczony polityk może bać się praktycznie wszystkiego?

Konferencje prasowe? Lepiej nie, bo przecież mogą paść trudne pytania o powódź, nepotyzm czy gospodarcze zawirowania. Po co się tłumaczyć, skoro można milczeć i liczyć na to, że społeczeństwo o wszystkim zapomni. Obietnice wyborcze? Owszem, można je rzucać na lewo i prawo, ale po co później do nich wracać, kiedy widać, że nie zostały spełnione? Lepiej zamknąć oczy, zatkać uszy i udawać, że ludzie ich nie zauważają. Co prawda sondaże pokazują, że społeczeństwo ma coraz więcej wątpliwości, ale to przecież tylko liczby, prawda? W końcu „obietnice wyborcze wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą", a „dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać".

Jest jedna rzecz, której Tusk boi się najbardziej: startu w wyborach prezydenckich. Kilka dni temu przyznał, że zrezygnował z wyścigu. Trudno się dziwić, do dziś nosi w sobie traumę z 2005 r., kiedy Lech Kaczyński dał mu porządną lekcję real politics. Jest w tym też dużo wygody – w końcu po co ryzykować, skoro lepiej budować swoją legendę z pomocą klakierów i zagranicznych poklepywaczy, bez zbędnych, potencjalnie upokarzających starć w kraju. Po co startować w wyborach, jeśli można nie startować i nie przegrać? Proste.

Ale tych strachów jest więcej. Boi się opinii Polaków – dlatego „unieważnił referendum", mediów – dlatego je przejął. Boi się nawet pracy, dlatego ostatniego dnia posiedzenia Sejmu (piątek) już go nie było, bo, jak wiadomo, u Tuska weekendy są od czwartku do poniedziałku. Lider Platformy Obywatelskiej boi się odpowiedzialności karnej, więc przejął prokuraturę, żyje w lęku, że nigdy nie dostanie większej władzy, dlatego rządzi, regularnie łamiąc prawo.

Listę można wydłużać, ale wniosek jest jeden. Budując swoją legendę twardziela, Donald Tusk nie jest w stanie ukryć pod coraz bardziej zużytą maską, jak wiele strachów go napędza. W tym też najstraszniejszy – przed Lasem Smoleńskim.

Ignorowanie własnej roli to krok do katastrofy

Donald Tusk nic już nie znaczy dla zachodnich liderów – to fakt, który dziś ujawnia się w całej okazałości, gdy spoglądamy na ostatnie rozmowy w Berlinie o przyszłości Ukrainy. Oto przy stole zasiedli prezydenci USA oraz Francji, kanclerz Niemiec i premier Wielkiej Brytanii, która nawet nie jest w UE. A Polska? Wielka nieobecna. Niepotrzebna i potraktowana jak zbędny element w tym spektaklu mocarstw. To jak wymazanie z mapy kraju, który bezpośrednio sąsiaduje z walczącą Ukrainą, będącego przecież od początku w forpoczcie działań pomocowych. Takie pominięcie to symboliczny obraz obecnego znaczenia Polski, a brak reakcji polskich władz na ten stan rzeczy to akt zdrady wobec własnych interesów.

Od pierwszych dni wojny Polska nie tylko bacznie obserwuje sytuację na Wschodzie i aktywnie wspiera Ukrainę, lecz także wstrząsa tymi, którzy liczyli na kontynuację interesów z Rosją, a dziś zajęli miejsce przy stole, i to w roli gospodarzy. W 2022 r. w Berlinie premier Morawiecki miał odwagę nazwać niemiecką propozycję pomocy „żartem" – i słusznie. W obliczu poważnych zagrożeń nie możemy zadowalać się pozorowanymi ruchami. Dziś jesteśmy wielkim hubem, przez który przepływa ogromna pomoc humanitarna i wojskowa, krajem, na który spadły ogromne ciężary konfliktu. Dlatego tym bardziej dziwi i rozczarowuje sytuacja, w której Polska nie bierze udziału w rozmowach.

Historia nas przecież uczy, że brak obecności przy stole to brak wpływu na kluczowe decyzje. Tusk i kierujący naszą dyplomacją Sikorski wydają się być nie tylko ślepi na tę prawdę, lecz także głusi na alarmy bijące z obecnej, trudnej sytuacji na kontynencie. Ignorowanie własnej roli w tej układance to nie tylko błąd – to krok ku katastrofie.

Nie możemy pozwolić na to, by Polska, będąca w centrum Europy, w swoim geopolitycznym położeniu strefy zgniotu znów stała się pustym dźwiękiem w symfonii europejskiej polityki, licząc, że ktoś zagra w naszym imieniu. Nieobecność naszego kraju w ważnych rozmowach o przyszłości konfliktu, który toczy się w naszym bezpośrednim sąsiedztwie, oznacza istotnie, że rozmowy te są niekompletne. Tylko tam, gdzie zapadają kluczowe decyzje, możemy zrealizować nasze priorytety. Polski premier nie ma prawa sądzić, że ktoś inny zadba o nasze interesy. To postawa niedopuszczalna.

Rozwiązanie konfliktu na Wschodzie to klucz naszego bezpieczeństwa i naszej przyszłości. Musimy dążyć do tego, by nasz głos był słyszalny i dostrzegany. Nasze miejsce jest tam, gdzie rozgrywają się losy Europy i świata, a obecna sytuacja wymaga od nas szczególnej determinacji i odwagi. Trzeba wywrzeć presję i wrócić do stołu rozmów. Tu jest jednak konieczna albo zmiana postawy polskiego premiera względem podmiotowości naszego kraju na arenie europejskiej i międzynarodowej, albo, co bardziej oczywiste, zmiana premiera.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl c67ab20c39

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE SIECI: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI x4, ANDRZEJ WIKTOR, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK/LIFE WITH COLORS, MAREKLILIJASZ, MATVEEV ALEKSANDR; ANDRZEJ WIKTOR, ROBERT ŁAKUTA, SHUTTERSTOCK/RARRARORRO, SHUTTERSTOCK.AI

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

TRENDY I OWĘDY

A imię jego 49

Ma powstać 49 Centrów Integracji Cudzoziemców w Polsce. Ciekawe po co? Jak podaje ZUS, w 2023 r. było u nas zarejestrowanych 1128 mln pracujących obcokrajowców. A ilu niezarejestrowanych? Są Ukraińcy, Białorusini, Hindusi, Gruzini, a nawet Nepalczycy czy Kolumbijczycy. Ci ludzie przyjechali tu legalnie, z własnej woli, by szukać u nas lepszej egzystencji. Co istotne, zasymilowali się bez żadnych centrów integracji. Czemu więc nagle potrzebne są specjalne ośrodki dla cudzoziemców?

Ryszard Makowski

Otóż ci, których wciśnie nam ciocia Unia w ramach paktu migracyjnego, zapłacili przemytnikom ludzi za to, że dostarczą ich do Włoch, Francji czy Niemiec. Wcale nie marzyli o jakieś Polsce. Będą tu jak za karę. I to my mamy stawać na głowie, żeby czuli się tu fajnie! Musimy zapewnić im luksusowy socjal, żeby nie wiali. Ponoć taka rodzina 2 plus 2 będzie miała do ręki ok. 10 tys. miesięcznie, mieszkanie i opiekę zdrowotną. W tej sytuacji będą szukać pracy? Pewnie nie są aż tacy głupi.

Oczywiście te kwoty zubożą Polaków. Już się mówi, że 800+ trzeba zreformować, czytaj: zabrać. Czy okoliczni mieszkańcy takich centrów będą musieli grać z Murzynami w warcaby albo w ping-ponga lub chodzić na randki, żeby im się nie nudziło?

Najgorsze jest to, że znamy te formy integracji z krajów zachodnich. Powstaną enklawy rządzone przez gangi, gdzie będzie się bała wjechać policja. To są ostatnie chwile, żeby się temu przeciwstawić. Zaraz może być za późno. Żeby nie było, że trzeba będzie poprawić wieszcza i do historii zamiast oczekiwanego 44 przejdzie nieoczekiwane 49.

eprasa.pl c67ab20c39

Pomoc wciąż w planach

Skala popowodziowych zaniedbań władz poraża. Oficjalnie wszystko jest cacy – minister Kierwiński niestrudzenie wizytuje zalane tereny, rząd wypłaca zasiłki i szykuje wielki program odbudowy. A co mówią poszkodowani? Nie dostają obiecanych pieniędzy, gubią się w zawiłych formalnościach i zrezygnowani szykują pozwy zbiorowe wobec instytucji państwowych

Stronie Śląskie – woda spowodowała zniszczenia porównywalne z efektami ostrzału artyleryjskiego

MAREK PYZA

Na terenach dotkniętych przez powódź pozostało niewielu dziennikarzy. Gdy opadła woda, temat przygasł. Tylko nieliczne lokalne media podstawiają jeszcze mikrofony mieszkańcom, by dowiedzieć się, jak sobie radzą miesiąc po kataklizmie. A jest to moment, w którym sprawy należy pilnować, bo właśnie teraz następuje czas sprawdzenia rządu – czy obietnice zostały wypełnione, powodzianie otoczeni opieką, a wszystkie służby postawione na nogi, by usunąć skutki żywiołu. To kolejny egzamin, którego nie da się władzy zaliczyć.

BEZ PLANU ANI RUSZ

Szokujące były wypowiedzi Marcina Kierwińskiego z 23 października w województwie opolskim. Gdy wspólnie z szefową resortu edukacji zapowiadał specjalny program odbudowy zalanych szkół, przyznał: „Jesteśmy cały czas na etapie budowania finansowania, które jest niezbędne do odbudowy infrastruktury. To środki europejskie, samorządowe i rządowe". Etap budowania finansowania 40 dni po kataklizmie?! Chyba komuś się nie za bardzo spieszy.

Okazało się też, że ledwie 60 rodzin otrzymało zapowiedzianą przez premiera rekompensatę za szkodę całkowitą w wysokości 200 tys. zł. A nie trzeba przecież specjalnych komisji, wyliczeń i chodzenia po wszystkich zalanych gminach, by wiedzieć, że rodzin, których straty sięgają bądź przekraczają 200 tys. zł, jest zdecydowanie więcej niż tylko 60. Można je liczyć co najmniej w setkach.

Rząd przyznał również, że „wojewodowie cały czas pracują nad tym, żeby zapewnić dach nad głową osobom, które nie mogą wrócić do swoich domów". I znów: przez 40 dni nie udało się tego zrobić? Kontenery od Owsiaka (z każdej strony oklejone emblematami jego organizacji) jednak nie wystarczyły? To niewiarygodne, bo doskonale pamiętamy, jak po rosyjskiej agresji na Ukrainę poprzednie władze natychmiast zorganizowały dużo większą bazę noclegową. Błyskawicznie uruchamiano też wtedy środki finansowe dla uchodźców wojennych, a dwa lata wcześniej dla przedsiębiorców dotkniętych lockdownami w czasie pandemii. Dziś nie ma mowy o takim tempie.

„Będziemy podejmować bardzo szybko decyzje o tym, w jakiej kolejności te środki uruchamiać tak, żeby jak najszybciej ludzie mogli wrócić do swoich domów, do swoich mieszkań – ale też, żeby infrastruktura społeczna, która tworzy warunki do normalnego życia, mogła być odtworzona jak najszybciej" – mówi Kierwiński w szóstym tygodniu po powodzi. Na pewno nic już się więc nie wydarzy „bardzo szybko". Wciąż dostajemy wyłącznie te same słowa, które słyszeliśmy w połowie września. Kompromitacja.

Może jakieś konkrety o kluczowej infrastrukturze? Np. co z zerwanym mostem w Lewinie Brzeskim? „Będzie powstawał" – zapowiedział minister. Szkoda, że jeszcze nie zaczął powstawać.

eprasa.pl c67ab20c39

Oficjałkę na rządowych stronach kończy zdanie: „Dobrze opracowany plan i większe nakłady na zaplecze przeciwpowodziowe oznaczają mniejsze zagrożenie ze strony żywiołu w przyszłości". Urzędnicy pracują więc nad planem, a nie nad faktyczną pomocą, dlatego poszkodowani tak skarżą się na opuszczenie przez władze.

Zresztą dość powiedzieć, że ledwie dwa dni wcześniej po raz pierwszy (!) zebrał się Zespół ds. Odbudowy po Powodzi. I ogłosił: „Kończą się już wyceny, operaty i szacowanie zniszczeń poszczególnych budynków. Ruszą teraz wypłaty dotyczące pomocy do 100 tys. zł i do 200 tys. zł". Dla niektórych poszkodowanych może być już za późno, by zdążyć naprawić szkody przed zimą. Inna sprawa, że wysupłana przez władze pomoc dla wielu nie będzie wystarczająca.

JAK PO WOJNIE

W pierwszej kolejności rząd miał się zająć najważniejszymi naprawami: dróg, mostów, sieci wodnych czy kanalizacyjnych, szkół etc. 21 października Tv Kłodzka podała, że w ich regionie powstaną cztery mosty tymczasowe: w Lądku-Zdroju, Krosnowicach, Wilkanowie oraz Bielicach. Kiedy? W przyszłym roku. Do końca bieżącego starostwa mają bowiem jedynie przygotować przyczółki pod konstrukcje, a później dopiero wejdą tam wojska inżynieryjne odpowiadające za stawianie tymczasowych przepraw.

Kierwiński zna potrzeby, bo regularnie bywa w południowo-zachodniej części kraju. Z zebranych przez naszych reporterów relacji wynika jednak, że to kuriozalne wizyty, wręcz potiomkinowskie. Minister przyjeżdża na zalane tereny, ale w tajemnicy, na ustawki z działaczami Platformy, lokalnymi władzami, służbami. W Głuchołazach nawet „Gazeta Wyborcza" nie została wpuszczona na spotkanie z rządowym pełnomocnikiem, nie mówiąc już o poszkodowanych, którzy mają do niego wiele pytań. Ministerialny fotograf zawsze wszystko uwiecznia, więc dowody na aktywność Kierwińskiego będą. Ale w Lewinie Brzeskim ludzie dowiedzieli się, że był u nich minister, dopiero dzień po wizycie. Podobnie w Kłodzku.

Pięć tygodni po powodzi Jakub Maciejewski relacjonował na portalu wPolityce.pl: „Operacja »Feniks« sformułowana w MON na miejscu wygląda jedynie jako sznur żołnierzy wyciągających wiadrami szlam z zalanych domów. Teren ten wygląda tylko o jeden stopień lepiej niż bombardowany przez Rosjan od pół roku ukraiński Kupiańsk".

Maciejewski wie, o czym pisze, bo na ogarniętej wojną Ukrainie spędził długie miesiące, spał w okopach z żołnierzami, naoglądał się miast i miasteczek zniszczonych przez rosyjską artylerię. Dziś bliźniacze obrazy widzi na Dolnym Śląsku.

Podobne skojarzenia ma Andrzej Skwarczyński, kolejny dziennikarz „Sieci", który wielokrotnie jeździł na Wschód dokumentować rosyjską agresję. Z Kotliny Kłodzkiej wrócił przed tygodniem. Opowiada: – Stronie Śląskie wygląda identycznie jak miasta zniszczone w Donbasie. Centrum miasta nie istnieje. Wiele domów jest po prostu zburzonych, pozrywane mosty i asfalt na ulicach. Sporo powalonych wraz z korzeniami drzew pozostaje nieuprzątniętych. Mieszkańcy opowiadali mi, że przez kilka tygodni nie mieli prądu i gazu.

Pokazuje zdjęcia i filmy nagrane dronem. Centrum Lądka-Zdroju rzeczywiście wygląda jak po bombardowaniu. Wszędzie wala się mieszanka gruzu, fragmentów drzew, podziemnych rur kanalizacyjnych, śmieci, fragmentów domowych sprzętów i wraków

eprasa.pl c67ab20c39

samochodów. Część ulic, tych mniej zniszczonych, wciąż jest w błocie. W oknach zamiast wypchniętych przez wodę szyb widać tylko wklejone folie lub po prostu dziury. Wiele domów ma poprzybijane tabliczki według kategorii: czerwona z literą N oznacza budynek niebezpieczny, zagrażający życiu; żółta z literą U – uszkodzony. Na wielu wymazane jest po prostu sprayem: zakaz wejścia.

Skwarczyński wspomina rozmowę z mężczyzną, którego spotkał przy tamie. To tam pękł namoknięty wał, co spowodowało gigantyczne szkody. – Ten teren wciąż jest odgrodzony taśmami, ale każdy może tam wejść i wiele osób to robi. A żadne prace się nie toczą. Być może dopiero w sezonie wiosenno-letnim, jak zapowiadał minister Kierwiński. Ale co, jeśli wcześniej przyjdzie kolejna woda? – słusznie zauważył pan Józef, który wraz z sąsiadami obawia się tego, co im grozi bez koniecznych napraw infrastruktury.

MOŻE SIĘ PANI WYPROWADZI?

Pani Maria, mieszkanka Lądka-Zdroju, mówi: – Wiadomości o powodzi czerpaliśmy z telewizji, a tam premier uspokajał. Nie mieliśmy żadnych ostrzeżeń! Dopiero kiedy tama puściła, to jechał wóz strażacki i z megafonów krzyczeli, żeby uciekać. Od niedzieli 15 września przez trzy dni nie mieliśmy żadnej łączności ze światem, nie działało nic. Ludzie, żeby mieć zasięg, musieli jechać do Czarnej Góry albo w stronę Czech, żeby łapać sieci komórkowe naszych sąsiadów.

Dziś na środku rynku w Lądku-Zdroju stoi olbrzymi zastępczy maszt GSM. Do kiedy będzie straszyć? Nie wiadomo.

Kobieta z Lądka opowiada o najgorszych chwilach: – Fala przeszła w 30 minut, to był moment. Było znacznie gorzej niż w 1997 r. – wszystkie mosty do odbudowy, domy nad wodą zburzone, zalane, zagrzybione. Ludzie nie mają gdzie mieszkać, a ilu zginęło! Nasza sąsiadka Grażyna też mało nie utonęła. Mieszkała, bo teraz tam mieszkać się już nie da, na parterze. Pobiegła do domu coś jeszcze ratować, ale nie mogła się wydostać, bo woda zatrzasnęła już drzwi. Biała Lądecka, zwykle głęboka po kolana, teraz miała z 6 m głębokości. U niej w mieszkaniu woda płynęła tylko 20 cm poniżej sufitu. Grażyna pół godziny walczyła o życie, trzymając się żyrandola, wisząc na nim. Gdyby fala szła dłużej, to już by się nie utrzymała – kończy pani Maria, pokazując zdjęcie owego żyrandola.

Czy mieszkańcy dostali to, co obiecywał rząd? Anna, spotkana przez reportera „Sieci" przy zburzonych przez wodę garażach, skarży się: – Pomoc jest niewystarczająca! Te 2 tys. zł miały być przekazywane od razu, bez specjalnych warunków. Trzy tygodnie na nie czekałam! I jeszcze najpierw nie chcieli wypłacić, bo miałam dwa centymetry wody w domu, a w urzędzie mówili, że wypłacają od pięciu! Na początku miejscowi hotelarze przyjmowali ludzi do siebie. Potem zaczęły chodzić komisje. Okazało się, że jeżeli dom był całkowicie zalany, jest zagrzybiony, w środku wszystko zniszczone, ale budynek nie stwarza zagrożenia budowlanego, to mamy tam wracać, bo lokale zastępcze nam nie przysługują. Jeżeli tych budynków się nie osuszy, a mało kto może to zrobić, nie przetrwają do lata. W zimę mróz roztrzaska mokre ściany i strat będzie jeszcze więcej. A u nas zima przychodzi szybciej i jest chłodniejsza niż w stolicy.

Kobieta dodaje, że mieszka w Lądku, a pracuje zdalnie we Wrocławiu. Gdy powiedziała to urzędniczce w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej, usłyszała: „A może by się pani wyprowadziła do Wrocławia?".

Przedsiębiorca z jednej z wiosek pod Stroniem Śląskim: – Straciłem całe gospodarstwo, woda zabrała samochody i pół domu. Drugie pół musiałem

Lądek-Zdrój – wiele domów stojących nad Białą Lądecką nadaje się tylko do rozbiórki, a po garażach zostało jedynie przemielone rumowisko

wyburzyć na własny koszt, bo gmina chciała ode mnie za to 200 tys. zł, czyli tyle, ile bym dostał z rządowej pomocy. Dostałem 10 tys. zasiłku, była komisja z urzędu, która orzekła szkodę całkowitą – przyznali mi 200 tys. zł, ale strat mam na 1 mln! Za ich pomoc mogę kupić używaną przyczepę holenderską i w niej mieszkać, a za co odbudować gospodarstwo? Najłatwiej byłoby to wszystko sprzedać, wyjechać i gdzieś indziej zacząć od nowa, ale mam syna i chcę mu wszystko przekazać.

Takich relacji jest mnóstwo. 18 października „Kurier Ostrowski" donosił: „Wielu poszkodowanych nadal nie otrzymało pomocy finansowej. Pomimo zapowiedzi rządu i wizyt premiera Donalda Tuska, temat sytuacji powodzian został zepchnięty na dalszy plan. [...]. Prawie 700 osób z zielonych bloków przy ulicy Nadbrzeżnej wciąż nie może wrócić do swoich mieszkań. To te same bloki, które podczas powodzi widziała cała Polska – otoczone wodą, z uwięzionymi mieszkańcami odciętymi od świata, zasięgu i internetu. Choć ekspertyzy wykazały, że bloki nadają się do zamieszkania, uszkodzone zostały wszystkie przyłącza: brak jest prądu, gazu i kanalizacji".

> Kierwiński przyjeżdża na zalane tereny, ale w tajemnicy, na ustawki z działaczami PO, lokalnymi władzami, służbami. W Lewinie Brzeskim ludzie dowiedzieli się, że był u nich minister, dopiero dzień po wizycie

Gazeta cytuje mieszkankę miasta, panią Grażynę: „Do tej pory nie dostaliśmy ani grosza. Zapowiadane 10 tys. zł miało być do trzech dni. Dzwoniliśmy do MOPS i usłyszeliśmy, że pula się skończyła i czekają na kasę z województwa. Komisja przyznała nam pełną kwotę 200 tys. zł, ale nie mamy ich na koncie. I to jest problem".

Burmistrz Stronia Śląskiego na antenie Radia Rodzina postulował nawet powołanie komisji śledczej w celu zbadania przyczyn powodzi.

Na grupie Głuchołazy na Facebooku 23 października pojawiło się pytanie, czy któryś z mieszkańców dostał już środki na odbudowę/remont domu. Nie znajduje się taki szczęśliwiec. Kilka osób ma decyzje, ale wciąż czeka na pieniądze. Jedna z nich pisze: „Ja zostałam już czterokrotnie zwizytowana przez wszelkiej maści komisje... i na tym się skończyło".

Dobrze, że minister Kierwiński nie musi się martwić o środki finansowe. Jak wykazała kontrola poselska opozycji, na funkcjonowanie biura pełnomocnika przyznano aż 25 mln zł. Te pieniądze nigdzie nie utknęły.

RZĄDZIE, RUSZ SIĘ!

Jakub Maciejewski opowiada o poznanej w Stójkowie wielopokoleniowej rodzinie, od której dowiedział się, że wojsko dojechało dopiero cztery tygodnie po powodzi. – Woda podmyła tym państwu fundament budynku. Od miesiąca odbijają się od różnych instytucji, nie mogąc uzyskać odpowiedzi na pytanie, czy ich dom będzie zburzony, czy też mogą go odbudować i doń wrócić. Wody Polskie mówią im: my mamy własność tylko do tego murku, a dom stoi na nim. Urząd mówi: ale to rzeka podmyła, więc idźcie do Wód Polskich. Od pięciu tygodni nie mają gdzie

eprasa.pl c67ab20c39

Straty byłyby znacznie niższe, gdyby woda nie przerwała wału ziemnego przy tamie w Stroniu Śląskim

mieszkać! Nie ma nikogo, kto by to wszystko koordynował i rozstrzygał tego typu rozbieżności.

Nasz reporter nie może się nadziwić, że mimo takiego bałaganu i opieszałości ludzie są zadowoleni z działań rządu po powodzi. – Zdaniem wielu państwo świetnie działa, bo przyjechali do nich harcerze z zupą, a żołnierze pomagali wyrzucać błoto. Jeśli ktoś nie dostaje pieniędzy, to najczęściej wini wójta, radnego, urzędniczki z opieki społecznej, rzadko kogoś wyżej.

Są jednak i tacy, którzy mają dość bezczynności władz centralnych. Przedsiębiorcy z powiatu kłodzkiego zrzeszeni w Śnieżyckim Klubie Biznesu apelują do rządu o tarczę, która uratuje turystykę na Dolnym Śląsku po powodzi oraz pozwoli przetrwać ich biznesom. Jak mówią, specustawa z 5 października nie jest dostosowana do problemów wielu z nich. Przypominają, że również firmy, których dobytek nie ucierpiał w żywiole, notują potężne straty, bo nie mogą świadczyć usług w zniszczonych miastach (Lądku-Zdroju czy Stroniu Śląskim). Rząd nie uwzględnił ich krzywd. A chodzi choćby o prostą zmianę definicji poszkodowanych i opisanie ich jako „osób fizycznych i prawnych wykonujących działalność w strefie klęski żywiołowej".

Na ich spotkaniu 18 października w Bystrzycy Kłodzkiej burmistrz miasta Renata Surma wzywała gabinet, by ten dotrzymał słowa: „Apeluję bardzo mocno, aby wreszcie samorządy otrzymały jakąś pomoc, bo chociaż mamy ją na papierze, to tylko – do dnia dzisiejszego – na papierze. Dziś minął miesiąc od powodzi, a my tej pomocy fizycznie nie mamy".

W rozmowie z lokalnymi mediami wskazała też na kuriozalny zapis w umowach, jakie samorządowcy dostają od wojewodów. Okazuje się, że aby pomoc budżetowa popłynęła do gmin, ich straty muszą wynieść co najmniej 50 proc. ubiegłorocznego budżetu. Bystrzycy, która doliczyła się 51 mln zł strat, a więc zabrakło jej kilku milionów do narzuconego progu, rządowe wsparcie się nie należy.

> Ledwie 60 rodzin otrzymało zapowiedzianą przez premiera rekompensatę za szkodę całkowitą w wysokości 200 tys. zł

„Nowiny Nyskie" publikują rozmowę z miejskim radnym Piotrem Baranowskim, który stwierdza wprost: zderzyliśmy się z betonem władzy – rządowej, samorządowej i tej w Wodach Polskich.

W tym mieście, a także w Lewinie Brzeskim nie czekali, aż władze państwowe rozliczą niekompetencję swoich nominatów w Wodach. Wsparci przez samorządowców mieszkańcy skrzyknęli się, zebrali ponad 1 tys. podpisów i składają pozew zbiorowy wobec tej instytucji z żądaniem odszkodowań. Pomysłodawca tej inicjatywy, przedsiębiorca Radosław Kochler, otwarcie mówi o żalu do Donalda Tuska: „Dobrze pamiętamy wypowiedź premiera, który kilka dni przed powodzią mówił, że wszystko jest pod kontrolą. A tu nagle zaledwie po dwóch dniach przyszła do nas wielka woda. Nie byliśmy na to przygotowani".

W sprawie pozwu mieszkańcom pomaga Paweł Kukiz. Parlamentarzysta z Opolszczyzny w rozmowie z telewizją wPolsce24 zwrócił uwagę na kolejny problem: – Domy, które nie zostały przez nadzór budowlany odebrane, bo są np. w trakcie budowy, a zostały całkowicie zniszczone, nie są w ogóle objęte tą ustawą, ponieważ według prawa nie są budynkiem mieszkalnym.

Wystarczyło więc kilka tygodni, by dostrzec, że władze nie wyciągnęły najlepszych wniosków z własnych zaniedbań przed powodzią i nie idzie im również usuwanie jej skutków. Przepisy są pełne luk, pomoc szczątkowa i wypłacana nielicznym, panuje chaos, minister stawia na PR, a powodzianie mają słuszne poczucie pozostawienia samym sobie przez rządzących.

Pomoc od państwa wygląda jeszcze słabiej, jeśli zapomnimy o gigantycznym wsparciu, jakie popłynęło od zwykłych ludzi, samorządów, firm czy organizacji pozarządowych. Np. po tym, jak strażacy z OSP w Stroniu Śląskim w połowie września stracili swój wóz, przez cztery tygodnie nie mogli nieść pomocy okolicznym mieszkańcom. Odsiecz nadeszła z drugiego końca Polski – od samorządowców z Kurzętnik na Mazurach i strażaków ochotników z Nielbarka, którzy oddali swój pojazd. Firma MAN zobowiązała się zaś, że wyremontuje zniszczony wóz ratowniczy ze Stronia do stanu oryginalnego.

Na strażaków nikt nie powie złego słowa. Podobnie jak na żołnierzy WOT, których ciężką pracę na miejscu widać najlepiej. Tych samych, których jeszcze niedawno pan premier nazywał „parawojskiem".

Współpraca i zdjęcia:
Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl c67ab20c39

Polaku, lecz się czarodziejską różdżką!

Jeżeli zapaść w publicznej służbie zdrowia nie zostanie powstrzymana – a pod obecnymi rządami to mało prawdopodobne – za kilka lat przetrwa ona w szczątkowej formie, i to jedynie w największych miastach. „Przyzwyczailiśmy się już do tego, że PiS płaciło szpitalom za wszystko. Teraz PiS nie rządzi, więc trzeba się odzwyczaić" – wyjaśniła Izabela Leszczyna

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Najpierw garść informacji z ostatnich dni. Szpital w Lubaczowie na Podkarpaciu musiał o połowę ograniczyć liczbę zabiegów wszczepiania endoprotez. Do podobnej sytuacji (choć ograniczenia są mniejsze) doszło w Szpitalu Miejskim im. Jana Pawła II w Rzeszowie. Mniej zabiegów przeprowadza się również w Busku-Zdroju i Gnieźnie. Przyjęcia pacjentów ograniczono w Szamotułach (Wielkopolska) i Koninie, a w kłopoty wpadł także szpital w Końskich (woj. świętokrzyskie) oraz Strzelinie (Dolny Śląsk), gdzie ograniczono zabiegi rehabilitacyjne. Z kolei w szpitalu w Rawie Mazowieckiej problemy dotyczą – jak czytamy w doniesieniach agencyjnych – m.in. leczenia chorób płuc, specjalistycznego i kompleksowego leczenia ran przewlekłych, leczenia uzależnień oraz chirurgii jednego dnia: urologii i ortopedii.

Minister zdrowia Izabela Leszczyna zapowiedziała niedawno zmniejszenie liczby porodówek w szpitalach powiatowych, co w niektórych przypadkach będzie oznaczać, że rodzące matki będą musiały dojechać do placówek oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów od ich miejsca zamieszkania. Można jedynie współczuć tym kobietom, którym tuż przed porodem przyjdzie pokonać tak długą podróż zimą i w środku nocy, zwłaszcza jeżeli mieszkają na odległej wsi.

Zapaść w służbie zdrowia nie ogranicza się jednak do prowincji. Przykładowo w warszawskim szpitalu przy ul. Barskiej mają zniknąć oddziały chirurgii urazowo-ortopedycznej i ogólnej. Cięcia dotykają też całe programy leczenia. Od nowego roku ma być drastycznie ograniczona rehabilitacja lecznicza pacjentów. Resort chce skrócić listę wskazań do rehabilitacji w warunkach szpitalnych z 900 do zaledwie 170 pozycji, a w trybie domowym do 40. Jak alarmują lekarze, dotknie to przede wszystkim dzieci, które zostaną pozbawione dostępu do leczenia.

Odcięci od leczenia mogą pozostać także pacjenci, u których w tym kwartale

Fot. Liudmyla Kazakova, Andrzej Wiktor

eprasa.pl c67ab20c39

zdiagnozowano stwardnienie rozsiane lub rdzeniowy zanik mięśni. Na terapię i konieczne zabiegi coraz częściej czekają też pacjenci onkologiczni oraz oczekujący na operację zaćmy. „Chorzy na raka, którzy trafiają do kolejki, mogą nawet nie doczekać leczenia" – alarmowała w rozmowie z Wirtualną Polską prezes Ogólnopolskiej Federacji Onkologicznej Dorota Korycińska.

NIE TYLKO LESZCZYNA

Napływające każdego dnia dramatyczne informacje nie pozostawiają złudzeń: w służbie zdrowia mamy dziś zapaść na niespotykaną od dawna skalę. Kto jest temu winien? Najprościej jest wskazać minister zdrowia Izabelę Leszczynę, której ogólna niekompetencja jest już tak powszechnie znana, że stała się obiektem ponurych żartów i memów.

We wrześniu 2022 r. Leszczyna jeszcze jako posłanka opozycji twierdziła, że po dojściu PO do władzy wszystkie problemy Polaków znikną „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki". Jednak natychmiast po objęciu fotela ministra gwałtownie zmieniła zdanie. „Nie da się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić wszystkiego od razu" – obruszyła się na pytanie o pogarszającą się sytuację w służbie zdrowia.

Jednak nie Leszczyna jest tu głównym problemem. Wsadzenie jej przez Tuska na wybuchowy stołek może być z jego strony świadomym zabiegiem, żeby zrobić z niej kozła ofiarnego i usunąć z rządu, gdy dojdzie do kompletnej katastrofy. Mamy więc do czynienia z czymś znacznie poważniejszym niż nieudolność ministra.

Zapaść w służbie zdrowia ma charakter strukturalny, który został pogłębiony przez obecną ekipę rządową. Jak powszechnie wiadomo, szpitale publiczne są finansowane głównie ze środków gromadzonych przez Narodowy Fundusz Zdrowia, na który składają się wszyscy obywatele opłacający składkę zdrowotną. Usługi medyczne, takie jak wizyty lekarskie, badania, zabiegi, są wyceniane przez resort zdrowia według rekomendacji Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Na tej podstawie NFZ refunduje koszty poniesione przez placówki medyczne.

Pula pieniędzy jest ograniczona, dlatego świadczenia medyczne są limitowane. Jeśli pieniądze się skończą, szpitale nie otrzymają zapłaty za wykonane „nadmiarowe" świadczenia, a to – jeśli rząd nie dosypie dodatkowej kasy – może doprowadzić do zadłużenia i upadku wielu placówek. Z taką sytuacją mamy do czynienia właśnie teraz.

> Wiele wskazuje na to, że zamieszanie wokół budżetu NFZ jest przygrywką do prywatyzacji służby zdrowia lub kolejnej reformy, która wprowadzi odpłatność za usługi medyczne

ARYSTOKRACJA I PLEBS

W 2021 r., po wybuchu pandemii, ustalono, że nakłady na służbę zdrowia będą stopniowo rosnąć i w 2027 r. osiągną 7 proc. PKB. W br. ma to być 6,2 proc. Jednak sam wzrost wydatków, o ile zostanie utrzymany przez obecny rząd, nie sprawi cudów. Ważny jest bowiem również czynnik ludzki.

Jedną z najbardziej kosztownych pozycji w wycenie usług medycznych są wynagrodzenia lekarzy, które według wyliczeń Federacji Przedsiębiorców Polskich w latach 2018–2024 miały pochłonąć 69 proc. wszystkich nakładów na służbę zdrowia.

W publicznej służbie zdrowia część lekarzy pracuje na etatach – wówczas otrzymują oni pensję w ustawowo zagwarantowanej wysokości. Od lipca jest to min. 10,4 tys. zł brutto dla lekarzy ze specjalizacją i min. 8,5 tys. zł brutto dla lekarzy bez specjalizacji – w praktyce bywa, że kwoty są wyższe, bo trzeba jeszcze uwzględnić wynagrodzenia za pełnione dyżury.

Inni lekarze działają w formie jednoosobowej działalności gospodarczej i zawierają kontrakty z placówkami medycznymi, a ich praca jest wyceniana rynkowo. Nietrudno się domyślić, że lekarze kontraktowi zarabiają więcej niż etatowi – niekiedy nawet trzy- lub czterokrotnie. Pracę na kontrakcie wybierają najczęściej lekarze o poszukiwanej specjalizacji, którym łatwiej jest wynegocjować wyższą stawkę. We wrześniu br. na spotkaniu Zespołu Trójstronnego ds. Ochrony Zdrowia poinformowano, że jeden z warszawskich neurochirurgów wystawił rachunek za miesiąc swojej pracy na rekordową kwotę 327 tys. zł. To oczywiście wyjątek od reguły, ale zarobki w poszukiwanych specjalizacjach potrafią być wysokie, zwłaszcza że na takich lekarzy poluje również prywatna służba zdrowia.

Być może rozwiązaniem tego problemu byłoby zwiększenie liczby miejsc na najbardziej dochodowych specjalizacjach. Jak twierdzą zwolennicy tego pomysłu, wówczas wzrośnie liczba poszukiwanych lekarzy i cena ich usług spadnie. Krytycy uważają z kolei, że pełne otwarcie dostępu do najlepszych specjalizacji spowoduje, że nie będzie chętnych na te, które przynoszą mniejsze zyski. Dlatego nie należy nic zmieniać. I właśnie ta opcja – utrzymania *status quo* – wygrywa od wielu lat.

Trudno nie dostrzec w tym oporu części środowiska lekarskiego przed spadkiem zarobków. W podobny sposób tłumaczy się też niechęć do otwierania nowych kierunków medycznych, bo przecież im więcej lekarzy na rynku, tym ich pensje niższe.

Problem z finansowaniem publicznej służby zdrowia ma więc charakter strukturalny. Nie da się go rozwiązać bez zmian w systemie kształcenia lekarzy. Jak długo bowiem będzie istniała prawdopodobnie sztucznie wykreowana nierównowaga pomiędzy różnymi specjalizacjami, tak długo będziemy mieli do czynienia z nieliczną, dobrze zarabiającą arystokracją lekarską i znacznie gorzej opłacanym plebsem. Jakość leczenia na pewno się od tego nie poprawi, bo większość pieniędzy zgarną ci, którzy są najlepiej ustawieni zawodowo. Dalsze utrzymywanie tej sytuacji przypomina wsypywanie monet do worka bez dna.

eprasa.pl c67ab20c39

PRIORYTETY PLATFORMY

Według oficjalnych danych plan finansowy NFZ na 2024 r. przewidywał 157,5 mld zł na pokrycie kosztów świadczeń opieki zdrowotnej. Zdaniem obecnego rządu był on niedoszacowany i w br. służbę zdrowia trzeba było zasilić dodatkową kwotą 21 mld zł. Okazało się, że to ciągle zbyt mało, więc pojawiły się kłopoty. Mówiąc krótko, wszystko to wina PiS.

Tymczasem była minister zdrowia Katarzyna Sójka odbija piłeczkę, przypominając, że obecna ekipa rządowa obiecywała przed wyborami wzrost środków na służbę zdrowia. „Zniesiemy limity NFZ w lecznictwie szpitalnym, dzięki czemu znacząco skróci się czas oczekiwania na konsultacje i zabiegi" – głosi jeden (dokładnie 30.) ze 100 tzw. konkretów Tuska. Nowa polityka miała zostać wdrożona – jak „za dotknięciem czarodziejskiej różdżki" – już po 100 dniach od przejęcia władzy przez Platformę. Jak wiemy, nic takiego się nie wydarzyło. Jest gorzej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

PiS pozostawiło w spadku swoim następcom 14 mld zł zabezpieczonych w kasie NFZ. Jeżeli nadal brakuje środków, to zdaniem Sójki należy je natychmiast znaleźć. Przypominając sobie poprzednie lata – okres pandemii czy wybuchu wojny na Ukrainie – można być pewnym, że gdyby nadal rządziło PiS, to wyciągnęłoby potrzebne pieniądze nawet spod ziemi. Obecna władza ma jednak inne priorytety – pomimo katastrofalnej sytuacji w służbie zdrowia rząd przekazał łącznie 4 mld zł na dofinansowanie TVP w likwidacji oraz na esbeckie emerytury. Nie pilnuje też cieknącej dziury VAT – jak donosi „Rzeczpospolita" w pierwszym półroczu tego roku wykryto próby wyłudzeń na kwotę ponad 4 mld zł. Pieniądze w Polsce są, tylko uciekają bokiem lub zwyczajnie się je marnuje.

„Przyzwyczailiśmy się już do tego, że PiS płaciło szpitalom za wszystko. Teraz PiS nie rządzi, więc trzeba się odzwyczaić" – szczerze wyjaśniła Izabela Leszczyna.

Efekty tej polityki już są widoczne. Zamiast inwestycji w publiczną służbę zdrowia czeka nas prawdopodobnie jej dalsza zapaść i prywatyzacja. „Nie lubię słowa »likwidacja«, ale mamy taką propozycję dobrowolnej reorganizacji szpitali i będę o tym rozmawiała ze starostami, z marszałkami i dyrektorami szpitali" – mówiła na początku lipca minister Leszczyna w radiowej Trójce.

Słowo „reorganizacja" też nie wygląda dobrze i bardzo przypomina niesławną „komercjalizację" z czasów pierwszych rządów PO-PSL, gdy Tusk postanowił „oddłużyć" szpitale, przekształcając je w spółki i przekazując samorządom, co musiało oznaczać faktyczną likwidację wielu placówek. Dzisiaj następuje powrót do tamtej koncepcji, która niezależnie od nazwy i szczegółów również będzie prowadzić do ograniczenia dostępu do opieki medycznej, zwłaszcza dla najuboższych i mieszkających na prowincji.

> Bezpieczeństwo zdrowotne obywateli jest niemożliwe bez silnego, sprawnego państwa. Możemy więc mieć jedynie nadzieję, że obecne rządy uda nam się przeżyć w zdrowiu

SPRAWA ŻYCIA I ŚMIERCI

Według niektórych wyliczeń w najbliższych trzech latach luka w budżecie NFZ może wynieść ponad 100 mld zł. Co więcej, pieniędzy na służbę zdrowia może być jeszcze mniej, jeśli uda się przeforsować w Sejmie absurdalny pomysł Polski 2050 na obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Gdyby bowiem przyjąć propozycje w tej sprawie zgłaszane przez Ryszarda Petru, to deficyt w publicznej służbie zdrowia mógłby wzrosnąć o dodatkowe 63 mld zł, a w najlepszym razie o 30 mld zł – na tyle bowiem Ministerstwo Finansów szacuje koszt rozwiązań zaproponowanych ostatnio przez formację Szymona Hołowni.

Czołowi politycy obecnej koalicji najwyraźniej są gotowi zgodzić się na to, aby duża część społeczeństwa została faktycznie pozbawiona dostępu do opieki medycznej. To już nie tylko kwestia ubóstwa, wysokich cen, cięć w programach socjalnych lub emeryturach, lecz sprawa życia i śmierci.

Jeżeli zapaść w publicznej służbie zdrowia nie zostanie powstrzymana – a pod obecnymi rządami to mało prawdopodobne – to za kilka lat przetrwa ona w szczątkowej formie, i to jedynie w największych miastach. Wiele zresztą wskazuje na to, że zamieszanie wokół budżetu NFZ jest przygrywką do prywatyzacji opieki medycznej lub kolejnej reformy, która po ograniczeniu liczby publicznych „niedochodowych" placówek, wprowadzi odpłatność za część wykonywanych tam świadczeń. Wtedy na lekarza będzie stać tylko najbogatszych, bo leczenie poważnych, przewlekłych chorób jest poza zasięgiem finansowym przytłaczającej większości Polaków. Mało kto zdaje sobie jednak z tego sprawę, szczególnie młodzi i w pełni sił, którzy najchętniej zrezygnowaliby z opłacania składki zdrowotnej. Ich najłatwiej ogłupić banialukami o prywatnych szpitalach.

Tymczasem służby zdrowia nie da się naprawić poprzez prywatyzację lub wprowadzenie odpłatności za usługi medyczne. Owszem, tego rodzaju służba zdrowia mogłaby być efektywna, ale wyłącznie w przypadku leczenia lżejszych chorób, bo to nie wymaga dużych nakładów i przynosi szybki zysk. Trzeba jednak pamiętać o tym, że w tego rodzaju systemie rynkowym z ekonomicznego punktu widzenia leczenie poważnych lub przewlekłych schorzeń nie ma sensu, bo trudno byłoby w Polsce znaleźć wystarczającą liczbę pacjentów, których stać na kosztowne terapie. Nie ma też co liczyć na prywatne ubezpieczenia zdrowotne. Taki ubezpieczyciel w przeciwieństwie do państwa musi zarabiać i nikomu nie będzie finansował długotrwałego leczenia.

Wszystko to oznacza, że bezpieczeństwo zdrowotne obywateli jest niemożliwe bez silnego, sprawnego państwa. Niestety szanse na takie państwo zostały zaprzepaszczone podczas ostatnich wyborów. Dziś możemy mieć więc jedynie nadzieję, że obecne rządy uda nam się przeżyć w zdrowiu.

eprasa.pl c67ab20c39

Wariant: Sikorski

Co by się działo, gdyby kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta był obecny minister spraw zagranicznych

STANISŁAW JANECKI

W rankingu zaufania dla osób publicznych opublikowanym 23 października 2024 r. w Onecie i na jego zlecenie (a wykonanego przez IBRiS) minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski znalazł się na czwartym miejscu z zaufaniem na poziomie 39 proc. (więcej o 5,1 pp. w porównaniu do pomiaru z lutego 2024 r.). Komentując to badanie, prof. Antoni Dudek, politolog i historyk z UKSW, stwierdził, że Sikorski „wpycha się drzwiami i oknami", aby zostać „kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta". I „próbuje zaistnieć w roli niezłomnego destruktora wpływów Rosji, zamykając jej konsulat w Poznaniu".

Sikorski ma największe parcie na prezydenturę spośród wszystkich potencjalnych kandydatów. Jest ono tak wielkie, jakby poza horyzontem 2025 r. zamykało się dla niego historyczne okno, w którym jeszcze może zostać głową polskiego państwa. Było ono zamknięte w 2010 r., gdy Sikorski uczestniczył w prezydenckich prawyborach Platformy Obywatelskiej i przegrał z Bronisławem Komorowskim. Od tej porażki po chwilowym załamaniu jego apetyt rósł, by pod koniec 2024 r. stać się wręcz wilczy. Także z tego powodu, że wymaga tego od niego żona – znana i wpływowa dziennikarka i pisarka Anne Applebaum. Krążą nawet opowieści o tym, że Sikorski ma tylko wygrać, a potem faktycznym prezydentem byłaby ona. O szefie dyplomacji jako kandydacie na prezydenta najwyraźniej myśli już ważny w obecnym systemie władzy ośrodek, jakim jest „Gazeta Wyborcza", która oddaje swoje łamy małżeństwu Sikorski–Applebaum.

Formalnie wybór kandydata na prezydenta Polski zależy do Donalda Tuska i Rady Krajowej PO, ale znaczenie będzie miało to, na czyje wsparcie kandydat może liczyć z zewnątrz, głównie z Berlina. Tu, paradoksalnie, szanse Radosława Sikorskiego mogą być większe niż Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego. Choć wydawało się, że sprawa kandydatury na prezydenta rozgrywa się tylko między Trzaskowskim i Tuskiem, to ten trzeci – Sikorski – może być optymalnym wyjściem. Tusk i Trzaskowski nie musieliby rezygnować ze swoich stanowisk, a ewentualna wygrana Sikorskiego dopełniłaby system, jak to ujął Grzegorz Schetyna, skądinąd popierający Sikorskiego (podobnie jak Bronisław Komorowski). Co by się działo, gdyby kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta RP był obecny minister spraw zagranicznych?

TORPEDA R + A

Już 25 lutego 2024 r. Tomasz Lis napisał: „Uważam, że na naszym radarze powinien pozostawać Radosław Sikorski. Radek + Anne to byłaby prawdziwa polityczna i intelektualna torpeda, która z pewnością zrobiłaby furorę na całym świecie. Polska, uważam, już do takiego wyboru dorosła".

Sikorski, uważający się i uważany za salonowego lwa europejskiej dyplomacji, ustosunkowany i świetnie ożeniony, mający bardzo wpływowych przyjaciół w świecie oraz w mediach po obu stronach Atlantyku, korzystający z mitu absolwenta Oxfordu, okazał się niewybuchem w 2010 r. A potem zaczął się jego polityczny upadek, czyli został zmuszony do odejścia z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a po pół roku także do porzucenia funkcji marszałka Sejmu, którą dostał na pocieszenie. Jego kandydowanie w 2025 r. miałoby być rekompensatą i długo oczekiwaną nagrodą, a prezydentura Polski – ukoronowaniem kariery zapoczątkowanej, gdy miał 29 lat, stanowiskiem wiceministra obrony w rządzie Jana Olszewskiego. Potem była jeszcze posada wiceministra w MSZ, którą Sikorski objął, mając 35 lat.

Te etapy pośrednie oraz jego studia w Oxfordzie i młodzieńcze doświadczenia z Afganistanu mają podkreślać, że Sikorski był cudownym dzieckiem, które po prostu musi zajść bardzo daleko. Inwestowanie w dwór w Chobielinie, zapraszanie tam ważnych osobistości ze świata, traktowanie tej posiadłości jak magnackiego pałacu było przygotowaniem do funkcjonowania Sikorskiego i Applebaum jak pary królewskiej, a przynajmniej książęcej. Prezydentura osiągnięta w 2025 r. miałaby być równie wzniosła i majestatyczna jak Ignacego Mościckiego w II RP, a nawet bardziej, bo znana, światowa i wpływowa żona Sikorskiego przenosiłaby legendę przez morza i lądy.

Radosław Sikorski bardzo chce zrekompensować sobie niezrealizowane plany. Przecież miał już być sekretarzem generalnym NATO lub przewodniczącym Rady Europejskiej (zamiast Tuska). Nie było na to szans ze względu na jego „wyskoki". Wprawdzie od czasu, gdy po wysadzeniu ładunków, które zniszczyły fragmenty rur Nord Stream, a Sikorski napisał na Twitterze: „Thank you, USA", zaczął się pilnować, ale nie zniknęła jego dziwaczna antyamerykańska postawa. W Waszyngtonie dobrze o niej wiedzą, mimo że Anne Applebaum bardzo się starała, by tę sprawę wyczyścić. Po wpisie Sikorskiego Ned Price, rzecznik Departamentu Stanu, powiedział: „Idea, że Stany Zjednoczone są w jakikolwiek sposób zamieszane w ten prawdopodobny sabotaż gazociągów Nord Stream, jest niedorzeczna. To nic więcej niż funkcja rosyjskiej dezinformacji i tak powinna być traktowana". Dmitrij Poljanskij, pierwszy zastępca stałego przedstawiciela Rosji przy ONZ, napisał wtedy: „Dziękujemy, Radosławie Sikorski, za wyjaśnienie, kto stoi za tym terrorystycznym atakiem na infrastrukturę cywilną".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c67ab20c39

Skutek tego, co napisał Sikorski, był taki, że na jakiś czas stał się dla Waszyngtonu *persona non grata*. I byłby kimś takim nawet jako prezydent RP, szczególnie gdyby wybory w USA wygrał Donald Trump. A także z powodu, o którym mówi prof. Andrzej Nowak, wybitny historyk i znawca Rosji: „[Sikorski] uważał, że rozmawiać trzeba z silniejszymi sąsiadami, z Rosją i Niemcami, nawet na kolanach [...], a na słabszych można krzyczeć albo ich zignorować". Sikorski szukał porozumienia z Rosją kosztem Litwy i Ukrainy. Upokarzał te państwa, na co nigdy się nie odważył wobec Rosji. Zachowywał się wręcz jak wasal Siergieja Ławrowa, z którym się spotykał, a nawet zaprosił jako mentora dla polskich dyplomatów. Absolutnie kompromitujące były wypowiedzi Sikorskiego o stworzeniu dla Rosji ścieżki do NATO i traktowanie tego państwa jak normalnej demokracji, z którą uprawia się przyjacielską dyplomację – jak on z Ławrowem.

KANDYDAT NIEMIEC

Sikorski zaogniał relacje z USA w czasie, gdy kierował MSZ w pierwszym rządzie Tuska, co skutkowało opóźnieniem budowy amerykańskiej bazy antyrakietowej w Redzikowie. 20 sierpnia 2008 r. umowa w tej sprawie została podpisana, jednak gierki Sikorskiego (i Tuska) nie ustawały, więc 17 września 2009 r., w 70. rocznicę napaści Sowietów na Polskę, USA ogłosiły, że tarcza nie powstanie w formie opisanej w umowie. Miał ją zastąpić inny projekt – system obrony przed rakietami krótkiego i średniego zasięgu. 3 lipca 2010 r. podpisano protokół zmieniający umowę z 2008 r. Ostatecznie baza w Redzikowie osiągnęła status operacyjny dopiero 15 grudnia 2023 r. To Sikorski razem z żoną Anne Applebaum są autorami prowokacyjnych tez, jakoby USA nie chciały bezwarunkowo bronić Polski, a nawet zgodziłyby się na jakąś formę okupacji Polski przez Rosję.

Grając rolę antykomunisty i przeciwnika Rosji, *de facto* jej nie szkodził i nie utrudniał realizacji imperialnej polityki, także tej wrogiej Polsce. Atakując rząd PiS za „putinizm", Sikorski usprawiedliwiał Putina, bo relatywizował nie tylko jego zamordyzm w kraju, lecz także jego imperializm z napaścią na Ukrainę na czele. Prof. Andrzej Nowak stwierdził, że „dech zapiera bezczelność, hucpa ludzi [Tuska i Sikorskiego] najbardziej zaangażowanych w popieranie agresywnej polityki Putina całkowitą biernością i podporządkowaniem Polski jego planom. A dzisiaj ośmielają się pouczać, występować bez zmrużenia oka w roli jakichś autorytetów moralnych w sprawie polityki wschodniej. [...] Nikt – poza oczywiście Władimirem Putinem – nie zrobił tyle, ile Donald Tusk i Radosław Sikorski, żeby zaszkodzić Ukrainie. Żeby wesprzeć Putina w agresji na Ukrainę w tych latach do 2013 r.". To nie dziwi, skoro w 2007 r. Sikorski zaczął urzędowanie w MSZ od ugruntowania przyjaźni z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem, jednym z najgorszych moskiewskich jastrzębi i jednocześnie kłamców.

> Prezydentura Radosława Sikorskiego osiągnięta w 2025 r. miałaby być równie wzniosła i majestatyczna jak Ignacego Mościckiego w II RP, a nawet bardziej, bo jego znana, światowa i wpływowa żona Anne Applebaum przenosiłaby legendę przez morza i lądy

W czerwcu 2014 r. brukselski portal EUobserver odnotował, że Radosław Sikorski został przyłapany [chodziło o nagrania z dwóch warszawskich restauracji] na „mieszaniu z błotem stosunków między Warszawą a Waszyngtonem". Odnoszono się do wypowiedzi ówczesnego szefa polskiej dyplomacji, że „polsko-amerykański sojusz to jest nic niewarty. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa. [...] Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy". Gdyby Sikorski został prezydentem RP, ta jego postawa wciąż byłaby wielkim problemem.

I nie zrekompensuje tego poparcie dla niego płynące z Berlina. Afronty czynione w ostatnich miesiącach Tuskowi przez władze Niemiec, np. potwierdzony przez byłego prezydenta Estonii Toomasa Hendrika Ilvesa sprzeciw kanclerza Olafa Scholza, by polskiego premiera doprosić do szczytu w Berlinie (18 października 2024 r.), nie są przypadkiem. Niemcy mają już w Polsce kogoś lepszego na obecnym etapie ich interesów – właśnie Radosława Sikorskiego. Objawił się on zresztą jako polityk mocno proniemiecki już w 2011 r., gdy 28 listopada w Berlinie złożył Niemcom hołd, wręcz błagając, by podjęły się zadania przewodzenia Europie.

Wiele wskazuje na to, że Sikorski byłby „niemieckim" kandydatem na prezydenta Polski. Tusk już się dla Niemiec zużył, choć wiernie służył im przez lata. Obecnie Sikorski jest dla nich lepszym politykiem również ze względu na swój antyamerykanizm, bo rząd kanclerza Scholza nie pała wielką miłością do Ameryki. Siła niemieckich mediów w Polsce oraz mediów z niemieckim kapitałem za granicą jest tak wielka, że są w stanie pomóc Sikorskiemu zarówno zdobyć nominację na kandydata na prezydenta RP, jak i skutecznie wspierać go w kampanii. To wszystko sprawia, że szanse Sikorskiego rosną (tym bardziej, im później zostanie wyłoniony kandydat Koalicji Obywatelskiej, bo będzie więcej czasu na lobbing), a Trzaskowskiego i Tuska – maleją. Gdyby wybory wygrał Sikorski, wszyscy będą zadowoleni, choć nie w Polsce. Ale konieczne do zwycięstwa głosy można pozyskać, grając role światowca i przyjaciela możnych, czyli bardzo ważnej osoby (VIP). Tylko Polska byłaby w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

eprasa.pl c67ab20c39

Zakusy na 800+

Los programu Rodzina 800+ jest zagrożony. Proces jego destrukcji zacznie się najpewniej latem i jesienią przyszłego roku, czyli po wyborach prezydenckich. Teraz trwa sondowanie opinii publicznej, ale jest pewne, że Donald Tusk i jego koalicja ostrzą sobie zęby na monument pisowskiej polityki społecznej

PIOTR GURSZTYN

Przez najbliższe miesiące opinia publiczna będzie z jednej strony uspokajana, a z drugiej sondowana. Sprawdzana, jak szybko i ile można zabrać z dotychczasowych świadczeń społecznych. Celem numer jeden jest program 800+. Powody są oczywiste. Jeden praktyczny – wypłata 800+ jest największym wydatkiem budżetowym. To ponad 60 mld zł rocznie, czyli więcej niż idzie na emerytury. Drugi powód jest czysto emocjonalny – który liberał powstrzyma się przed pokusą cięcia pogardzanego socjalu? Tak przecież „rozdętego" i co najważniejsze wprowadzonego przez PiS. Będącego dowodem na sprawczość prawicy oraz jej umiejętność spełniania obietnic wyborczych.

BALONY PRÓBNE

W tej sprawie ekipa Tuska porusza się między silną niechęcią wobec pisowskiego „rozdawnictwa" a zrozumiałą ostrożnością. Dlatego od kilkunastu tygodni trwa wypuszczanie balonów próbnych. Pierwsze można uznać za półoficjalne (np. wypowiedzi Ryszarda Petru lub inspirowanie tekstów w mediach ekonomicznych o budżetowej konieczności wprowadzenia kryteriów dochodowych). Ale ostatnio w górę uniósł się balon pod oficjalną rządową flagą. Było nim nagłośnione przez dziennik „Rzeczpospolita" rządowe sprawozdanie z wykonania ustawy o pomocy dzieciom za 2023 r. W świat poszedł komunikat: „Rząd w oficjalnym dokumencie przyznał, że program Rodzina 800+ poniósł klęskę w dziedzinie demografii".

Samo to sformułowanie wskazuje na intencje. Nagłówek, jakby to ten rząd kiedykolwiek z przekonaniem bronił tego programu i był jego autorem, jest przecież manipulacją. Widać, że chodziło, aby przedstawić dawne 500+ i obecne 800+ jako ewidentną klęskę. A jednocześnie wnioski z tego samego dokumentu można sformułować inaczej. Np. zdanie: „Jeszcze w latach 2017–2018 rodziło się więcej dzieci, niż zakładano w wariancie bardzo wysokim, jednak potem urodzenia zaczęły pikować". Co to znaczy? Dokładnie to, że przez te dwa lata urodziło się 140 tys. dzieci więcej, niż zakładano nawet w najbardziej optymistycznym założeniu. Punktem odniesienia jest przecież wariant wysoki. A przecież statystycy w swych prognozach projektowali także warianty średni i niski (zdarza się, że przeszacowują nawet ten ostatni). Tak więc 140 tys. urodzeń jest minimalną liczbą, jaką należy przypisać działaniu programu 500+

Oprócz tego, gdyby intencją rządu było rzetelne przedstawienie skutków programu, to można byłoby zaakcentować jego pozytywną rolę w zniwelowaniu poziomu ubóstwa wśród dzieci. Wyjaśnijmy jeszcze, że wspomniane pikowanie liczby urodzeń nie miało związku z działaniem programu, ale z czynnikami, na które nie mógł mieć on już wpływu. Po pierwsze, z czynnikiem pokoleniowym – 500+ zostało wprowadzone zbyt późno. Wtedy, gdy w wiek rozrodczy weszły kobiety z roczników niżowych, a te z roczników bardzo licznych weszły w okres, w którym trudno decydować się na macierzyństwo z powodów biologicznych. To ich ostatniej kohorcie zawdzięczamy tę nadwyżkę 140 tys. urodzeń. Po drugie, ze względów kulturowych – cały czas działa ideologia obrzydzania dzieci. Dominujące na rynku media zamieszczają peany na temat bezdzietności. Modne stały się strefy „child free". W ten sposób model życia wygodnego, bo posiadanie dzieci łączy się z wysiłkiem i ograniczeniem osobistego komfortu, uzyskał podbudowę propagandową.

„Jest dokładnie tak, jak mówiliśmy od samego początku, kiedy ten program powstał. Już wtedy podnosiliśmy, że nie spełni celów demograficznych" – triumfalnie komentowała doniesienia „Rzeczpospolitej" wiceminister rodziny Aleksandra Gajewska.

Jednak tamtego dnia podniósł się raban w internecie. Gwałtownie protestowali najważniejsi politycy PiS: Beata Szydło, Mateusz Morawiecki, Jacek Sasin. Ich głos na tyle rezonował, że po iluś godzinach minister finansów Andrzej Domański musiał wygłosić *dementi*: „Nie ma żadnych planów dotyczących zmian w 800+. Opozycja nie potrafi nic

Fot. MOZCO Mateusz Szymanski/Shutterstock.com

eprasa.pl c67ab20c39

poza straszeniem. Ten program wpisał się w budżety polskich gospodarstw domowych i nie ma absolutnie żadnego planu, aby od niego odchodzić. Mogę zadeklarować, że do końca kadencji Sejmu program 800+ nie zostanie zlikwidowany, absolutnie" – przekonywał. Ale kim on jest, aby jego słowa uznać za bezwzględnie wiążące?

ODWIECZNA NIĘCHĘĆ PLATFORMY

Decyzję w tej sprawie podejmie Tusk, a wiadomo, jaką wartość mają jego najbardziej uroczyście wygłoszone deklaracje: „Naczelną zasadą polityki finansowej mojego rządu będzie stopniowe obniżanie podatków"; „Nie będziemy podnosić wieku emerytalnego po wygranych wyborach"; „Nie wybieram się do Brukseli". To tylko kilka z wielu jego publicznych zapowiedzi, które szybko okazały się być kłamstwem.

Na temat 500+ Tusk też wypowiadał rzeczy, które, najłagodniej rzecz ujmując, trzeba nazwać lawirowaniem. „Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt" – twierdził, iż rzekomo PO przygotowała, lecz nie zdążyła wprowadzić identycznego benefitu. Ale w 2014 r. na wieść o pomyśle PiS on sam mówił, że nie wie, gdzie w Polsce są „zakopane" pieniądze umożliwiające sfinansowanie pomocy dla rodzin z dziećmi. Gdy Kopacz była premierem, też negatywnie oceniała pomysł 500+: „Nie będę się w tej chwili podpisywać pod projektem, który będzie tylko i wyłącznie czczą obietnicą bez pokrycia w budżecie".

Za szczere natomiast trzeba uznać negatywne wypowiedzi w tym temacie, bo nie ma powodów, aby uznać, że Tusk kłamie, gdy mówi źle o prawicy. W grudniu 2019 r. opowiadał: „Ja nie żałuję, że nie wprowadziłem 500+, bo ja bardzo dokładnie liczyłem – mówię o całym moim rządzie – na co Polskę bezpiecznie stać, a na co Polski nie stać".

Dwa dni po tamtych słowach inny polityk PO, Sławomir Nitras, z pogardą oceniał program i jego beneficjentów: „Dla nas bardzo ważne jest to, żeby nie hodować biedy i patologicznych postaw. Nie doprowadzać do sytuacji takiej, gdzie z 500+, gdzie żyje się na dzieci, gdzie nie warto pracować, bo wystarczy mieć dzieci. To są postawy patologiczne". Nitras usłyszał publicznie wyrażoną opinię najważniejszej postaci w swoim obozie politycznym, więc i on stwierdził, że trzeba atakować rzecz, która była dowodem skuteczności polityki PiS.

Ta retrospektywa jest konieczna, aby zrozumieć serię zwrotów Tuska w tej kwestii. Z dala od czasu kampanii wyborczych PO dawała szczery upust swojej niechęci, gdy zaś zbliżał się moment elekcji, całkowicie zmieniała ton. Jesienią 2022 r. Izabela Leszczyna, polityczka niezbyt lotna, ale dzięki temu szczera, skrytykowała pojawiający się postulat waloryzacji 500+: „Nie wolno rozdać 800 zamiast 500, bo inflacja zje ludziom te pieniądze i będzie jeszcze gorzej". Kilka miesięcy później Tusk gwałtownie naciskał, aby podnieść świadczenie – właśnie z powodu wzrostu cen. Domagał się tego, aby 800+ wypłacać – wbrew regułom budżetowym – już od 1 czerwca 2023 r., żeby nie czekać z wypłatą do 1 stycznia 2024 r.

W sierpniu tego roku premier opowiadał: „W 2024 r., kiedy korygowaliśmy budżet odziedziczony po PiS, kiedy byliśmy zobowiązani do bardzo dużych płatności wynikających z poprzednich pomysłów, ale trzeba było je sfinansować – tu klasycznym przykładem jest 800+ – na kampanię PiS sobie wymyślił, że będzie zwiększenie 500+ na 800+, ale później przychodzi rząd, który to finansuje i to realnie wypłaca. To daje wyobrażenie, jak poważne wyzwania przed nami stanęły".

> Najprawdopodobniej rząd zniszczy 800+ metodą salami. Wprowadzi kryterium dochodowe. Co będzie łatwe, bo wiadomo, że większość Polaków to zaakceptuje

DARWINIZM SPOŁECZNY

Czy zapadł już zatem wyrok w sprawie 800+? Dużo zależy od tego, czy Tusk będzie miał z kim przegrywać. Wbrew jego nadziejom i działaniom prawica stoi na nogach i ma się coraz lepiej. To okoliczność dająca jako takie nadzieje na uratowanie programu.

Ale nie są one zbyt wielkie. Za silna jest emocja niechęci do wszystkiego, co stworzyła prawica. Ponadto „piniendzy" już nie ma i tym bardziej ich nie będzie. „Patologia" z „bąbelkami" to nie elektorat PO, a resztę da urobić się odpowiednią propagandą. Najpierw taką, że jest przymus ograniczenia wydatków w ramach procedury nadmiernego deficytu, więc nie ma szans na utrzymanie 800+ w dotychczasowym kształcie. Drugim hasłem będzie ogłoszenie konieczności zwiększenia wydatków na wojsko (a *de facto* przesunięcia pieniędzy z jednej pozycji budżetowej do drugiej). Wreszcie będzie to termin spłaty obligacji rządowych wyemitowanych w czasie pandemii (czyli winę zwali się na PiS).

Obrońcy 800+ nie doceniają silnego niestety zjawiska obecnego w polskim społeczeństwie – egoizmu. Jest dostatecznie duża grupa wyborców, która nie ma dzieci lub mają one powyżej 18 lat. Względnie jest na tyle zamożna, że przeboleje stratę kilkuset złotych miesięcznie, za to zyska satysfakcję, że nie musi dawać na „patologię". Znamienną reakcją na artykuł „Rzeczpospolitej" był wpis na oficjalnym koncie Konfederacji: „Na świadczenia wydano już ponad 300 mld zł i pomimo to nie osiągnięto żadnych celów programu. Liczba urodzeń spada, a wpływ programu na zmniejszenie skrajnego ubóstwa wyczerpał się. Politycy rządzący Polską jak zawsze nie słuchają głosu rozsądku i do błędu przyznają się po wielu latach. Jako Konfederacja od początku ostrzegaliśmy o pewnej porażce tego programu i głosowaliśmy przeciwko 800+! Rozwijanie programów socjalnych, zadłużanie państwa i stymulowanie inflacji to droga donikąd – Polska potrzebuje prostych i niskich podatków, a nie rozdawnictwa!".

eprasa.pl c67ab20c39

Fot. Andrzej Skwarczyński

Czyli rzekomo antysystemowa Konfederacja wpisuje się w establishmentową propagandę, że wspomaganie zwykłych, przeciętnych rodzin to „kupowanie głosów" albo „kiełbasa wyborcza". Co charakterystyczne, to samo twierdzi polska lewica. Ona też o wiele częściej atakowała program 500+, niż go broniła. I tutaj miejsce na dygresję: ta sama lewica nadzwyczaj często przywołuje przykłady polityki społecznej krajów Zachodu jako wzór do naśladowania. Ale nie robiła tego w przypadku 500+, mimo że to polski odpowiednik, niemal jeden do jednego, analogicznych systemów zachodnich: niemieckiego Kindergeld czy brytyjskiego Child Benefit. Warto też dodać, że na Litwie partia polskiej mniejszości – Akcja Polaków na Litwie – skłoniła pozostałe siły polityczne, aby wprowadzić zasiłek, który był naśladownictwem 500+.

Najprawdopodobniej rząd zniszczy 800+ metodą salami. Wprowadzi kryterium dochodowe. Co będzie łatwe, bo wiadomo, że większość Polaków to zaakceptuje (rok temu „Super Ekspress" zamówił badanie, które pokazało, że jest za tym 63 proc. pytanych). „Jeżeli ktoś jest bardzo bogaty, nie powinien dostawać 800+" – mówił niedawno w TVN24 Ryszard Petru. To będzie jednak wpuszczenie lisa do kurnika, bo wtedy rząd będzie miał całkowitą swobodę w określeniu tego progu. Tak PO zrobiła z dawnym programem PiS, tzw. becikowym. Najpierw ograniczyła go progiem dochodowym, a potem całkiem zlikwidowała.

Drugim sposobem będzie wprowadzenie wielu dodatkowych kryteriów. Tak się dzieje ze sztandarowym pomysłem PO, czyli „babciowym" (nazywanym złośliwie, ale trafnie „finansowaniem nianiek dla bogatych rodziców"). Program obejmuje tylko najmniejsze dzieci, zawiera skomplikowane warunki, które wykluczają wielką liczbę wnioskodawców. Wszystko zależy od wysokości ubezpieczenia emerytalnego i rentowego. Pieniądze przepadają, gdy jeden z rodziców przestanie być aktywny zawodowo lub zawiesi działalność gospodarczą. Tracą też pracownicy na umowie zleceniu lub biorący bezpłatne urlopy. Poza tym program doprowadził do masowej podwyżki opłat w żłobkach samorządowych i prywatnych, więc *de facto* nie jest żadnym realnym transferem dla beneficjentów.

Skasowanie powszechności 800+ będzie rewolucją społeczną, i to o antydemokratycznym charakterze. Wzmocni silnych, a osłabi słabszych. Będzie zwycięstwem darwinizmu społecznego w stylu Leszka Balcerowicza, który wbrew faktom mówił, że „500+ rozleniwia". Prof. Ryszard Scharfenberg, badacz polityki społecznej z Uniwersytetu Warszawskiego, ostrzegał niedawno: „Jeśli 800+ zostanie wycofane, to na pewno skrajne ubóstwo dzieci wzrośnie".

Badacze tematu zauważyli, że osiem lat funkcjonowania programu trzeba nazwać inwestycją w kapitał ludzki, bowiem większość pieniędzy została spożytkowana przez polskie rodziny na wydatki związane z kształceniem i zdrowiem dzieci. „Wprowadzenie zasiłku rodzinnego miało znaczący pozytywny wpływ na wydatki inwestycyjne. Sześcioprocentowy wzrost wydatków na zdrową żywność, zdrowie i edukację prawdopodobnie będzie miał pozytywny wpływ na zdrowie i zarobki dzieci" – wynika z badań prof. Jana Gromadzkiego z Uniwersytetu Ekonomicznego w Wiedniu. Pewną część pieniędzy spożytkowano na zakup urządzeń gospodarstwa domowego, co jest ważną korzyścią dla matek.

Prof. Gromadzki odnotował także szczególnie ważną rzecz: „Gospodarstwa domowe zwiększyły swoje oszczędności o ponad 20 proc. dzięki wprowadzeniu transferu". A oszczędności to bezpieczeństwo i wolność. Może więc chodzi o to, aby znów wrócił rynek pracodawcy, a nie pracownika, a ci najubożsi stali się uzależnioną od ocen urzędników klientelą ośrodków pomocy społecznej. Szkoda, że lewica nie widzi tego, że program przywrócił godność najbiedniejszym, a wolnościowcy nie rozumieją tego, że 800+ daje odrobinę wolności setkom tysięcy polskich rodzin.

eprasa.pl c67ab20c39

Wyborcy Platformy są jak z powieści Orwella

To nie jest tak, że jestem kibolem Prawa i Sprawiedliwości, który pójdzie się bić za swój klub. Po prostu PiS jest w tej chwili najbliżej mojej koncepcji budowy i działania państwa

Z Jackiem Piekarą, autorem bestsellerowych na polskim rynku powieści fantasy, który nie boi się ujawniać ze swoimi antykomunistycznymi i prawicowymi poglądami politycznymi, rozmawia Jakub Maciejewski

Dlaczego pan się odnalazł tak dobrze akurat w fantastyce?

Jacek Piekara: Ze znanymi dzisiaj pisarzami Rafałem Ziemkiewiczem i Jarosławem Grzędowiczem uczyliśmy się w jednej szkole i interesowaliśmy się fantastyką. Chodziliśmy na spotkania klubów, czytaliśmy książki, rozmawialiśmy o literaturze. Dla wielu młodych ludzi z mojego pokolenia, pokolenia stanu wojennego, fantastyka była odskocznią od biednego, zacofanego i tłumiącego wolność państwa, jakim była PRL. Obcowanie z fantastyką dawało nam właśnie poczucie wolności, otwierało nowe światy wyobraźni.

Która z lektur okazała się przełomowa?

Bez wątpienia był to Orwell, zwłaszcza „Rok 1984" jako podręcznik totalitaryzmu. „Dwójmyślenie" jako sposób wyznawania dwóch sprzecznych ze sobą wartości, bez hipokryzji, ze szczerą wiarą, że one się ze sobą nie kłócą, to przecież mechanizm znany także i dzisiaj. To typowe dla wyborców PO, którzy zgadzają się z Tuskiem, nieważne, czy jest akurat za wpuszczaniem imigrantów, czy za ich stanowczym zatrzymaniem.

Orwell doskonale rozpoznał również istotę „nowomowy" oraz uznał, że kiedy ludziom zabierze się słowa, to jednocześnie odbierze się im możliwość buntu, ponieważ nie będą mogli go wyrazić. Podobnym mechanizmem jest władza nad historią. Kiedy rządzący fałszują dokumenty z przeszłości, by zgadzały się z teraźniejszymi teoriami. Niedawno wielu osobom przypomniało się ten schemat, kiedy TVP czyściło strony internetowe, by nie wyszło na jaw, że wcześniej wódz Tusk mówił jednak coś kompletnie innego.

Nie ma pan obaw, że takie jednoznaczne deklaracje polityczne odstraszą czytelników?

Znam osoby, które porzuciły lekturę moich książek ze względu na różnice polityczne między nami. Przyznają, że lubią moje powieści, ale poznawszy moje poglądy, przestali je kupować.

Jest pan pisowcem?

To nie jest tak, że jestem kibolem Prawa i Sprawiedliwości, który pójdzie się bić za swój klub. Po prostu PiS jest w tej chwili najbliżej mojej koncepcji budowy i działania państwa. Zjednoczona Prawica często mnie irytowała, np. była za miękka przy reformach sądownictwa, wobec Unii Europejskiej, w rozprawie ze spadkiem postkomunizmu. Ale od początku mówiłem, że alternatywa dla Polski, dla nas, dla społeczeństwa, dla pomyślności naszego kraju, jest tak straszna, że trzeba poprzeć PiS. Po niespełna roku widać, że właśnie tak jest, że rządy Tuska cofają nasz kraj w rozwoju w każdej dziedzinie.

Napisał pan kiedyś powieść „Przenajświętsza Rzeczpospolita", w której fanatyzmy religijne i post-

Fot. Robert Łakuta

eprasa.pl c67ab20c39

komunistyczne splatają się ze sobą i rządzą krajem.

Pamiętam, że po lekturze „Przenajświętszej" odezwał się do mnie Maciej Maleńczuk, zachwycony książką. I był totalnie zdziwiony, że głosuję na PiS. Ale bardzo miło nam się wtedy rozmawiało. Szkoda, że dzisiaj i dla niego, i dla ludzi z jego środowiska sposobem komunikacji z osobami prezentującymi inne poglądy są pięści i bluzgi.

Część ludzi w Polsce wierzy, że inteligentny człowiek nie może głosować na PiS.

W polskiej polityce istnieje przecież nurt, który uznaje, że wszystko co wymyśliło PiS, jest złe. To fanatyzm posunięty do tego stopnia, że ostatnio Tusk zaczął twierdzić, iż to jego obóz polityczny wymyślił program 500+. Nie dziwię się żartom, że prezes PiS powinien skrytykować jedzenie odchodów – a wtedy zwolennicy Tuska by je jedli i publicznie chwalili, by w ten sposób protestować przeciwko Kaczyńskiemu.

Znamy badania Sierakowskiego i Sadury, z których wynika, że wyborcy prawicy są bardziej otwarci na inne poglądy oraz korzystają z wielu różnych źródeł informacji. Tymczasem zwolennicy PO oglądają przede wszystkim TVN24. I kiedy ciągle obcują z tym szambem, to nic dziwnego, że ich umysły w nim toną.

Bardzo ostro mówi pan o władzy i wspierających ją środowiskach. Czy jako pisarz nie miał pan jednak pokusy, by związać się z salonem i czerpać z tego benefity?

Nigdy nie ukrywałem swoich antykomunistycznych poglądów. Naturalnie w świecie mediów społecznościowych wszyscy mogli wyraźnie zobaczyć, co myślę. A zawsze jestem szczery i uważam też, że osoby opiniotwórcze i publiczne nie powinny unikać rozmów o problemach kraju. Z pewnymi wyjątkami, bo rozumiem, że sportowcy, reprezentujący przecież wszystkich Polaków, najczęściej nie chcą antagonizować kibiców. Ale pisarzowi o wiele trudniej udawać, że nie ma poglądów społecznych czy politycznych. Niektórzy jednak starają się tego nie akcentować zbyt mocno. Np. Remigiusz Mróz zdaje się być delikatnie antypisowski, ale wyraźnie nie chce do końca zrazić do siebie prawicy i wielu tzw. pisowców czyta i lubi jego książki. Szczepan Twardoch odwrotnie – jawnie atakuje prawicę, choć bardzo celnie ostatnio drwił z intelektualistów popierających Tuska... Z kolei Andrzej Pilipiuk nie kryje swoich skrajnie antyunijnych przekonań. Nawiasem mówiąc, ostatnie lata bardzo zbliżyły mnie do niego w tym aspekcie. Pisarze na całym świecie potrafią ostro deklarować swoje poglądy, tak jak choćby najsławniejsi – Stephen King czy J.K. Rowling. Moje obecne poglądy to w dużej mierze plon młodzieńczego antykomunizmu. Antykomunista nie może głosować na Lewicę czy Platformę, które są spadkobiercami PZPR i admiratorami zbrodniczej Służby Bezpieczeństwa.

Moje obecne poglądy to w dużej mierze plon młodzieńczego antykomunizmu. Antykomunista nie może głosować na Lewicę czy Platformę, które są spadkobiercami PZPR i admiratorami zbrodniczej Służby Bezpieczeństwa

Krążymy w temacie różnych fanatyków, bo stworzył pan literacki świat inkwizytora Mordimera Madderdina, w którym chrześcijaństwo powstało nie na micie ukrzyżowania Chrystusa, ale na micie Jezusa mściciela, który ukarał swoich oprawców i stworzył mocarstwo na gruzach Imperium Rzymskiego.

Dzisiaj wiem, że pomysł stworzenia tego alternatywnego świata zrodził się na lekcjach religii, kiedy miałem 12 lat. Nie mogłem zrozumieć jak to możliwe, że Chrystus, który był Bogiem, dał się ukrzyżować zamiast zejść z krzyża i ukarać swoich katów. Nie pokazał siły, tylko dał się zabić. Ta myśl o chrześcijaństwie surowym i karzącym kiełkowała we mnie, co po latach dało efekt w postaci kilkunastu książek cyklu. Po lekturze Kapuścińskiego wiem, że nie byłem osamotniony w moim niezrozumieniu zasad chrześcijaństwa. Np. wielu członków afrykańskich plemion nie mogło zrozumieć idei ukazywanych przez katolickich misjonarzy. Wizja umierającego i cierpiącego Boga nie odpowiadała ich wizji triumfu dobra nad złem. Chrześcijaństwo jest rzeczywiście trudne do pojęcia w tej kwestii...

Aż zainspirowało pana do napisania jego alternatywnej wersji.

W moim świecie istnieje nawet heretycka sekta, która uważa, że Jezus powinien umrzeć na krzyżu za grzechy ludzkości i główny bohater zastanawia się, po co miałoby się tak stać. Że to by było pozbawione sensu, gdyż dobro można zaprowadzać tylko siłą. W tak stworzonym świecie wymaganymi wartościami są zemsta oraz sprawiedliwa odpłata, a wierni nie modlą się: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami", ale „Wilku Boży, który zagryzasz grzechy świata, pożryj naszych wrogów".

Czy każda władza, której podstawą jest siła, demoralizuje?

Nie jestem przeciwnikiem dyktatury czy władzy autorytarnej jako takiej. Pod warunkiem, że służą one społeczeństwu i rozwijają kraj. To znaczy, że nie podobają mi się autorytarne ciągoty Donalda Tuska i jego środowiska, gdyż jego rządy służą interesom obcych państw oraz rodzimych zdegenerowanych i mafijnych środowisk. Jednak zaakceptowałbym takie rządy twardej ręki, dzięki którym państwo zostałoby oczyszczone z patologii. Które wreszcie zbudowałyby tę wymarzoną przez patriotów IV Rzeczpospolitą.

eprasa.pl c67ab20c39

Jest łatwo, póki rozmawiamy teoretycznie, ale jak wspomnimy konkretnych dyktatorów, np. Jaruzelskiego, to już nie musi być przyjemnie.

Janusz Korwin-Mikke przekonywał, że byłby w stanie zaakceptować stan wojenny, gdyby przyniósł on reformy gospodarcze, a nie ekonomiczną katastrofę.

Jeśli szukać akceptowalnych przykładów dyktatury można spojrzeć na Koreę Południową lat 80., gdzie nie było demokracji, ale rządzący dbali o dobrobyt społeczeństwa i rozwój gospodarki. Umiem też spojrzeć życzliwszym okiem na gen. Franco w Hiszpanii i choć mordercze czasy wojny domowej przyniosły wiele ofiar po obu stronach, to jednak pamiętajmy, że walczono nie z jakimiś dobrodusznymi demokratami, lecz z komunistami wspomaganymi przez stalinowskie NKWD. Przecież to, że w latach międzywojennych skrajnie biedna Hiszpania jest dzisiaj rozwiniętym krajem Zachodu, znacznie bogatszym od Polski, to zasługa właśnie gen. Franco. Mógłbym także wskazać pozytywy dyktatury Pinocheta, który nie pozwolił zamienić Chile w drugą Kubę i stworzył gospodarkę dawaną za przykład całej Ameryce Południowej. Tak więc autorytaryzm działający dla dobra rozwoju społecznego i gospodarczego może się czasem sprawdzić, zwłaszcza kiedy alternatywą dla niego byłaby komunistyczna dyktatura na wzór kubańskiej. Ale gdy dzisiaj w Polsce mamy do czynienia z łamaniem demokracji przez władzę, prowadzone jest to w interesie obcych państw oraz by torować drogę ideom wrogim naszej ojczyźnie. I to jest niewybaczalne.

> W mojej alternatywnej, lepszej historii współczesnej Polski nie byłoby miejsca dla Leszka Balcerowicza. Bo jeśli PRL była trądem, to Balcerowicz postanowił go wyleczyć za pomocą dżumy

Wygląda na to, że pańskie zastrzeżenia wobec PiS dotyczą tego, że nie zaprowadził dyktatury.

Mam wiele zastrzeżeń do PiS, ale wiem też, że wprowadzenie modelu autorytarnego w celu przeprowadzenia koniecznych reform byłoby skrajnie trudne czy wręcz niemożliwe w sytuacji, kiedy opozycję tworzyli kosmopolityczni renegaci sponsorowani i popierani z Berlina i Brukseli. Ale PiS nie zrobiło wielu rzeczy, które mogło zrobić bez najmniejszego trudu. W sferze symbolicznej niech będzie to chociaż zlekceważenie obchodów stulecia odzyskania niepodległości czy stulecia Bitwy Warszawskiej. Niech to będą obietnice stworzenia wspaniałej, hollywoodzkiej narracji o Polsce, a jedynym, co z tego wykiełkowało, jest przaśny serial „Korona królów". Fatalna nieumiejętność komunikacji społecznej zaowocowała tym, że PiS, które dla młodego pokolenia zrobiło najwięcej w historii RP, zostało przez to młode pokolenie odrzucone. Młodzi zawdzięczają PiS najniższe w historii bezrobocie, najwyższe w historii

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl c67ab20c39

płace minimalne, najniższe podatki czy wreszcie programy socjalne takie jak 500+. Nie pamiętają już, jak za pierwszych rządów Tuska trzeba było błagać o pracę, a od bezwzględnych pracodawców nie tylko dostawało się ochłapy, lecz także bezkarnie łamano prawa pracownicze. Tymczasem dzisiaj PiS jest ostatnim wyborem wśród młodych ludzi, którzy mówią o tej partii z politowaniem – jak o podpitym wujku, który na weselu kuzynki opowiada przaśne dowcipy.

Wina PiS?

Na wielu płaszczyznach. Zatracenie słuchu społecznego. Wysuwanie na pierwszy plan ludzi, których określano słowami „paździerz" i „obciach". Nieumiejętność wykreowania nośnych, przyciągających „normalsów" elit politycznych i popkulturowych. Odwołując się do wcześniejszego przykładu z podpitym wujasem z wesela, dodałbym tak: wielu ludzi chętnie brało pieniądze od tego wujasa, skoro je tak szczodrze rozdawał. Ale do domu w życiu by go nie zaprosili, bo wstydzili się przed rodziną i sąsiadami. PiS zapracowało sobie na taką opinię.

Gdyby miał pan napisać alternatywną, lepszą historię Polski współczesnej, gdzie by pan zaczął?

W 1988 r. Nie zapada wtedy decyzja o rozpoczęciu rozmów przy okrągłym stole. W Polsce postkomuniści zostają całkowicie odsunięci i surowo rozliczeni. Unikamy zbrodniczego eksperymentu Balcerowicza i idziemy drogą japońską czy koreańską, a więc wspierania własnego rynku, własnych przedsiębiorstw. A w rzeczywistości przecież oddaliśmy rodzime zakłady przemysłowe za bezcen, zamiast budować rynek wewnętrzny i potęgę własnych firm. W mojej lepszej, alternatywnej historii Polski nie byłoby więc bredni, że „kapitał nie ma narodowości", nie oddano by przedsiębiorstw w obce ręce. Chwała PiS za to, że wiele instytucji czy przedsiębiorstw wykupiono z powrotem i nie pozwolono sprzedać LOT czy KGHM, co było przecież realną koncepcją w czasie pierwszych rządów Tuska.

Nie wiem, czy faktycznie istniała taka możliwość, ale w mojej alternatywnej historii Polski, tej lepszej, mogłoby się pojawić znaczące zaangażowanie wybitnych przedstawicieli Polonii w budowę nowego państwa. Inwestycje, zakładanie firm, doradztwo, a nawet czynny udział w administracji krajem. W tej Polsce nie byłoby miejsca dla Leszka Balcerowicza – członka partii komunistycznej i wykładowcy marksistowskiej ekonomii, którego zaczęto kreować na ekonomicznego zbawcę. Co, przypomnijmy, zaowocowało zagładą nie tylko ogromnych zakładów pracy, lecz także całych branż przemysłu, bezrobociem setek tysięcy ludzi, pauperyzacją społeczeństwa. Ale za to doczekaliśmy się rozwoju przestępczości, w tym wielkich mafii. Jeśli PRL była trądem, Balcerowicz postanowił go wyleczyć za pomocą dżumy.

> Dzisiaj PRL często wspominamy anegdotycznie, ale nie możemy zapomnieć o tym, że to państwo i ten ustrój zmarnowały życie milionom ludzi, zabierając im prawo do życia w demokracji, wolności i dobrobycie

Często opowiada pan o złych owocach PRL.

Czasami opowiadałem mojemu dzisiaj 16-letniemu synowi o różnych aspektach życia w PRL. Smaczki związane nie tyle z polityką, ile absurdami i trudami codziennego życia. Pewnego dnia zapytał: dlaczego nie napiszesz książki o tym? I wtedy pomyślałem, że młodemu pokoleniu warto wyjaśnić, czym naprawdę i w każdym detalu była PRL. I tak powstała moja pierwsza książka z gatunku literatury faktu – „Świat zaginiony. Wyprawa do wnętrza PRL". Ukaże się na początku 2025 r. w Wydawnictwie Zysk. 800 stron maszynopisu, kilkaset ilustracji, format albumowy – to największa książka, jaką napisałem. Dzieląc całość na rozdziały i hasła, starałem się omówić każdy aspekt życia. Piszę o tym, jak ludzie mieszkali, jak się ubierali, jakie mieli obyczaje, jakie rzeczy kupowali w sklepach, co ich trapiło, czym się pasjonowali, czym się cieszyli, jakie mieli ulubione programy telewizyjne, ulubione filmy, ulubionych bohaterów. Jednocześnie w pewnym skrócie przedstawiam fundamenty polityczne i gospodarcze PRL, ponieważ zrozumienie tego, dlaczego to państwo się zawaliło, jest możliwe wtedy, kiedy będziemy wiedzieć, na jak fatalnych fundamentach je wybudowano.

Dziś są środowiska, które idealizują PRL jako państwo opiekuńcze.

Owszem – teoretycznie nie było bezrobocia, istniał masowy dostęp do tanich wczasów pracowniczych, a za czasów Gierka przeprowadzono masową motoryzację i urbanizację kraju. Ale jednocześnie mój ojciec, profesor prawa i wykładowca akademicki, przez miesiąc zarabiał tyle co ja, pracując jako pomocnik murarza na londyńskiej budowie w półtora dnia. PRL była państwem braku. Braku wolności obywatelskich, demokracji, wolności gospodarczych, wreszcie braków na półkach (ludzie w kolejkach stali wiele godzin po najbardziej podstawowe artykuły). To była też ojczyzna braku rozumianego jako wybrakowanie. W zachowanych księgach życzeń i zażaleń z tamtej epoki widać skalę problemu – koślawe meble, nieszczelne drzwi i okna, zanieczyszczona wędlina. Można wymieniać w nieskończoność. Dzisiaj PRL często wspominamy anegdotycznie, ale nie możemy zapomnieć o tym, że to państwo i ten ustrój zmarnowały życie milionom ludzi, zabierając im prawo do życia w demokracji, wolności i dobrobycie.

eprasa.pl c67ab20c39

Kwiat Lotosu i Bestia na ostatniej prostej

Kiedy pisze ten tekst, do wyborów prezydenckich w USA pozostało jeszcze kilka dni i ich wynik nie jest znany, ale jedno jest już pewne – przejdą one do historii, pod kilkoma względami są wręcz przełomowe

DARIUSZ MATUSZAK

Jeszcze nigdy nie rzucono tak wielkich pieniędzy, by wybrać prezydenta Ameryki. Ile dokładnie – dopiero się dowiemy, ale wedle danych Federalnej Komisji Wyborczej komitety Kamali Harris i demokratów potrzebowały mniej niż 80 dni, by zebrać ponad 1 mld dol., bijąc kilka rekordów, np. pozyskania 81 mln w ciągu 24 godzin. Było to 21–22 lipca 2024 r., po tym, jak ogłoszono, że to ona zastąpi w wyścigu Joe Bidena. Ten dzień już zapisał się w historii Ameryki, wyznaczając być może początek nowego ustroju. Nie ma wątpliwości, że wtedy dopełnił się pałacowy przewrót i otoczenie prezydenta zmusiło go do rezygnacji z ponownego ubiegania się o Biały Dom.

PAŁACOWY PRZEWRÓT

To nie była samodzielna decyzja Bidena, który po kompromitującej debacie z Trumpem miałby zrozumieć, że siły i zdolności umysłowe nie pozwalają mu być przywódcą mocarstwa. To była akcja Clintonów, Obamów, Nancy Pelosi, byłej przewodniczącej Izby Reprezentantów, Chucka Schumera, lidera większości w Senacie. Najmniej do powiedzenia miała sama wiceprezydent Kamala Harris, która od początku zdaje się kukłą, której inni rozpisują akcje i kwestie. Trzeba przyznać, że spisuje się znakomicie – nie robi nic samodzielnie.

Prezydent Biden powiadomił świat o swej rezygnacji wpisem na platformie X, co zakrawało na ponury żart, a już na pewno było kpiną z własnych obywateli. Żadnego wystąpienia, orędzia, konferencji, kilku słów wygłoszonych przed kamerami w Białym Domu, tylko parę zdań w internecie i dopiero trzy dni później krótkie nagranie telewizyjne z czytającym podsunięte mu kwestie „automatem prezydenckim". Znika jego rodzina, współpracownicy i on sam, żeby pojawić się dopiero po 30 dniach w Chicago na Konwencji Partii Demokratycznej, na której potwierdzono kandydaturę Harris. Tam ponownie zostaje upokorzony, bo jego wystąpienie przewidziano na późną noc, kiedy połowa Ameryki nie będzie go oglądać, bo pójdzie spać. Demokraci wstydliwie ukryli obalonego władcę. To była jego mowa pożegnalna.

„Biden w czasie swej kariery dał się poznać jako jeden z najlepszych mówców pogrzebowych. A teraz ściągnęli go i kazali mu wygłosić mowę pogrzebową na swoją cześć" – komentował dla CNN Scott Jennings, doradca republikanów, przypominając, że własna partia pozbawiła go nominacji, choć wygrał prawybory. Nie da się ukryć, że Harris z puczystami skradła 14 mln głosów oddanych na prezydenta w prawyborach. Pierwszy raz od 1912 r., kiedy je wprowadzono, nominatem partii został ktoś, kto nie dostał w nich ani jednego głosu. Na naszych oczach kruszy się ustrój Stanów Zjednoczonych. Upadła jedna z instytucji, procedur będących fundamentem amerykańskiej demokracji i republiki. Do tej pory to zarejestrowani wyborcy poszczególnych partii wybierali swego kandydata na prezydenta.

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl c67ab20c39

Harris została zaś wyznaczona przez puczystów, partyjny establishment, a działacze z poszczególnych stanów tylko to zatwierdzili.

ANI CZARNOSKÓRA, ANI BIEDNA

Niezależnie od tego, czy ktoś wierzy, czy nie w te prawdziwe teorie spiskowe, demokraci wylądowali w wyścigu prezydenckim z najbardziej nielubianym i najmniej wybieralnym kandydatem. Taką opinię, a jest ona powszechna, przedstawił m.in. wielbiący Partię Demokratyczną „New York Times", publikując tuż po puczu analizę możliwych scenariuszy wyborczych. Okazała się ona trafna, bo trzy miesiące później nadal aktualna jest diagnoza, że walka o prezydenturę rozstrzygnie się tak naprawdę w siedmiu stanach: Michigan, Pensylwanii, Wisconsin, Arizonie, Georgii, Nevadzie i Karolinie Północnej.

Już w poprzedniej kampanii prezydenckiej Harris okazała się najgorszą ochotniczką. Była tak nieudolna, że nie uzyskała nominacji nawet w rodzinnej Kalifornii, więc gdy jej notowania spadły do 3 proc., a sponsorzy zniknęli w grudniu 2019 r., na 11 miesięcy przed wyborami odpadła jako pierwsza spośród 22 demokratów ubiegających się o nominację. Nikogo to nie dziwiło, bo wszyscy uważali ją za pustą i fałszywą karierowiczkę, a organizacja GovTruck badająca głosowania i projekty ustaw członków Kongresu raportowała, że Harris jest najbardziej lewicowym senatorem Ameryki. Bardziej niż socjalista Bernie Sanders, po którego lewej stronie miała być tylko ściana. Harris reprezentowała skrajnie postępową Kalifornię, więc lansowała wszystkie najgłupsze projekty, które zapewniały jej tam głosy. Wdrukowanych progresywnych poglądów nie udało jej się pozbyć, więc jako kandydatka na prezydenta musi się tłumaczyć z pomysłu fundowania „zmiany płci" nielegalnym imigrantom czy osadzonym przestępcom, bo akurat Harry chce być Sally.

W czasie poprzedniej kampanii wydawało się, że Ameryka może zapomnieć o ambitnej senator, gdy w marcu 2020 r. Joe Biden niespodziewanie zaproponował jej, by została wiceprezydentem u jego boku. O tym, iż wybierze kobietę, było jasne, a decydujący być może okazał się list 100 czarnoskórych intelektualistów, artystów i celebrytów, którzy zagrozili, że jeśli wiceprezydentem zostanie biała polityk, to Biden straci głosy kolorowych mniejszości. Zdecydował się więc na nielubianą, niebudzącą zaufania, uchodzącą za sztuczną i zakłamaną, choć niepozbawioną wdzięku Kwiat Lotosu (Kamala w języku hindi) Harris. Chodziło o płeć i to, że nie jest biała. To miało wystarczyć. Jej zadaniem było i jest niby symbolizowanie tej części Ameryki, która nie ma „przywilejów" białej klasy rządzącej, a sięga po stanowiska, pokonując przeszkody, które rzucać ma rasistowski, patriarchalny system.

Wszystko jest propagandą, liczy się tylko to, co przedstawią główne media, więc dziś Amerykanie mają najbardziej fałszywego kandydata prezydenckiego w historii, udającego kogoś, kim nie jest. To akurat nie jest takie trudne, bo Harris to człowiek bez właściwości. Jeśli potrzeba, będzie mówić jak czarnoskórzy i udawać Afroamerykankę, chociaż w jej żyłach nie płynie nawet kropla murzyńskiej krwi. Jest ona jedną z najbardziej „uprzywilejowanych" osób, jakie można sobie wyobrazić. Jej matka Shyamala Gopalan, profesor medycyny, wywodziła się z najwyższej kasty indyjskiej, dziadek był dyplomatą, a znaczna część rodziny pracowała w korpusie urzędniczym Imperium Brytyjskiego. Ojciec Donald Harris, profesor ekonomii irlandzko-hinduskiego pochodzenia, był bogatym potomkiem właścicieli plantacji i niewolników na Jamajce. To nie przeszkadzało kłamać Kamali, że była biedną czarnoskórą dziewczynką, która wyrwała się z getta, choć naprawdę dzieciństwo spędziła w zamożnych środowiskach akademickich. A więc mieliśmy parę: niebiała kobieta symbolizująca emancypację dyskryminowanych i biały, szlachetny patriarcha, uosabiający cnoty Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych. Jak się pięknie uzupełniali, jaka harmonia.

eprasa.pl c67ab20c39

By operacja się powiodła, trzeba było przeprowadzić bezprecedensową kampanię kłamstw i manipulacji. Przekonać, że Biden nie jest pogrążającym się w demencji starcem, który całe życie – od 1972 r., kiedy został senatorem – taplał się w waszyngtońskim bagnie, tylko szlachetnym mężem stanu. Dziś wszyscy zapewniają, że Harris jest wybitną, niosącą radość polityk. Trzeba przyznać, że specjaliści od propagandy dobrze wymyślili, by kojarzyć ją z radością – ang. „joy" i oswoić dla publiczności jej kompulsywne napady śmiechu, który, jak mówiono u mnie w wiosce, brzmi, jakby ktoś sikał na gorącą blachę.

ZAPASOWA PREZYDENT Z BAGIEN

Tak więc Kamala Harris została wiceprezydentem i nikomu nie przeszkadzała, bo wiceprezydent nic nie robi. Jest nie tyle zastępcą, „drugim po Bogu", ile prezydentem zapasowym na wypadek, gdyby główny nie mógł sprawować swej funkcji. Ma siedzieć na ławce rezerwowego. Gdy Nelson Rockefeller był wiceprezydentem u Geralda Forda, który sam wszedł do Białego Domu jako rezerwowy Nixona, mówił, iż jego praca sprowadza się do uczestnictwa w pogrzebach i jeżdżenie tam, gdzie było trzęsienie ziemi. Ale wiceprezydentura może też upłynąć na przygotowaniach do objęcia najwyższego stanowiska. George Bush senior został następcą Reagana, Al Gore (wiceprezydent za czasów Clintona) o włos przegrał z Bushem juniorem. Sam Biden przez osiem lat był wiceprezydentem aktywnym w polityce europejskiej, szczególnie na Ukrainie.

Harris zmarnowała ten czas. Właściwie powierzono jej jedno zadanie – zajęcie się problemem nielegalnej imigracji, która dewastuje całe połacie Ameryki. Była jednak tak nieudolna, że nie wysyłano jej nawet na pogrzeby, bo jeszcze trafiłaby na wesele i do tytułu najmniej wybieralnego kandydata, najbardziej lewicowego senatora dołożyła miano najgorszego wiceprezydenta w historii. Według Rasmussen Reports aż 55 proc. Amerykanów twierdzi, że Harris „nie ma kwalifikacji do objęcia stanowiska prezydenta".

Dlaczego więc ona? Establishment demokratów zaplątał się w intrygach, poszczególne frakcje mocno trzymały się wzajemnie za gardło, nazwiskami potencjalnych kandydatów licytowano, aż okazało się, że wybory tuż-tuż i nie ma nikogo rozpoznawalnego, by zastąpić Bidena, więc padło na Harris. Zresztą nie dlatego obalono prezydenta, że jego stan umysłowy nie pozwalał, by był przywódcą mocarstwa, a dlatego, że miał fatalne notowania, sondaże zaś wskazywały, że poniesie klęskę w starciu z Trumpem.

> Kiedy wreszcie dopuszczono Kamalę Harris do interakcji z wyborcami, kiedy pozwolono jej mówić, czar prysł i szybujące pod niebiosa sondażowe wskaźniki poparcia pospadały jak kamienie

Kilka dni przed wyborami wróciliśmy do starych historii, by pokazać konteksty, a zwłaszcza to, że teraz w 2024 r. mamy ciąg dalszy tej samej operacji z 2020 r., tylko jedna kukiełka została zastąpiona nową. Że tak naprawdę w tych wyborach startuje tzw. deep state (głębokie państwo), czy „washington swamp", jak nazywa je Trump, a więc waszyngtońskie bagno – partyjna arystokracja, lobbyści, oligarchowie, korporacje i media, które tak jak przez czterema lata kłamały, że Biden jest wielkim przywódcą, tak teraz twierdzą, że ma godną następczynię. Będą ogłupiać lud, choć wszyscy wiedzą, że Harris jest zwyczajnie pusta intelektualnie, więc dlatego przez 40 dni po tym jak ogłoszono, że startuje, nie zrobiono z nią konferencji, nie przeprowadzono wywiadu na żywo, nie dopuszczano do interakcji z wyborcami. A kiedy już pozwolono jej mówić, czar prysł i szybujące pod niebiosa sondażowe wskaźniki poparcia pospadały jak kamienie.

W tym wszystkim zgubił nam się Trump, ale o nim właściwie wiadomo wszystko. Brutalny bufon, narcyz, który baje niczym sprzedawca nieruchomości. Człowiek pozbawiony poczucia wstydu, ale prawdziwy i szczery, niczego nie udający i takiego go kocha amerykański lud. Miliardera, który pół życia spędził wśród budowlańców. Gościa, o którego modlą się kelnerzy, bo rozdaje setki dolarów napiwków. Taki, co to gada z taksiarzami jak ze swoimi i czasami wolał z nimi jeździć niż w limuzynach.

Demokraci go kochali, póki był playboyem, imprezowiczem, niebieskim ptakiem, a także przedsiębiorcą. Teraz go nienawidzą, bo ośmiela się kwestionować budowany przez nich porządek, więc kilka dni przed wyborami nawet starzec Biden w rozpaczliwych konwulsjach wywrzaskuje publicznie, że trzeba go zamknąć. I pewnie jeśli Trump nie wygra wyborów, pójdzie siedzieć, by nikt już nie ośmielił się zakwestionować porządku władców i właścicieli Ameryki. Miały go powstrzymać nieustanne procesy, właściwie dziesiątki pozwów kryminalnych i cywilnych. Tymczasem podnosił się za każdym razem, jak wtedy, gdy 13 lipca na wiecu w Pensylwanii strzelał do niego i mało nie zabił transseksualista Matthew Crooks. Scena wstającego, zakrwawionego Trumpa unoszącego w górę zaciśniętą pięść i krzyczącego: „Walcz, walcz" jest już ikoniczna. Stanowi symbol nie tylko tej kampanii, lecz także waleczności zapomnianej Ameryki pracowitych czerwonych karków, wierzących, zwykłych Amerykanów, którzy widzą, że tracą swój kraj. Że staje im się obcy i wrogi, więc tylko taki nieokrzesany i arogancki typ jak Trump może powstrzymać lewackie, progresywne szaleństwa.

Kiedy kończę pisać ten tekst, Trump jest zdecydowanym faworytem. Prowadzi w każdym ze swingujących stanów, gdzie głosuje się raz tak, raz siak i po raz pierwszy w sondażach pokazujących preferencje wyborcze w całej Ameryce. Na jego zwycięstwo wskazują bukmacherzy i Wall Street.

eprasa.pl c67ab20c39

Jak Zachód chciałby negocjować pokój na Ukrainie

Czytelne jest to, że Zachód nie tylko myśli, lecz także prowadzi niejawne rozmowy na temat warunków pokoju na Ukrainie. Ta misja jest kojarzona z kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem

MAREK BUDZISZ

Spotkanie państw BRICS, które Rosja zorganizowała w Kazaniu, miało być czytelnym sygnałem, że Putin nie jest izolowany, a zakończenie wojny na Ukrainie może się zakończyć, ale na warunkach podyktowanych przez tzw. globalne Południe. O izolacji nie ma mowy, bo jak sarkastycznie zauważył Philip Johnston, komentator brytyjskiego dziennika „The Telegraph", do Kazania, stolicy Tatarstanu, muzułmańskiego chanatu podbitego jeszcze przez Iwana Groźnego, postanowił pojechać sekretarz generalny ONZ, mimo przyjęcia przez tę organizację wielu rezolucji potępiających agresję na Ukrainie. Do Rosji przybyli także liderzy państw sygnatariuszy traktatu rzymskiego, mimo że Putin jest oficjalnie ścigany listem gończym przez powołany w wyniku tej umowy Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

Dyplomacja ukraińska zwróciła uwagę na fakt, że António Guterres nie pojawił się na szczycie pokojowym organizowanym latem przez Kijów w Szwajcarii, ale przyjął zaproszenie od Putina, co może potwierdzać tezę, w świetle której nie tylko Zachód, lecz także globalne Południe będzie miało sporo do powiedzenia w sprawie warunków zakończenia wojny.

Jednak o ile Kremlowi udało się zbudować przekaz, iż nie ma mowy o międzynarodowej izolacji Rosji, o tyle w kwestii wojny trudno mówić o sukcesie moskiewskiej dyplomacji. Ukraiński minister spraw zagranicznych, powołując się zresztą na opinię rosyjskiej „Nowej Gaziety", napisał w sieciach społecznościowych, że pkt. 36 komunikatu kończącego spotkanie w Kazaniu nie zawiera niczego przełomowego. Podkreśla się w nim jedynie konieczność rozmów, a każde z głównych państw tego formatu pozostało przy swej wyjściowej ocenie sytuacji.

W Kazaniu z pewnością intensywnie rozmawiano na temat zakończenia wojny, a Jurij Uszakow, doradca ds. zagranicznych Putina, jeszcze przed rozpoczęciem szczytu informował, że „końcowa formuła" została uzgodniona przed spotkaniem i satysfakcjonuje ona Kreml. Z perspektywy Rosji ten brak jedności państw BRICS może być korzystny, bo tak długo, jak brakuje jednego stanowiska globalnego Południa, Kreml ma *de facto* wolną rękę. Z Putinem rozmawiali o Ukrainie Xi Jinping, premier Indii Modi, z pewnością temat ten poruszył także Recep Erdoğan, który też pojechał do Rosji.

DYPLOMATYCZNE WZMOŻENIE

Wydaje się, że zakulisowe negocjacje w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie już się rozpoczęły, choć trudno jeszcze mówić o wynikach. Na negocjacyjnym stole leżą różne opcje, a o tym, że rozmowy już trwają, świadczy choćby liczba nieoczekiwanych i niezapowiedzianych podróży dyplomatycznych, o których dowiadujemy się w ostatnich dniach.

Lloyd Austin był w Kijowie, kanclerz Olaf Scholz poleciał do Ankary, Hakan Fidan, kierujący turecką dyplomacją, spotkał się ze swym ukraińskim odpowiednikiem. Wszystkie te wizyty, konsultacje, sondowanie stanowisk miały miejsce kilka dni po nieformalnym szczycie, który niemiecki kanclerz zorganizował w Berlinie. Spotkali się z nim prezydenci Stanów Zjednoczonych oraz Francji, a także premier Wielkiej Brytanii. Chcąc uzupełnić ten obraz, należałoby jeszcze napisać o zachodnioeuropejskiej podróży Wołodymyra Zełenskiego, w toku której prezentował on ukraiński „plan zwycięstwa", a także wspomnieć o naradach ministrów obrony i uzgodnieniu przez państwa grupy G7 planu wykorzystania zamrożonych rosyjskich aktywów, aby kontynuować pomoc dla Ukrainy.

Prezydent Ukrainy w rozmowie z dziennikiem „The Financial Times" powiedział, że „pierwszym krokiem"

eprasa.pl c67ab20c39

prowadzącym do zakończenia gorącej fazy wojny mogłoby być powstrzymanie się walczących stron przed atakowaniem infrastruktury energetycznej przeciwnika. Podobnego rodzaju porozumienie negocjowano w toku zakulisowych rozmów w Katarze latem br., jednak z powodu ukraińskiej akcji w obwodzie kurskim rozmowy zawieszono. Zełenski powiedział też, że Rosja w ramach gestu dobrej woli powinna się powstrzymać przed atakowaniem statków ze zbożem płynących z Odessy i innych ukraińskich portów. W ostatnich dniach Rosjanie nasilili uderzenia rakietowe na infrastrukturę portową, wzrosła też intensywność minowania szlaków morskich, o czym donoszą przedstawiciele Ankary, bo Turcja wraz z Rumunią i Bułgarią realizuje NATO-wska misję mającą na celu utrzymanie drożności czarnomorskich tras żeglugowych biegnących przez wody terytorialne tych krajów.

Nasilające się ataki ze strony Rosji są nie tylko sygnałem o mogącej mieć miejsce eskalacji, lecz także powodują, iż narasta zagrożenie ponownego zablokowania handlu czarnomorskiego oraz kolejnego kryzysu zbożowego na granicach Ukrainy i zachodnich sąsiadów. Trudno się zatem dziwić, iż Zełenski mówi właśnie o tym.

„Plan pokojowy" ukraińskiego prezydenta, który został z dużym sceptycyzmem przyjęty w Waszyngtonie i Berlinie, jest zbudowany na fundamencie zaproszenia Ukrainy do NATO. Gdyby państwa Sojuszu zdecydowały się na ten krok, wysłałyby Putinowi czytelny sygnał, że to nie on będzie wpływał na architekturę bezpieczeństwa Europy Środkowej. Zachód zaczyna się poważnie zastanawiać, czy nie wejść bardziej aktywnie do gry i nie wymusić zakończenia wojny.

Kwestią sporną pozostaje członkostwo Ukrainy w NATO, choć i w tym przypadku jest możliwe porozumienie

ZAPROSZENIE CZY PRZYJĘCIE?

Kwestią sporną jest oczywiście członkostwo Ukrainy w NATO, choć i w tym przypadku jest możliwe porozumienie. Co prawda kilka dni temu Putin oświadczył, że Moskwa „pod żadnym warunkiem" nie zgodzi się na to, ale warto zwrócić uwagę, iż Zełenski mówi o zaproszeniu do Sojuszu Północnoatlantyckiego, a nie faktycznym przyjęciu swego kraju. Ukraińska dyplomacja podkreśla, że z jej perspektywy zaproszenie do NATO jest dziś ważniejsze niż członkostwo, bo stanowi wyraźny sygnał, że miejsce Ukrainy jest na Zachodzie. Samo wstąpienie do Sojuszu mogłoby być oddalone w czasie nawet o wiele lat, co jest wyjściem naprzeciw stanowisku Putina, który mówi o blokadzie rozszerzenia NATO, a nie blokadzie zaproszenia do negocjacji w sprawie akcesji Ukrainy. Obie strony na użytek własnej opinii publicznej mogłyby mówić o sukcesie. Zełenski otworzyłby Ukrainie drogę do NATO, co prawda na razie tylko do rozmów na ten temat, a Putin zablokował akcesję (choć na trudny dziś do określenie czas).

Ostatnie wypowiedzi Marka Ruttego, który akcentował politykę „zbliżenia" Ukrainy i Sojuszu Północnoatlantyckiego, też sugerują, że zaproszenie do NATO nie musi oznaczać krótkiej drogi do członkostwa. Co prawda dziennik „Le Mond", powołując się na przecieki z Pałacu Elizejskiego, kilka dni po berlińskim szczycie napisał, że opór Waszyngtonu słabnie i w Białym Domu rozważają celowość tego rodzaju kroku, ale nie ma innych świadectw potwierdzających zmianę nastawienia amerykańskiej administracji.

NIE MAJĄC NIC DO STRACENIA

Jest jeszcze jeden wariant rozwoju wydarzeń, znacznie bardziej ofensywny. Napisał o tym Lee Hockstader, wieloletni europejski korespondent dziennika „The Washington Post". Jak słusznie zauważył, niezależnie od tego, kto wygra amerykańskie wybory, Biden będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych jeszcze przez 76 dni. Wówczas, nie mając nic do stracenia, mógłby on wyrazić zgodę na to, aby Ukraińcy atakowali cele w Rosji za pomocą systemów ATACMS. Zachęceni tym przykładem Niemcy mogliby zacząć dostarczać Kijowowi rakiety Taurus, które są niezbędne, jeśli siły ukraińskie poważnie myślą o zniszczeniu mostu Kerczeńskiego. Równolegle Waszyngton mógłby zmienić swe stanowisko w kwestii zaproszenia Ukrainy do NATO, co mogłoby ostatecznie przełamać opory Niemiec w tej kwestii, a także mniejszych państw, takich jak Węgry czy Słowacja.

Hockstader przywołuje wartą dostrzeżenia opinię Camille'a Granda, byłego przedstawiciela Francji w NATO,

eprasa.pl c67ab20c39

który powiedział, że „jest ważne, aby pewne zachowania miały swoją cenę". Chodzi o to, że Zachód nie może milczeć na temat rosnącej rosyjskiej aktywności szpiegowskiej i dywersyjnej na terenie państw europejskich, która ma już obecnie, jak niedawno powiedział Ken McCallum, szef brytyjskiego wywiadu Mi5, tak intensywny charakter, iż można mówić o tym, że Moskwa „dąży do wywołania chaosu na ulicach Wielkiej Brytanii i innych państw" na naszym kontynencie. W opinii Granda jeśli tego rodzaju aktywność „pozostanie bez odpowiedzi", trzeba się będzie spodziewać nie tyle wstrzemięźliwości Kremla, ile wzrostu agresywności i pogorszenia sytuacji. W świetle tej logiki ostatnie działania eskalacyjne Moskwy – a Zachód w szczególności niepokoją potwierdzone informacje o żołnierzach z Korei Północnej, którzy mają wejść do walki na froncie ukraińskim – muszą wywołać twardą i osłabiającą apetyty Putina reakcję.

Po wyborach w Stanach Zjednoczonych moglibyśmy zatem oczekiwać, że administracja Bidena podejmie decyzje wzmacniające pozycję negocjacyjną Zełenskiego, co paradoksalnie może przyspieszyć rozmowy pokojowe. W tych kategoriach należy też traktować ostatnie deklaracje Sébastiena Lecornu, francuskiego ministra obrony, który powiedział, że w odpowiedzi na pojawienie się Koreańczyków z Północy na froncie „należy ponownie rozważyć" kwestię wysłania sił państw NATO na Ukrainę. W podobnym duchu wypowiedział się też ostatnio szef litewskiego MSZ, a Brytyjczycy w ostatnich dniach częściej mówią o tym, że siły ukraińskie należy szkolić na miejscu.

Informacje o północnokoreańskim zaangażowaniu wojskowym, które potwierdził Lloyd Austin, polegającym na wysłaniu 12 tys. żołnierzy elitarnej 11. Dywizji Komandosów, którzy mieliby się pojawić przede wszystkim w obwodzie kurskim, zostały odczytane przez Zachód nie tylko w kategoriach działania eskalacyjnego Kremla. Uznano je również za potwierdzenie informacji o narastających problemach kadrowych rosyjskich sił zbrojnych, które mają problemy z rekrutowaniem kolejnych partii ochotników mimo skokowego podniesienia wypłat. W świetle tych opinii Putin zdecydował się „przyjąć pomoc Kim Dzong Una", bo nie ma ochoty na ogłaszanie kolejnej fali mobilizacyjnej, czego ponoć domagają się generałowie. Jeśli te kalkulacje są słuszne, to wytrzymałość Rosji jest już osłabiona i należy wysoko licytować, bo tylko wówczas przeciwnik może się ugiąć.

Ta „wysoka licytacja" to zarówno groźba skokowego wzrostu dostaw sprzętu dla Ukrainy (a Austin mówił w Kijowie o kolejnym pakiecie pomocy wojskowej wartym 400 mln dol.), jak i sugerowanie ewentualnego wejścia do gry nowych graczy, takich jak Korea Południowa, która rozważa właśnie zniesienie ograniczeń w kwestii eksportu broni na Ukrainę.

Licytują też Rosjanie, bo Siergiej Czemiezow, stary druh Putina z czasów drezdeńskiej rezydentury KGB, dziś kierujący koncernem zbrojeniowym Rostech, mówił ostatnio w Dumie, że w podległych mu firmach zatrudnienie wzrosło o 70 tys. osób, a od wybuchu wojny produkcję amunicji do czołgów zwiększono trzydziestokrotnie. Jego wypowiedź jest czytelnym sygnałem strategicznym, że Rosji nie zabraknie ani determinacji, ani środków, aby kontynuować wojnę.

Jeśli jednak Zachód zacząłby zmieniać swe dotychczasowe powściągliwe stanowisko w sprawie ewentualnego zaangażowania w wojnę, a do tego Zełenski zdecydowałby się na objęcie poborem mężczyzn od 18. a nie, tak jak obecnie, od 25. roku życia, na co, jak pisze ukraińska prasa, naciskają amerykańscy doradcy, wówczas krajobraz strategiczny mógłby ulec zmianie. Putin mógłby stracić pewność, że czas pracuje na jego korzyść i dostać wyraźne ostrzeżenie, że musi się liczyć z eskalacją i wzrostem zaangażowania krajów wspierających Ukrainę. W nowych realiach powściągliwe i pełne rezerwy stanowisko państw BRICS wyrażone w komunikacie po spotkaniu w Kazaniu paradoksalnie obróciłoby się przeciw Putinowi, który nie mógłby mieć nadziei na wzrost wsparcia ze strony tych państw, na które liczy. Mając w takiej sytuacji *de facto* dwie propozycje na negocjacyjnym stole – rozpoczęcie rozmów teraz w duchu artykułowanym przez Niemcy i ryzyko, że stanowisko Zachodu się usztywni – Putin mógłby wybrać pierwszą opcję.

Nie wiemy, czy tak się stanie, ale czytelne jest to, że Zachód nie tylko myśli, lecz także prowadzi niejawne rozmowy na temat warunków pokoju. Jeśli powiedzie się misja kojarzona z Olafem Scholzem i Rosja będzie chciała negocjować, Berlin będzie mógł mówić o sukcesie. Jeśli jednak Putin będzie chciał przelicytować niemieckiego kanclerza, którego zresztą uważa za miękkiego i słabego polityka, będziemy mieć do czynienia z innymi scenariuszami, może nawet eskalacyjnymi. Różnica między obecną fazą wojny a jej poprzednimi etapami jest taka, że dziś eskalacja może nastąpić po to, aby negocjować pokój, a nie wygrać wojnę. Ta pierwsza perspektywa jest już chyba nieobecna w kalkulacjach strategicznych Zachodu.

Fot. East News

eprasa.pl c67ab20c39

Na koszt sąsiadów

Niemcy chcą ograniczyć nielegalną migrację. A jeśli migranci wjechali do Niemiec przez Polskę, to znaczy, że są problemem Polski. Im mniej ich złoży wniosek o azyl w Niemczech, tym lepiej

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W minioną środę premierzy landów zebrali się w Lipsku na dorocznej konferencji. Temat: finansowanie migracji. Według danych resortu finansów w ub.r. opieka nad migrantami oraz zwalczanie „przyczyn migracji" kosztowały Niemcy 48,2 mld euro, czyli prawie tyle, co roczne wydatki z budżetu na obronę (50 mld euro). Sporą część tych pieniędzy musiały wyłożyć landy, w tym pokryć koszty zakwaterowania azylantów. Socjaldemokrata Stephan Weil, premier Dolnej Saksonii, zażądał „więcej pomocy od władz federalnych". Ryczałtowa kwota 7,5 tys. euro rocznie na migranta to dla niego „za mało". W rozmowie z „Der Tagesspiegel" premier Saksonii Michael Kretschmer (CDU) opowiedział się za dostosowaniem podstawowego prawa do azylu do możliwości recepcyjnych państwa. „Liczba migrantów musi spaść" – dodał. Najlepiej do maksymalnie 30 tys., a nie jak obecnie – ponad 350 tys. nowych wniosków azylowych rocznie. W ostatnich miesiącach zmniejszenie liczby nielegalnych migrantów stało się hasłem przewodnim koalicji rządzącej złożonej z SPD, Zielonych i FDP w Berlinie.

ZREDUKOWAĆ LICZBY

Jesienią przyszłego roku odbędą się wybory do Bundestagu, a nielegalna migracja stanie się zapewne jednym z głównych tematów kampanii. Jeszcze w lipcu kanclerz Olaf Scholz powiedział „Saarbrücker Zeitung" dokładnie to samo, co premier Saksonii: „Liczby muszą spaść". „Zbyt wielu do nas przybywa i twierdzi, że szuka ochrony przed prześladowaniami, ale nie potrafi podać powodów ubiegania się o azyl" – dodał Scholz. Według niego Niemcy mają prawo „wybrać sobie tych, którzy mogą do nas przyjechać".

Najpierw wprowadzono więc kontrole na granicach, które, jak twierdzi minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser, zmniejszyły liczbę nielegalnych wjazdów między styczniem a wrześniem „o 35 proc." wobec tego samego okresu w roku poprzednim. M.in. dzięki zawracaniu migrantów na granicy, w tym do Polski. Od chwili wydłużenia kontroli granicznych 14 września, formalnie o sześć miesięcy, a nieformalnie, jak przyznał Scholz, „na tak długo, jak to jest tylko możliwe", w ciągu zaledwie dwóch tygodni z kwitkiem odesłano ponad 1,4 tys. nielegalnych migrantów.

Według frakcji Die Linke w Bundestagu z formularzy rejestracyjnych policji federalnej „magicznie" zniknęła opcja „azyl". A ponieważ obowiązuje zasada „brak wniosku o azyl – brak prawa wjazdu" – pisze tygodnik „Der Spiegel" – liczba azylantów także wyraźnie spadła. W pierwszej połowie 2023 r., przed wprowadzeniem kontroli granicznych, policja federalna odnotowała, że 41 proc. osób, które wjechały do Niemiec nielegalnie, chciało złożyć wniosek o azyl. W pierwszym półroczu br. było to już zaledwie 23 proc.

JAK NIE W NIEMCZECH, TO W POLSCE

Dodatkowo Berlin postanowił zaostrzyć prawo migracyjne. W minionym tygodniu koalicja rządowa w Bundestagu przyjęła tzw. pakiet bezpieczeństwa (Sicherheitspaket). Kluczową zmianą w przepisach jest pozbawienie świadczeń osób, które złożyły w Niemczech wniosek o azyl, chociaż wcześniej zostały zarejestrowane w innym bezpiecznym kraju UE. Pozbawienie finansowego wsparcia ma skłonić te osoby do dobrowolnego wyjazdu. Niemieckie władze mają także bardziej stanowczo zabiegać o odsyłanie

Fot. hanohiki/Shutterstock.com

eprasa.pl c67ab20c39

takich imigrantów do krajów UE, z których wjechali oni do Niemiec.

Jest to odpowiedź na zamach terrorystyczny dokonany 23 sierpnia w Solingen w Nadrenii-Północnej Westfalii. 26-letni Syryjczyk zamordował kuchennym nożem trzy osoby, a osiem kolejnych zranił. Zgodnie z przepisami dublińskimi mężczyzna powinien być deportowany do Bułgarii, pierwszego kraju UE, do którego wjechał, jednak niemiecka policja nie potrafiła go znaleźć w przewidzianym terminie.

Dla chadecji i FDP zmiana przepisów i tak była zbyt łagodna. Obie partie nawoływały rząd, by zdecydował się na „automatyczne" zawracanie nielegalnych migrantów na granicach. „Powinno to być przedmiotem kolejnego pakietu bezpieczeństwa" – podkreślił szef CDU Friedrich Merz. Jak wiemy, do tego zawracania i tak już dochodzi na granicach, w tym na granicy polsko-niemieckiej. Jak twierdzi „Märkische Oderzeitung" (MOZ), liczba wniosków o azyl w Polsce osiągnęła w tym roku „rekordowy poziom". Dziennik powołuje się na dane, które otrzymał od Urzędu ds. Cudzoziemców.

CENTRA WYJAZDOWE

Wynika z nich, że od stycznia do września 2024 r. o ochronę międzynarodową w Polsce ubiegało się 12,3 tys. osób. To o 80 proc. więcej niż w tym samym okresie rok wcześniej. Większość wnioskujących ma pochodzić z Ukrainy, Białorusi oraz Rosji. Na kolejnych miejscach znaleźli się obywatele Erytrei i Somalii. Dziennikarze „MOZ" odbyli wizytę w ośrodku dla bezdomnych w Zielonej Górze, gdzie mieli trafić zawróceni na granicy migranci, m.in. z Afganistanu, Hondurasu, Syrii, Jemenu i Somalii – w sumie obywatele 27 państw. Między styczniem a majem niemiecka policja federalna odmówiła nielegalnym imigrantom wjazdu ponad 4,6 tys. razy. Połowa tych przypadków dotyczyła Ukraińców. A reszta? Zdaniem gazety ponad 2 tys. osób „gdzieś zniknęło". Gdzieś na terenie Polski.

Niemieccy funkcjonariusze skarżą się gazecie, że współpraca ze stroną polską „nie działa za dobrze", dlatego często nie powiadamiają polskich kolegów i po prostu odstawiają migrantów na drugą stronę granicy. Zawróceni często trafiają do aresztu deportacyjnego i by zapobiec deportacji, składają wnioski o azyl w Polsce, zanim ponownie podejmą podróż do Niemiec. Po uchwaleniu pakietu bezpieczeństwa Niemcom łatwiej będzie wydalić tych migrantów z powrotem do Polski. Lub pozbawieni świadczeń za Odrą sami wyjadą.

Władze Brandenburgii postanowiły zbudować tzw. centra wyjazdu. Mają tam trafić migranci, którzy są zobowiązani do opuszczenia kraju lub którzy mają być „skłaniani do wyjazdu". Szczególnie tzw. awanturnicy powodujący kłopoty w gminach, w których ich umieszczono, np. popełniają przestępstwa.

SŁOWO KLUCZ: „READMISJA"

Z punktu widzenia Berlina strategia jest prosta: migrantów ma być mniej, a jeśli wjechali do Niemiec przez Polskę, to znaczy, że są problemem Polski. Im mniej ich złoży wniosek o azyl w Niemczech, tym lepiej.

> Strategia Berlina jest prosta: migrantów ma być mniej, a jeśli wjechali do Niemiec przez Polskę, to znaczy, że są problemem Polski

Jak wynika z sondażu Wahltrend, SPD ma obecnie 15,9 proc. poparcia, o prawie 2 pp mniej niż Alternatywa dla Niemiec (AfD). Prowadzi CDU/CSU z 31,6 proc. Jeśli ten trend utrzyma się do przyszłego roku, Scholz nie ma szans na kolejną kadencję. Co to oznacza dla Polski? Po pierwsze, że nie ma co liczyć na zdjęcie kontroli granicznych ze strony Niemiec. Po drugie, że Berlin może swoją politykę jeszcze zaostrzyć, im bliżej wyborów do Bundestagu. Polskie MSZ wydaje się tym zaniepokojone. Jak donosi portal Interia, Niemcy będą mogli wysłać nad Wisłę nawet 40 tys. migrantów.

Jest to uzasadniona obawa. W ub.r. ponad 32 tys. nielegalnych migrantów dotarło do Niemiec przez Polskę, jedna trzecia z nich przedarła się przez granicę z Białorusią. Reszta podróżowała tzw. nową trasą bałkańską, która wiedzie teraz przez Polskę. Jak wynika z interpelacji AfD w Bundestagu, w 2022 r. policja federalna zawróciła na granicach 19 141 osób, w ub.r. – 29 270, a w pierwszych ośmiu miesiącach tego roku już 46 203. Liczba odsyłanych do Polski, Austrii, Francji, Szwajcarii czy Czech stale rośnie.

Niemcy nie wykorzystują przy tym jeszcze w pełni instrumentów, które mają do dyspozycji. Jak pisze Interia, pierwsze narzędzie to procedura dublińska, dotyczącą przede wszystkim migrantów, którzy złożyli wniosek azylowy w Polsce, podanie nie zostało jeszcze rozpatrzone, ale dana osoba już wyjechała do Niemiec. Na podstawie obowiązującego od dekady porozumienia dublińskiego Niemcy mogą ją Polsce oddać. Druga procedura to klasyczna readmisja na podstawie umowy dwustronnej, którą Polska podpisała z Niemcami w 1993 r. Tu także chodzi o osoby, które wjechały do UE przez Polskę, a następnie udały się do Niemiec. Polska musiałaby przyjąć wszystkich tych migrantów.

INTERES NARODOWY

Na dodatek zarówno chadecja, jak i związki zawodowe policji naciskają na rząd, by uniemożliwił migrantom, którzy przyjechali do Niemiec z „jednego z bezpiecznych państw ościennych", złożenie wniosku o azyl. Manuel Ostermann, wiceprzewodniczący związku zawodowego policji (DPolG), powiedział magazynowi „Cicero", że „w ub.r. ponad 100 tys. osób podróżowało sobie swobodnie przez UE, aby ubiegać się o azyl na niemieckiej granicy wewnętrznej". Według niego sąsiedzi Niemiec nie przestrzegają prawa unijnego, tylko pozwalają migrantom jechać dalej, więc układ z Schengen „wyraźnie poniósł porażkę". Niemcy nie są zaś zobowiązane do tego, by „brać pod uwagę interesy sąsiadów", gdy chcą zapewnić swoim obywatelom bezpieczeństwo. W skrócie: idzie nowe, czyli egoizm w polityce migracyjnej państw UE z może rzeczywistym końcem strefy Schengen. Oby polski rząd był na to przygotowany. Bo na razie wydaje się, że nie jest.

eprasa.pl c67ab20c39

Mobokracja po albańsku

Kiedy Edi Rama doszedł do władzy, postanowił w całym kraju zasadzić konopie. Pod patronatem policji w Albanii pojawiło się tysiące plantacji tych roslin. Aby wzmocnić tę politykę związaną z narkotykami, Rama mianował ministrów powiązanych z handlarzami narkotyków

Z Salim Berishą, byłym prezydentem i premierem Albanii oraz liderem opozycji w tym państwie, rozmawia Goran Andrijanić

Fot. Hektor Pustina/AP Photo/East News

Co się dzieje w Albanii? Przebywa pan w areszcie domowym, oskarżony o korupcję. Kilka dni temu pod tymi samymi zarzutami aresztowano kolejnego byłego premiera Ilira Metę, a także kilku innych polityków opozycji.

Sali Berisha: Dzisiaj Albania to rodzaj mobokracji. W swoim studium o dyktaturach Samuel Huntington napisał, że dyktatura mobokracji jest najgorszą formą dyktatury, ponieważ nie ma w niej żadnych praw, żadnych zasad, tylko wola władzy gangu. Aby zabezpieczyć swoją czwartą kadencję, socjalistyczny premier Edi Rama uciekł się do bezprecedensowych środków represyjnych wobec opozycji w mojej ojczyźnie. Ja i mój zięć Jamarbër Malltezi jesteśmy w areszcie domowym od dziesięciu miesięcy. To sytuacja, która narusza konstytucję i Europejską Konwencję Praw Człowieka. Opiera się przy tym na fałszywej skardze złożonej przeciwko nam przez lidera grupy parlamentarnej Partii Socjalistycznej w sprawie zwrotu ziemi prawowitym właścicielom. Teraz stoimy w obliczu politycznie motywowanych zarzutów o korupcję na podstawie fałszerstw, sfabrykowanych dokumentów urzędowych i bez żadnych mocnych dowodów.

Czy mobokracja, o której pan mówi, jest prowadzona przez premiera Ediego Ramę?

Tak, a on jest wspierany przez George'a Sorosa. Kiedy Rama doszedł do władzy w 2013 r., w całym kraju postanowił zasadzić konopie. Pod patronatem policji w Albanii pojawiło się tysiące plantacji tych roślin. Aby wzmocnić politykę związaną z narkotykami, Rama mianował ministrów powiązanych z handlarzami narkotyków. Pierwszym z nich był Saimir Tahiri, który piastował tekę ministra spraw wewnętrznych i miał powiązania z dużym klanem handlarzy. Jednak po śledztwie włoskiego oddziału antynarkotykowego trafił do więzienia. Po uwięzieniu Tahiriego Rama mianował nowym szefem resortu spraw wewnętrznych Fatmira Xhafaja, którego brat Geron został skazany jako międzynarodowy handlarz narkotyków we Włoszech. Kiedy ówczesny wicepremier Arben Ahmetaj na posiedzeniu Rady Ministrów sprzeciwił się takiej polityce, Rama odpowiedział, że konopie to pieniądze.

Po zalaniu kraju konopiami albańscy handlarze zapuścili się na rynki kokainy w Ameryce Łacińskiej. Stali się kluczowymi graczami w kartelach narkotykowych, przekształcając Albanię w centrum operacyjne organizacji przestępczych z Europy, Ameryki Południowej i Bliskiego Wschodu.

Twierdzi pan, że Albania pod przywództwem Ramy jest państwem narkotykowym. To są bardzo poważne oskarżenia. Waszyngton i Zachód wspierają prezydenta, a jednocześnie jest pan objęty sankcjami i nie może wjechać do USA. Jak pan to skomentuje?

To przez wpływ George'a Sorosa, który przewodził lobbingowi przeciwko mnie wraz z Edi Ramą i Charlesem McGonigalem, byłym wysoko postawionym agentem FBI, który został skazany za przyjęcie łapówki z biura Ramy za pośrednictwem albańskiego urzędnika wywiadu. Sprzeciwiałem się polityce Ramy w regionie, która była identyczna z polityką Rosji na tym terenie. Mówię o jego propozycji podziału Kosowa, którą poparły Rosja i Serbia. Później to samo zrobiła Open Society Foundations w Belgradzie, przedstawiając pomysł jako jej. Równie mocno wspierał go rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. Zaciekle się temu sprzeciwiłem i udało mi się najpierw pokazać światu, że nie jest on projektem konsensualnym. To prawda, że poparli go Rama, prezydent Serbii Aleksandar Vučić i prezydent Kosowa Hashim Thaçi, ale nikt inny w Kosowie i Albanii z nim się nie zgadzał.

eprasa.pl c67ab20c39

Wiele osób było niezadowolonych z mojego sprzeciwu. Oponowałem również wobec idei otwartych Bałkanów, ponieważ uważałem ją za rosyjsko-serbski pomysł sprzeciwiający się europejskiemu procesowi berlińskiemu. Otwarte Bałkany w pełni poparli Siergiej Ławrow i Alexander Soros, syn George'a Sorosa. Obaj byli największymi zwolennikami tego projektu, zamierzonej hegemonii Serbii w regionie, która zakończyła się trzema bocznymi sojuszami – Belgrad, Skopje i Tirana – przy czym inne kraje nie przyłączyły się.

Dlaczego George Soros tak się interesuje Albanią?

To zagadka i próbuję ją zrozumieć. Co dwa, trzy tygodnie Alexander Soros spędza w Albanii dwa, trzy dni. Co dwa, trzy tygodnie czymś się tu zajmuje, prawdopodobnie jakimś biznesem. Ale wiem, że nie ma bardziej wpływowego miliardera w amerykańskiej administracji, a także w Brukseli, niż George Soros. Jest on największym koruptorem polityki na ziemi. Na planecie żyją tysiące miliarderów, ale Soros jest jedynym, który oficjalnie i publicznie wszędzie płacił politykom. To naprawdę ogromna zbrodnia polityczna. George Soros jest generatorem korupcji w Europie i poza nią. Kiedy korumpuje polityków, tworzy szklarnię dla korupcji. Jego fundacje działają na całkowicie skorumpowanej podstawie. Uważam go więc nie tylko za największego spekulanta, lecz także największego koruptora.

Po tym, jak nie udało im się mnie ukarać za czasów administracji Trumpa, kiedy zmieniła się władza w Białym Domu, zrobili to teraz. Amerykański sekretarz stanu Antony Blinken, który jest bardzo bliskim przyjacielem rodziny Sorosów, 21 maja 2021 r. napisał na Twitterze, że zostałem ukarany za korupcję i podważanie demokracji. To ten sam człowiek, który chwalił mnie bardziej niż kogokolwiek innego za skuteczną walkę z korupcją, gdy był głównym doradcą wiceprezydenta Joe Bidena. W grudniu 2012 r. Hillary Clinton przyjechała do Albanii i w swoim przemówieniu w parlamencie powiedziała, że kraj jest demokracją w działaniu. Byłem wtedy premierem, a Albania stała się członkiem NATO. W ten sposób „podważałem" demokrację.

Dzisiaj znajduje się pan w areszcie domowym.

Tak, bez prawa do komunikowania się i swobodnego poruszania. Nie przedstawiono mi żadnych dowodów winy. To rok wyborczy w Albanii. Edi Rama, który dopuścił się zatrważających działań korupcyjnych, próbuje utrzymać władzę za wszelką cenę. Wykorzystuje specjalnych prokuratorów, aby wyeliminować swoich przeciwników politycznych. To samo stało się w Tunezji. Prezydent Kais Saied aresztował wszystkich liderów opozycji, aby stworzyć sobie otwartą drogę do prezydentury. Moja partia – Demokratyczna Partia Albanii jest zaangażowana w walkę z tym reżimem narkotykowym. To jest dyktatura, a z dyktaturą trzeba walczyć.

Co to wszystko oznacza dla bezpieczeństwa na Bałkanach? Żyjemy w burzliwych czasach, relacje między Serbią a Kosowem są na najniższym poziomie, a wpływy Rosji w tym regionie stają się coraz silniejsze.

Moim zdaniem jednym z głównych powodów, dla których proces stabilizacji między Kosowem a Serbią ustał, jest sam Rama. Gdy byłem u władzy, broniłem zasady, że Albania nie może w ogóle ingerować w proces między Prisztiną a Belgradem. Gdy byłem u władzy, pracowałem, pomagając społecznościom serbskim w Kosowie, aby pokazać im, że w Albanii czeka ich wspaniała przyszłość. Albania inwestowała w ich społeczności, a ja nalegałem publicznie i prywatnie, aby prawa Serbów były respektowane. Gdy odszedłem od władzy, Edi Rama pomyślał, że nadszedł czas, aby to on został kluczowym graczem na Bałkanach. Odwiedził Belgrad, Prisztinę, rozpoczął tajne spotkania z Vučiciem, Thaçim, Sorosem i opracowali projekt podziału Kosowa, o którym opowiadałem, a następnie projekt otwartych Bałkanów.

Tym, co przyniosła ta polityka, jest prawie zimna wojna w regionie. Edi Rama pogorszył sytuację, a jego stosunki z Prisztiną są fatalne. Uważał, że Albańczycy z Kosowa są od niego zależni. A teraz Albania odgrywa w regionie tylko negatywną rolę. Rama aresztuje liderów opozycji, nie przedstawiając żadnych dowodów przeciwko nim. Taki gest popycha Albanię w kierunku destabilizacji.

eprasa.pl c67ab20c39

GRZEGORZ GÓRNY

Kościół Wstawiennictwa Świętego Serca w Rzymie

Muzeum Dusz Czyśćcowych

Przedmioty zgromadzone na rzymskiej ekspozycji dotykają tajemnicy pośmiertnego losu ludzi, a więc pytania, które nurtuje każdego człowieka

Niedaleko Watykanu, nad Tybrem, znajduje się jedyna w swoim rodzaju placówka na świecie – Muzeum Dusz Czyśćcowych. Zajmuje ono część zakrystii w neogotyckim kościele Wstawiennictwa Świętego Serca (Sacro Cuore del Suffragio), który został zbudowany w 1917 r. Wcześniej w tym miejscu znajdowała się kaplica Arcybractwa Serca Jezusowego dla Pomocy Duszom Czyśćcowym, którego założycielem był francuski ksiądz Victor Jouët ze Zgromadzenia Misjonarzy Najświętszego Serca Pana Jezusa. Duchowny przybył do Rzymu pod koniec XIX w., gdzie w dzielnicy Lungotevere Prati zakupił ziemię, na której w 1893 r. postawił wspomnianą kaplicę. Cztery lata później budynek spłonął.

Liczni świadkowie zeznali, że w płomieniach po lewej stronie ołtarza widzieli twarz cierpiącej osoby. Gdy ogień ugaszono, na jednej z ocalałych ścian zachował się osmalony ślad, który przypominał zniekształcone rysy oblicza mężczyzny. Okoliczni mieszkańcy spontanicznie odczytali to jako znak pozostawiony przez duszę cierpiącą w czyśćcu. Do podobnej interpretacji przychylił się francuski kapłan, który pod wpływem tego wydarzenia postanowił jeszcze gorliwiej szerzyć nabożeństwo za dusze czyśćcowe.

Kiedy kaplicę wyburzono, zdecydowano się zachować wspomnianą ścianę. Później wybudowano na tym miejscu kościół, a pozostałość po pożarze znalazła się w zakrystii. Tam też umieszczono rozmaite eksponaty, które zebrał ks. Jouët. Z myślą o nowej świątyni zaczął poszukiwać po całym świecie różnych świadectw i relacji dotyczących pojawiania się dusz czyśćcowych. Oprócz wielu dokumentów przywiózł do Rzymu także sporo obiektów materialnych z Niemiec, Belgii, Francji, Austrii czy Włoch. Według przekazów popartych licznymi zeznaniami były to przedmioty, na których pozostawiły swój ślad dusze czyśćcowe. Wśród nich znajdowały się głównie tkaniny (np. suknie, fartuchy czy poduszki) lub księgi (m.in. brewiarze, modlitewniki i egzemplarze Biblii), na których widniały ślady wypalenia, najczęściej ludzkich dłoni. Z każdym eksponatem wiązała się też konkretna historia dotycząca jakiejś zmarłej osoby, potwierdzona pisemnymi relacjami.

Oczywiście nie istnieją żadne niezbite dowody naukowe, które potwierdzałyby, że wspomniane efekty pozostawiły po sobie dusze z zaświatów. Także Kościół pozostaje bardzo ostrożny wobec tego typu artefaktów. Jest to zatem kwestia wiary, która odsyła nas jednak do istotnego elementu nauczania katolickiego, jakim jest istnienie czyśćca.

OGIEŃ OCZYSZCZENIA

Była to jedna z tajemnic wiary, która od początku nurtowała chrześcijan. Dotyczyła pośmiertnego losu ludzi, a więc dotykała każdego człowieka. Kościół katolicki naucza, że zanim rozstrzygnie się, czy dana osoba trafi do nieba, czy do piekła, musi stanąć przed sądem Opatrzności. Będzie miał on dwa wymiary – sąd szczegółowy oraz Sąd Ostateczny. Pierwszy będzie dotyczył poszczególnych osób, drugi – całej ludzkości. Sąd szczegółowy to swoiste badanie duszy. Wtedy okazuje się, czy nagromadziło się w niej więcej zła, a więc samoistnie będzie ona ciążyć ku piekłu, czy też dusza okaże się czysta, otwarta i gotowa na wejście do nieba – tak jak w przypadku świętych.

Żeby trafić do Królestwa Niebieskiego i oglądać Boga twarzą w twarz,

eprasa.pl c67ab20c39

człowiek musi się do niego upodobnić, tzn. oczyścić swoją duszę. Powinna być ona absolutnie czysta, czyli uwolniona od wszelkich pozostałości grzechu. Tymczasem jest wiele osób, które co prawda wyrzekły się zła, ale nie są w stanie usunąć ze swojego wnętrza pozostałości grzechu.

Dobrym przykładem, by to wyjaśnić, jest kwestia sycenia swego wzroku lubieżnymi obrazami. Zwolennicy takich wizerunków najczęściej powołują się na argument wolności. Problem polega jednak na tym, że wolność działa tylko w jedną stronę. Istnieje wolność zapamiętywania, ale nie ma wolności zapominania. Nie ma sposobu, by samemu wyzwolić się od sprośnych i perwersyjnych widoków, które wryły się w pamięć i są w stanie wracać w najbardziej niespodziewanych momentach. Nie jesteśmy bowiem panami swojej podświadomości.

Wyobraźmy sobie teraz, że taki człowiek trafia na sąd szczegółowy. Nie zostaje potępiony, bo pragnie Boga, ale nie może też trafić do nieba, gdyż jego dusza jest zbyt skażona złem. Zalegających w nim pozostałości grzechu nie jest w stanie usunąć sam. Może to zrobić tylko Bóg. Jak? Przez oczyszczenie.

Dokonuje się ono w stanie przejściowym poprzedzającym powszechne zmartwychwstanie, który nazywa się czyśćcem. Dusza pokutuje, by usunąć wszelkie ślady przywiązania do zła i stać się nienaganna wobec Boga. Dzieje się to poprzez cierpienie, które może być porównywane jedynie do ognia trawiącego wnętrze człowieka. Nie jest to jednak ogień fizyczny, lecz duchowy. Męki czyśćcowe są bardzo bolesne, gdyż wypalają zło, które tak głęboko zakorzeniło się w duszy człowieka, iż niemal stanowi jej część. Dlatego jego wypalanie powoduje wewnętrzny ból.

Tak pisał o tych cierpieniach św. Paweł Apostoł: „Tak też jawne się stanie dzieło każdego: odsłoni je dzień [Pański]; okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje, jakie jest. Ten, którego budowla wzniesiona na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę; ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień" (1Kor 3,13–15).

Z lewej ślad wypalonej dłoni na tkaninie w Muzeum Dusz Czyśćcowych w Rzymie. Po prawej korporał ze śladem wypalonej ręki przechowywany w klasztorze paulinów na Jasnej Górze

KOŚCIÓŁ CIERPIĄCY

W tajemnicy czyśćca odsłania się także wspólnotowy wymiar Mistycznego Ciała Chrystusa, którym jest Kościół. Ciężar kary zależy bowiem od liczby i wagi popełnionych grzechów. Ludzie mogą sobie jednak pomagać w tej sytuacji i poprzez modlitwy, posty, odpusty czy ofiarowane msze przyspieszać ów czas oczyszczenia.

O tego rodzaju praktyce wspomina nawet Stary Testament. W Drugiej Księdze Machabejskiej znajduje się fragment mówiący o modlitwie i ofierze Judy za zmarłych: „Uczyniwszy zaś składkę pomiędzy ludźmi, posłał do Jerozolimy około dwu tysięcy srebrnych drachm, aby złożono ofiarę za grzech. Bardzo pięknie i szlachetnie uczynił, myślał bowiem o zmartwychwstaniu. Gdyby bowiem nie był przekonany, że ci zabici zmartwychwstaną, to modlitwa za zmarłych byłaby czymś zbędnym i niedorzecznym, lecz jeśli uważał, że dla tych, którzy pobożnie zasnęli, jest przygotowana najwspanialsza nagroda – była to myśl święta i pobożna. Dlatego właśnie sprawił, że złożono ofiarę przebłagalną za zabitych, aby zostali uwolnieni od grzechu" (2Mch 12,43–46).

Magisterium naucza, że Kościół składa się z trzech części. Jest Kościół walczący, a więc pielgrzymujący w swej doczesnej wędrówce na ziemi; Kościół cierpiący, czyli pokutujący i doznający oczyszczenia w czyśćcu; Kościół triumfujący, obejmujący zbawionych w Niebie. Osoby żyjące w naszej ziemskiej rzeczywistości mogą modlić się do Boga za tych, którzy przechodzą przez ogień czyśćcowy, by ich męki zostały skrócone.

Wielu świętych opisywało, że mieli osobisty kontakt z duszami czyśćcowymi, które błagały ich o modlitwę. Do takich osób należeli m.in. św. Stanisław Papczyński, św. Faustyna Kowalska czy św. o. Pio. Wiele relacji z takich spotkań pozostawiła także zmarła w 1929 r. niemiecka mistyczka księżna Eugenie von der Leyen. Według licznych przekazów niektóre dusze tak natarczywie dopominały się modlitw za siebie, że dawały znaki poprzez materialne ślady. Według jasnogórskiej tradycji jedną z takich pozostałości jest korporał ze śladem wypalonej dłoni zmarłego paulina. Przedmiot przechowywany w częstochowskim klasztorze w cynowej skrzynce ze szklanym wiekiem nie jest jednak wystawiany na widok publiczny. Stanowi on wezwanie do modlitwy w intencji dusz czyśćcowych oraz namacalne przypomnienie, że nasz pośmiertny los nie jest jeszcze przesądzony.

Więcej na temat Muzeum Dusz Czyśćcowych i nabożeństwa w ich intencji w książce prof. Gerarda J.M. van den Aardwega „Spragnione dusze", Wydawnictwo Rosikon-Press

Fot. Janusz Rosikoń

eprasa.pl c67ab20c39

BRICS 2024 RUSSIA

Wielki zjazd pod okiem Putina

Zachód nie powinien lekceważyć szybkiego rozwoju grupy BRICS. Dziś organizacja reprezentuje mniej więcej połowę ludności świata, 40 proc. globalnego handlu, 40 proc. produkcji ropy naftowej i jedną trzecią globalnego PKB

JAN ROKITA

Ubiegłotygodniowy szczyt grupy BRICS, który odbył się w Kazaniu, stolicy rosyjskiego Tatarstanu, przyciągnął u nas uwagę w zasadzie tylko z jednego powodu. Jego organizatorem i gospodarzem był bowiem Władimir Putin, uważany, zresztą nie bez racji, za krwawego tyrana, z którym może rozmawiać wyłącznie prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego, oczywiście po wcześniejszym wykonaniu międzynarodowego nakazu aresztowania.

Tymczasem pod koniec trzeciego roku wojny na Ukrainie na zaproszenie władcy Rosji do Kazania przybyli przywódcy 36 państw z czterech kontynentów, aby wraz z nim głośno przeciwstawić się globalnej hegemonii USA i podyskutować o tym, jak można skutecznie zmniejszyć rolę Ameryki w zglobalizowanych realiach współczesności. A Jurij Uszakow, doradca moskiewskiego tyrana, z wyraźną emfazą określił kazańską naradę mianem „największego wydarzenia z dziedziny polityki

eprasa.pl c67ab20c39

zagranicznej, jakie kiedykolwiek odbyło się w Rosji".

W Kijowie tamtejszy MSZ obwieścił „kolejne niepowodzenie Rosji, która chciała wykorzystać szczyt BRICS do podziału świata, a tymczasem światowa większość krajów pozostaje po stronie Ukrainy". Trudno się dziwić, że ukraińskie władze wypowiadają się zgodnie z duchem ich propagandy wojennej. Ale naprawdę w dzisiejszych realiach ukraińska teza już się nie broni. Zjazd w Kazaniu definitywnie przełamał dyplomatyczną izolację Putina, otwierając nowy rozdział międzynarodowej dyplomacji z udziałem Moskwy.

Tę odmianę symbolicznie usankcjonowało przybycie do Kazania sekretarza generalnego ONZ Guterresa, którego rzecznik całkiem na serio wyjaśnił (choć brzmi to jak niezły kawał), iż szef Narodów Zjednoczonych „skorzystał ze szczególnej procedury umożliwiającej mu naradzanie się z ludźmi ściganymi międzynarodowym nakazem aresztowania".

Nie jest zatem przypadkiem, iż krótko przed Kazaniem chęć wznowienia osobistej rozmowy z Putinem wyraził również kanclerz Scholz. Tyle tylko, że jak na razie jego intencja została chłodno przyjęta na Kremlu – rzecznik Pieskow pochwalił wprawdzie kanclerza za nową otwartość na rozmowy, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że przywódca Rosji chwilowo nie ma o czym rozmawiać z Niemcami. Im częściej politycy w Kijowie przebąkują ostatnio o gotowości do rozmów z Moskwą, tym szybciej na Zachodzie powraca przekonanie o konieczności nawiązania własnych kontaktów z Putinem. Przekonanie, które niedługo może się zmienić w rozgrywkę o to, kto pierwszy zapewni sobie możliwość poważnej rozmowy na Kremlu o warunkach pokoju na wschodzie Europy.

CENNY SOJUSZNIK

W każdym razie dla uczestników zjazdu w Kazaniu status Rosji i jej przywódcy nie budzi wątpliwości. Na przykład egipski prezydent Sisi wylewnie dziękował Putinowi za wybudowanie nad Morzem Śródziemnym elektrowni jądrowej przez Rosatom. Prezydent Ramaphosa z RPA nazwał zaś Putina „cennym sojusznikiem, który nigdy nie zawiódł nas w naszej walce z apartheidem".

Dla Moskwy ten prestiżowy sukces był w Kazaniu polityczną kwestią numer jeden. Przełamanie międzynarodowej izolacji zawsze jest bowiem rzeczą trudną do przecenienia w polityce.

Ale przy okazji kazańskiej konferencji działy się jeszcze inne rzeczy o takiej samej, jeśli nie większej doniosłości. Tuż przed rozpoczęciem zjazdu w Delhi i Pekinie poinformowano o zawarciu „paktu o patrolach granicznych", który, jak się zdaje, kończy trwający od wielu lat ostry konflikt graniczny pomiędzy dwoma największymi państwami świata, na dodatek – obydwa dysponują arsenałem broni jądrowej. W efekcie w Kazaniu mogło dojść do przełomowego oficjalnego spotkania pekińskiego tyrana Xi Jinpinga z premierem Modim, w trakcie którego Chińczyk z radością mówił Hindusowi, że ich kraje muszą teraz „z wyrozumiałością wzajemną podchodzić do różnic, ale za to ułatwiać sobie realizację aspiracji rozwojowych".

> Tym, co popycha kolejne kraje do ubiegania się o przystąpienie do BRICS, jest niezadowolenie z aktualnego stanu stosunków w świecie, którego negatywnym symbolem jest dla nich Ameryka

Konflikt graniczny pomiędzy Indiami i Chinami trwa już co najmniej od 1962 r., kiedy to Chińczycy wygrali wojnę, zajmując spore hinduskie terytoria po wschodniej i zachodniej stronie Himalajów. Potyczki graniczne obu armii rozpoczęły się na nowo w 2013 r., a siedem lat później, w czerwcu 2020 r., doszło do całego cyklu bitew na pograniczu należącej do Indii prowincji Ladakh (buddyjskiej i stanowiącej część historycznego Tybetu). Było sporo ofiar, znów głównie po stronie Indii. Od tamtego czasu Delhi podjęło wiele zdecydowanie antychińskich kroków, m.in. blokując chińskie inwestycje, likwidując połączenia lotnicze czy zamykając dostęp do TikToka i chińskich aplikacji.

Chińczykom, których coraz mocniej gnębią karne cła nakładane przez Europę i Amerykę, musiało zależeć na ponownym otwarciu Indii dla ich kapitału. I co ciekawe, na tyle, na ile możemy poznać treść nieopublikowanego układu z Kazania, za rozsądny kompromis uznano respektowanie tzw. linii LAC (czyli po prostu linii faktycznej kontroli obu armii). Ten model rozejmu z pewnością musiał zwrócić uwagę przywódców Rosji i Ukrainy.

W załagodzeniu sporu Delhi z Pekinem nie ma oczywiście żadnej zasługi Putina, ale fakt, iż dzieje się to w Kazaniu, pod jego życzliwym okiem jako gospodarza, też działa na rzecz prestiżu moskiewskiego tyrana. W końcu to właśnie Rosja i odbywająca się tam konferencja o mocno antyamerykańskich akcentach mobilizuje dwa potężne państwa do zmiany polityki i deklaracji o „ułatwianiu sobie" nawzajem swoich dążeń i snów o hegemonii w postamerykańskim świecie. Tyle tylko (i to jest chyba główny kłopot grupy BRICS), że Xi i Modi są właśnie politycznymi liderami dwóch odmiennych orientacji wewnątrz organizacji, gdy idzie o gotowość i determinację do przeciwstawienia się amerykańskiej hegemonii.

SOJUSZ ANTYAMERYKAŃSKI

Pekin, Moskwa i Teheran (Iran został przyjęty do organizacji i jest jednym z czterech nowych członków) tworzą w niej grupę jastrzębią. Zarówno Chiny, jak i Rosja oraz Iran są dziś skazane na konfrontację z Ameryką zarówno w ekonomii, jak i w klasycznej, czystej polityce.

Fot. AA/ABACA/Abaca/East News

eprasa.pl c67ab20c39

Pekin ma na głowie karne cła narzucane przez Waszyngton i amerykańską osłonę militarną dla Tajwanu, która blokuje mu ambicję inkorporacji wyspy. Moskwa uważa, że NATO (czyli w praktyce USA) *de facto* prowadzi przeciw niej wojnę na Ukrainie. A Teheran ledwo zipie pod amerykańskimi sankcjami, które od lat duszą potencjał ekonomiczny kraju.

Te trzy kraje, kluczowe dla grupy BRICS, nawet nie kryją tego, iż mają zamiar wciągnąć w globalny antyamerykański sojusz nie tylko obecnych, lecz także nowych członków organizacji, których w najbliższych latach będzie zapewne coraz więcej. Ów sojusz miałby w pierwszym rzędzie skoncentrować się na walce z finansową globalną hegemonią USA, wynikającą z amerykańskiej kontroli nad Bankiem Światowym, Funduszem Walutowym oraz panowaniem dolara nie tylko w światowych rozliczeniach handlowych, lecz także w rezerwach krajowych banków centralnych (dolar to ok. 60 proc. tych rezerw w skali świata). Nic więc dziwnego, że w swej mowie powitalnej Putin najmocniej nalegał na jeden priorytetowy obecnie cel grupy BRICS: eliminowanie dolara z rozliczeń handlowych i rezerw.

Po drugiej stronie są przede wszystkim dwie potęgi: Indie i Brazylia, które też aspirują do przywództwa tzw. Globalnego Południa, czyli całej masy narodów niezadowolonych z obecnego kształtu międzynarodowego ładu, którego zwornikiem i hegemonem jest Ameryka. Ale zarazem nie mają ochoty zapisywania się do chińsko-rosyjsko-irańskiego obozu, z którego będzie się ostrzeliwać Amerykę, Europę, a na dodatek międzynarodowe instytucje finansowe, tak przydatne w kryzysowych sytuacjach.

Zarówno hinduskiemu nacjonaliście Modiemu, jak i lewicowemu przywódcy Brazylii Luli marzy się raczej odtworzenie czegoś na kształt dawniejszego „ruchu krajów niezaangażowanych", czyli organizacji zdolnej do prowadzenia gry o własne narodowe interesy państw członkowskich, bez „zapisywania się" do jakiegoś dwublokowego podziału świata. Kraje te całkiem rozsądnie obawiają się nowej, globalnej zimnej wojny i sztywnego podziału świata na amerykański Zachód oraz chińsko-rosyjskie Południe, wiedząc, iż taki podział obróci w niwecz ich własne mocarstwowe ambicje i sprowadzi ich ponownie do roli klientów. Kiedy mówią zatem o tzw. polityce multilateralnej, to w przeciwieństwie do Rosjan czy Chińczyków robią to na serio, podczas gdy w Pekinie, Moskwie, a także Teheranie przez ów sławetny „multilateralizm" rozumie się po prostu przeciwstawienie się Ameryce.

POTENCJAŁ BRICS

Wobec tak zasadniczo odmiennej percepcji współczesnego świata mało kto zakłada, że po układzie kazańskim Chiny i Indie rzeczywiście będą wspierać nawzajem swoje mocarstwowe ambicje. Tym bardziej że, jak wykazuje cała dotychczasowa historia grupy BRICS, ma ona dość ograniczoną zdolność globalnej konkurencji z Ameryką oraz zachodnimi instytucjami finansowymi.

Po wieloletnich kompromitujących perypetiach BRICS udało się w końcu stworzyć własny Nowy Bank Rozwoju, ale po pierwsze, jest on w praktyce pod finansową kontrolą Chin, a po drugie, skala jego operacji pożyczkowych (w sumie dotąd ok. 35 mld dol.) stanowi niewielki ułamek skali oddziaływania Banku Światowego i związanych z nim instytucji zachodnich. Jakimś sukcesem BRICS jest też stworzenie (pod presją sankcji nałożonych na Moskwę) alternatywnego do SWIFT systemu rozliczeń międzybankowych. Ale już np. szumne zapowiedzi, czynione od 2012 r. na kolejnych szczytach BRICS, iż grupa stworzy własną, niezależną od Ameryki kablową sieć przesyłu danych na dnie oceanów okazały się li tylko czczą pseudomocarstwową propagandą.

BRICS nie zjednoczy się zatem jako wielki antyamerykański blok uczestniczący w jakimś nowym podziale politycznym świata. Nie będzie tez – na razie – w stanie rzucić prawdziwego wyzwania kontrolowanemu przez USA systemowi monetarnemu, który od czasu konferencji w Bretton Woods z 1944 r. stanowi podstawę globalnego kapitalizmu. BRICS nie stanie się więc alternatywną grupą G7, którą uporczywie próbuje nieudolnie naśladować, gdyż konstytutywną cechą G7 jest właśnie to, iż tworzą ją państwa realnie kontrolujące cały ten system.

W tym sensie nie spełnią się raczej polityczne nadzieje Xi Jinpinga, Putina i ajatollaha Chamenei. To jednak w żadnym razie nie znaczy, iż z perspektywy Zachodu można lekceważyć szybki rozwój BRICS, do którego ustawia się właśnie długa kolejka państw Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Już dziś, po rozszerzeniu grupy w Kazaniu o Iran, Emiraty Arabskie, Egipt i Etiopię, organizacja reprezentuje mniej więcej połowę ludności świata, 40 proc. globalnego handlu, 40 proc. produkcji ropy naftowej i jedną trzecią globalnego PKB.

Tym, co popycha kolejne kraje ubiegające się o przystąpienie (wśród których jest nawet związana sojuszem z Zachodem Turcja), jest niezadowolenie z aktualnego stanu stosunków w świecie, którego negatywny symbol stanowi dla nich Ameryka. Jeśli większość nie chciałaby pewnie wdawać się w konflikt z USA, to tylko z obawy, że może na tym dużo stracić i niczego nie zyskać, nie zaś z jakiegoś podziwu dla amerykańskiej wolności i demokracji. Większość z tych krajów nie cierpi polityki Izraela i chętnie doprowadziłaby do likwidacji tego państwa – oczywiście, gdyby nie Ameryka. Nawiasem mówiąc, konieczność dostosowania się do tego antyizraelskiego tonu jest ciosem dla całej prożydowskiej polityki, którą Putin przez lata próbował uprawiać.

Wszystkie te kraje bez sympatii patrzą na Ukrainę. Nie dlatego, że sprzyjają moskiewskiej inwazji, ale z tego powodu, iż Kijów został przez nie raz na zawsze zdefiniowany jako amerykański wasal. Dlatego właśnie zdecydowały się zrobić w Kazaniu kremlowskiemu tyranowi ów cenny prezent, jakim było wyzwolenie go z więzów izolacji. A Pekin i Delhi uczyniły nawet coś więcej: podczas zjazdu w Kazaniu pod opiekuńczym okiem władcy Kremla zamanifestowały wzajemne pojednanie.

eprasa.pl c67ab20c39

Poza skalą

40 lat przygotowań, 120 mln budżetu i kinowa megaporażka. „Megalopolis" Coppoli to kolejne filmowe „dzieło życia", które dla dobra twórcy mogłoby pozostać w sferze marzeń. Amerykańscy widzowie tego nie kupili, może w Europie będzie inaczej

Fot. Courtesy of Lionsgate

eprasa.pl c67ab20c39

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

O tym, jak to jest, od kilku miesięcy wie już Kevin Costner. Do rozbuchanej produkcyjnie wizji swojego „Horyzontu" nie przyciągnął tylu widzów, ilu chciał zgromadzić przed ekranami. Francis Ford Coppola wciąż ze swoim „Megalopolis" jest w grze. Choć po prapremierze w Cannes najżyczliwsi krytycy nazywali jego film „pełnym pasji", jednocześnie dodając, że projekt ten zakończył się „strasznym niepowodzeniem".

NOWY RZYM W EUROPIE

Kilka tygodni temu „Megalopolis" skonfrontowało się z amerykańskimi widzami. Weekend otwarcia przyniósł 4 mln wpływów, co w zderzeniu ze 120-mln budżetem i ok. 20 mln wydanymi na promocję może załamać producenta.

Czy w Europie uda się zmniejszyć skalę finansowej klęski? Może przy tak krytycznych ocenach fani Coppoli pójdą do kin, by samodzielnie ocenić, co się tak naprawdę wydarzyło w skazanym na upadek, futurystycznym imperium. W kinowej sali jedno mają zapewnione – odpowiednio duży ekran. Taki, który pomieści i szeroką perspektywę, i detale „filmowego marzenia życia". I może jeszcze rozpisane na wiele lat twórczej determinacji tło projektu, które reżyserowi w końcu udało się zrealizować. Pytanie, czy gdyby wizja upadku Nowego Rzymu trafiła na ekrany wcześniej, jej młodszy reżyser wnikliwiej i z większym zrozumieniem potrzeb oraz oczekiwań dzisiejszych widzów zdefiniowałaby świat, jego zagrożenia, oczekiwania i narracje?

CZTERY DEKADY MARZEŃ

Coppola próbował nakręcić „Megalopolis" od początku lat 80. ub.w. Wtedy po raz pierwszy nakreślił wizję Nowego Rzymu, wypełnionego tłumem skupionych na sobie, niepoddających się żadnym zasadom ludzi. W tej przestrzeni konfrontowali się dwaj główni antagoniści: Cesar Catilina (ostatecznie zagrał go Adam Driver), genialny architekt, który potrafi zatrzymać czas i zamierza zbudować utopię wbrew planom swojego rywala, oraz burmistrz Franklyn Cicero (w tej roli Giancarlo Esposito).

Gdy krystalizowała się pionierska, scenariuszowa wizja „Megalopolis", Coppola był już po sukcesie dwóch pierwszych części „Ojca chrzestnego" oraz „Rozmowie" i dochodził do siebie po piekielnie trudnej realizacji „Czasu apokalipsy". Po latach zdradził, że większość projektów filmowych, które przyjmował w latach 80. i 90. (wyreżyserował w tym czasie 12 tytułów, w tym „Draculę" i trzecią część „Ojca chrzestnego"), miała mu pomóc w zgromadzeniu pieniędzy na nakręcenie futurystycznej wizji Nowego Rzymu.

Szukał inspiracji nie tylko w przeszłości starożytnego Rzymu (jego uwagę przykuł m.in. spisek Katyliny). Sięgał też do tradycji kina historycznego, w tym nagrodzonego 11 Oscarami „Ben-Hura". Tytułowe Megalopolis zbudował na wzór Nowego Jorku.

KOLEJNE PODEJŚCIA

Na przełomie tysiącleci udało mu się skompletować pierwszą obsadę. W głównych rolach zostali obsadzeni Kevin Spacey (tuż po Oscarze za „American Beauty") i Russell Crowe (ze statuetką za „Gladiatora"). Przyszedł jednak 11 września 2001 r., po którym koncepcja „Megalopolis" nie mogła się obronić w Hollywood. Produkcję wstrzymano. Po kolejnych mało udanych filmach wydawało się, że Coppola na dobre odsunie się od reżyserowania, ale w 2021 r. 80-letni twórca ogłosił kolejną obsadę. Wbrew nadciągającej, tym razem pandemicznej, przeszkodzie.

Fot. Courtesy of Lionsgate

eprasa.pl c67ab20c39

W głównych rolach mieli się pojawić Oscar Isaac i Forest Whitaker, na drugim planie m.in. Zendaya i Cate Blanchett. Niedopięty budżet i inne zobowiązania gwiazd sprawiły jednak, że i ten skład nie trafił przed kamery. Odpowiedzią Coppoli była decyzja (ogłoszona w 2022 r.), że sam sfinansuje „Megalopolis". Aby to zrobić, sprzedał swoje słynne kalifornijskie winnice. Ekipa weszła na plan. Z Adamem Driverem jako architektem Cesarem i Giancarlem Esposito w roli burmistrza Cicero.

Ku zaskoczeniu sporej części opinii publicznej w obsadzie filmu pojawili się także aktorzy wykluczeni z życia zawodowego w efekcie ruchu #MeToo. Odpowiadając na te zarzuty, reżyser podkreślał, że jego film nie jest poprawnym politycznie hollywoodzkim projektem, lecz niezależną realizacją.

„Nie chciałem, aby uznano nas za produkcję, która po prostu poucza widzów. W obsadzie znaleźli się więc ludzie, którzy w pewnym momencie swojej kariery zostali scancelowani. Na planie pojawiły się osoby, które są arcykonserwatywne, a także niezwykle postępowe politycznie. Wszyscy razem pracowaliśmy nad jednym filmem i było to bardzo interesujące doświadczenie" – mówił reżyser w rozmowie z magazynem „The Rolling Stone".

WCIELONA FANTAZJA

„To film poza skalą" – oceniają krytycy – zarówno życzliwi, jak i kontestujący działania reżysera. I jedni, i drudzy zauważają, że „Megalopolis" to filmowa fantazja wcielona w życie. Spełnione pragnienie, by zbudować świat po swojemu, według własnej wizji, miary i ocen. Niezależnie od tego, jak daleki od stworzonego na ekranie wyobrażenia jest współczesny świat.

„Mój spec od PR zawsze na mnie krzyczy, gdy zaczynam mówić o polityce, więc nie chciałbym tego robić. Mój film nie wyleczy naszych bolączek, ale wierzę w to, że uratuje nas fakt, że dzięki niemu będziemy rozmawiać o przyszłości. Chcemy być w stanie zadać wszelkie pytania, jakie nas gnębią, i naprawdę spojrzeć na to, dlaczego nasz kraj jest teraz podzielony" – mówił Coppola w jednym z wywiadów. „To zapewni energię, która pokona ludzi chcących zniszczyć naszą republikę. Zrobiłem ten film, aby się do tego przyczynić. Chcę, aby rozpoczął rozmowę. Nie można mieć utopii bez rozmowy".

Z grozą na finał

Horror nie kojarzy się z takimi uczuciami, a jednak „Cisza nocna" wywołała – i wciąż może wywoływać – wzruszenie. Życie czy raczej jego zakończenie: śmierć – wpisała w film Bartosza M. Kowalskiego refleksję na temat przemijania i pożegnania. Do rozważań bliższych naszej tradycji honorowania i wspominania zmarłych dodała wątek ludzkiego spełnienia. W tym przypadku domknięcia życiowej i zawodowej pasji, obecnej zarówno w doświadczeniu bohatera filmu, jak i jego odtwórcy.

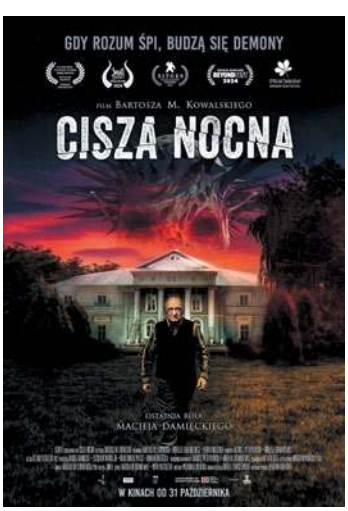

Lucjan, emerytowany aktor teatralny (w tej roli Maciej Damięcki), zostaje oddany do domu opieki. W położonej na odludziu rezydencji zaczynają go prześladować makabryczne wizje. Na dodatek w trudny do wytłumaczenia i coraz bardziej niepokojący oraz mroczny sposób łączą się one ze śmiercią kolejnych pensjonariuszy.

W reżyserskim (i scenariuszowym) założeniu czysty gatunkowo film za sprawą odtwórcy głównej roli zmienił sposób oddziaływania na widza. Maciejowi Damięckiemu dał możliwość intensywnego bycia na planie, ostatnich aktorskich akordów – w pełnym świetle i podziwie widzów dla stworzonej przez niego kreacji.

Podczas finałowej gali tegorocznego Festiwalu Filmowego w Gdyni aktorowi pośmiertnie przyznano nagrodę w nowej kategorii wyjątkowy wkład artystyczny. Nagrodę odebrali córka i syn zmarłego 17 listopada ub.r. artysty – Matylda i Mateusz Damięccy. Ich podziękowania były poruszające. „Bardzo lubił przychodzić do was na plan" – mówił Mateusz Damięcki do reżysera Bartosza M. Kowalskiego oraz współscenarzystki i producentki filmu Mirelli Zaradkiewicz. I dodawał: „Filmy dają nieśmiertelność. Im więcej ludzi zobaczy »Ciszę nocną«, tym więcej osób uczyni naszego tatę nieśmiertelnym". Jego siostra, nie kryjąc emocji, dopowiadała: „Wierzę, że gdzieś w równoległym świecie tato teraz odbiera nagrodę, na którą naprawdę zasłużył, i pewnie powiedziałby: »Bardzo klawo«".

Bartosz M. Kowalski, który zadebiutował w 2016 r. głośnym „Placem zabaw", zdradza, że także „Ciszę nocną" zainspirowały prawdziwe wydarzenia. Tym razem jednak zamiast wchodzenia młodocianych bohaterów w życie (szokująco zakończone), zaintrygowało go żegnanie się z doczesnością. Najnowszy projekt nazwał „opowieścią o przemijaniu podaną w przygodowo-potwornym opakowaniu, pod którym szkicowany jest skłaniający do refleksji portret starego człowieka i jego miejsca w dzisiejszym społeczeństwie". „Ów społeczny komentarz przewrotnie zderzony został z konwencją horroru" – tłumaczył.

Maciejowi Damięckiemu („Rzeczpospolita babska", „Rozmowy kontrolowane") w ostatniej roli partnerowali m.in. Zdzisław Wardejn, Włodzimierz Press i Anna Nehrebecka.

JGZ

eprasa.pl c67ab20c39

Herbert neutralizowany

Zbigniew Herbert to jeden z najważniejszych polskich duchów. Jubileusz setnych urodzin poety przebiega jednak w ciszy. Jego poezja jest kiepsko dostępna, a on sam został poddany wizerunkowej neutralizacji

MACIEJ WALASZCZYK

Setna rocznica urodzin Zbigniewa Herberta przebiega raczej w ciszy. „Książę poetów" oczywiście nie lubił zadęcia, oficjalnej pompy oraz „zmuszania do wzruszeń". Nie ma jednak wznowień poszczególnych tomików jego dzieł, a wydawane w ostatnich latach „Poezje zebrane" i „Poezje rozproszone" są już od dawna niedostępne. Lepiej jest z naukowymi monografiami, listami biografiami, jak np. wznowioną ostatnio pierwszą i niezwykle drobiazgową książką Joanny Siedleckiej „Pan od Poezji" (omówienie na str. 61) czy dwutomowym wydawnictwem Andrzeja Franaszka.

– Mamy klęskę wydawniczą, tym większą, iż rzeczywiście obchodzimy stulecie – przyznaje prof. Józef Ruszar, twórca zlikwidowanego przez koalicję 13 grudnia Instytutu Literatury. Jednym z ostatnich wydawnictw, które ukazało się jego nakładem, był 23 numer pisma „Nowy Napis" poświęconego w całości twórczości Herberta. Ruszar przyznaje, że bardzo chciał, aby to właśnie Instytut, który posiadał spore możliwości finansowe, mógł wydać, i to w dużym nakładzie, wznowienia książek Herberta, ale ze względu na stanowisko, jakie przyjęła w tej sprawie spadkobierczyni, nawet nie składał oficjalnych propozycji. – Proszę spróbować kupić „Barbarzyńcę w ogrodzie" czy „Labirynt nad morzem"? Nie ma. To wynik polityki prowadzonej przez spadkobierców – przyznaje.

Dzieje się tak, gdyż do niedawna istniały dwa monopole na wydawanie Herberta. Na wiersze zebrane w tomikach, a także na te rozproszone, które wcześniej do nich nie weszły, a były publikowane w gazetach, czy listy pisane do przyjaciół lub Haliny Misiołek, jego pierwszej wielkiej miłości, miała oficyna a5 i Ryszard Krynicki. Eseistykę wydawały natomiast „Zeszyty Literackie". – Jednak po tym, gdy Agora przestała finansować to przedsięwzięcie, esejów Herberta od wielu lat nie ma na rynku – dodaje Ruszar.

By być dokładnym, rzeczywiście najważniejszym wydawnictwem rocznicowym stał się trzytomowy i wydany właśnie przez a5 „Kanon. Tryptyk" złożony z „89 wierszy", a więc wyboru dokonanego jeszcze przez poetę pod koniec lat 90., nieukończonej książki „Król mrówek. Prywatna mitologia" zrekonstruowanej z rękopisów przez Krynickiego oraz jakiś arbitralny wybór esejów.

– To jest właśnie nieporozumienie, przecież młodzież lubi poezję, bo Herbert to wbrew pozorom poeta przystępny w odbiorze i popularny, dlatego potrzebujemy wznowień jego poszczególnych tomików, mniejszych objętościowo i tanich, dużych nakładów – podkreśla Joanna Siedlecka. Przypomina, że kiedyś Wydawnictwo Literackie w ten sposób uczciło setne urodziny Gombrowicza masowo wydając tanie wznowienia jego książek. – Czcimy pisarza twórczością, przypominaniem go, by nie stał się martwym klasykiem. Tymczasem dostajemy jedynie wybory, na których lansuje się pan Krynicki – komentuje biografka. Zwraca uwagę, że brakuje również publicystyki pisarza, także tej z czasów „Tygodnika Solidarność" wraz ze słynnym wywiadem, którego udzielił wtedy Andrzejowi Gelbergowi i Annie Popek. To wszystko jest wynikiem trwającej od dekad wojny o pamięć o Herbercie i kontrolę nad jego wizerunkiem. Jest on bowiem poddawany ciągłej neutralizacji, a to znów stanowi prostą konsekwencję ostrych ataków wymierzonych w poetę już od lat 80. ub.w.

Fot. PAP

eprasa.pl c67ab20c39

WCIŚNIĘTY W KAFTAN BEZPIECZEŃSTWA

Po pogrzebie pary prezydenckiej, która zginęła w katastrofie smoleńskiej, ówczesna redakcja „Wiadomości" kierowana wtedy przez Jacka Karnowskiego, zakończyła wydanie okolicznościowe serwisu „Przesłaniem Pana Cogito", znakomicie zinterpretowanym przez jego ówczesnego reportera Marcina Wikłę. Materiał ilustrowany czarno-białymi przebitkami z miejsca katastrofy, katyńskiego memoriału, fragmentami archiwów wojennych wciąż przyprawia o dreszcz emocji. Nie ma wątpliwości, że słynny wiersz został użyty we właściwym miejscu i czasie. Tak też został odebrany przez miliony widzów. Szokujące jednak było to, że niektórzy oburzali się za „przywłaszczanie", „polityczne wykorzystywanie" i „manipulowanie" tekstem, powołując się na krytyczne stanowisko rodziny poety zmarłego w 1998 r. Był to bowiem efekt fatalnego w skutkach wywiadu, którego Katarzyna Herbert, wdowa po nim, udzieliła „Gazecie Wyborczej" w 2000 r. Wyrażona przez nią zgoda na rozmowę ze środowiskiem, z którym poeta zerwał i nie chciał mieć nic wspólnego, wywołała zażenowanie i konsternację. Od tego czasu zaczęło się także twarde egzekwowanie praw spadkobierczyni do jego twórczości przy pomocy najdroższych adwokatów.

Wokół Herberta jest też budowany obraz człowieka chorego i cierpiącego na manie, które powodowały, że wygłaszał opinie nieprzychylne dominacji układu postkomunistycznego, zdradzie elit i kompromitowaniu polskości. Siedlecka mówi, że pracując nad kolejnym wydaniem biografii, nie miała możliwości dotarcia do wszystkich dokumentów złożonych w Archiwum Herberta w Bibliotece Narodowej. Wygląda na to, że dostęp do nich ma głównie Andrzej Franaszek, który nieustannie akcentuje, że Herbert cierpiał na poważną chorobę psychiczną, która wywarła ogromy wpływ na jego życie i twórczość. Jak celnie zwracał uwagę Andrzej Horubała, po prostu odmówił staremu już Herbertowi nawet „odrobiny heroizmu", nadającej jego buntowi przeciw establishmentowi pewnego rysu godności. „Pozostawił twórcę raczej żałosnego niż tragicznego, artystę godnego politowania" – zauważał. I jest w tym wiele racji. Herberta po śmierci po prostu wciśnięto w kaftan bezpieczeństwa.

NIE TYLKO POETA

Przez lata pisał nie tylko wiersze. Miał bowiem w swoim dorobku także teksty publicystyczne, felietony i recenzje, udzielał wywiadów, podpisywał listy otwarte. Od początku lat 70. ub.w. był rozpracowywany przez SB. W 1975 r. podpisał słynny protest przeciwko zmianom w konstytucji PR. Na początku 1981 r. krakowski Stary Teatr w Krakowie wystawił spektakl w reżyserii Tadeusza Malaka na podstawie „Powrotu Pana Cogito". Próby do niego zaczęły się jeszcze w latach 70., ale m.in. ze względu na podpis poety pod protestem został objęty zakazem druku, a do premiery nie doszło. „Pan Herbert wmieszał się w politykę przez wielkie P" – tłumaczył reżyser. Udało się to dopiero w czasie pierwszej „Solidarności", spektakl nabrał wymiaru symbolicznego, a sam Herbert pojawił się na premierze, czytając ze sceny swoje wiersze. Wtedy wręcz wybuchła popularność jego poezji, która również pojawiła się w pieśniach bardów Solidarności – Przemysława Gintrowskiego i Jacka Kaczmarskiego.

W połowie lat 80. Herbert udzielił obszernego wywiadu, który znalazł się w książce Jacka Trznadla „Hańba domowa", ostro atakując środowisko pisarzy uwikłanych w czasy socrealizmu. Ton wypowiedzi i kategoryczne sądy były ostre, bulwersowały część opinii szczególnie niewiarą w szczerość ich ekspiacji. Wywołało to wówczas izolację i falę krytycznych opinii, zarówno w „Trybunie Ludu", jak i prasie drugiego obiegu. M.in. Agnieszka Holland zarzucała Herbertowi „rozdrapywanie przyschniętych ran", a ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban już wtedy twierdził, że mógł to napisać tylko człowiek chory psychicznie.

Innym frontem tego sporu był konflikt z Czesławem Miłoszem, który rozgorzał podczas jednego z pobytów Herberta w USA. Chodziło w nim o stosunek do Polski międzywojennej, narodowej tożsamości, inaczej odczuwanej przez „litewskiego" Miłosza, AK (Miłosz – uciekinier z powstańczej Warszawy) i zbrojnego podziemia, antysemityzmu, oceny komunizmu oraz wielu rozbieżności, które wobec dwóch bardzo różnych postaw: szyderczej i ironicznej Miłosza oraz wyostrzonej moralnie i pryncypialnej Herberta, doprowadziły do konfliktu między „wieszczami".

Natomiast już od początku lat 90. Herbert zupełnie zdystansował się wobec środowiska „Gazety Wyborczej", zarzucając jej naczelnemu Adamowi Michnikowi sprzyjanie postkomunistom. Dość szybko zapowiedział też, że nie będzie niczego publikował na jej łamach, a w lipcu 1992 r. zadebiutował w „Tygodniku Solidarność", podejmując w swoich felietonach niemal wszystkie ówczesne problemy polityczne. Kulminacją był film Jerzego Zalewskiego „Obywatel poeta", wyemitowany w TVP dwa lata po śmierci pisarza, w którym kwestie polityczne zostały postawione najostrzej. Wywołując równie ostrą reakcję. Jak czytamy w biografii pióra Siedleckiej, „zdrowotne problemy Herberta stały się z czasem główną bronią jego przeciwników". Jak się okazuje, „wirus depresji" jakoś nie zniekształcił poezji czy esejów o kulturze śródziemnomorskiej, a jedynie sądy o Miłoszu i Michniku.

* * *

Który więc Herbert jest nam dziś potrzebny? Esteta cywilizacji europejskiej, metafizyk czy ironista i moralista, słynny Herbertowski etos? – Paradoksalnie ten polityczny chorąży sprawy narodowej interesuje dziś ludzi najmniej, choć do niego najczęściej odwołują się media i tak jest prezentowany w edukacji. A sama publiczność najchętniej czyta Herberta – znawcę kultury – wyjaśnia Józef Ruszar. Ta poezja akcentuje znaczenie kodu kulturowego. Jak widać, ciągle potrzebujemy estetyki, która konfrontuje się z językiem generowanym przez kulturę masową. Nie ma jednak wątpliwości, że wciąż potrzebujemy wezwania Herberta do „postawy wyprostowanej", bo jego poezja przecież nawołuje do przywrócenia wyraźnej granicy między dobrem i złem. Dzieło jest więc nieśmiertelne, a cała reszta ludzkich słabości umarła razem z nim.

eprasa.pl c67ab20c39

3 MIŁOŚCI

I my odpuszczamy

ROBERT TEKIELI

Znacie twarze kobiet, których zacięte usta są wąskie, jakby cięte nożem? A pożółkłe, wychudzone twarze mężczyzn zasuszonych w rozpamiętywaniu własnych krzywd, uwięzionych w złej przeszłości? Trawionych żółcią, zalewanych falami goryczy, nienawiści, złości. Chorych poczuciem krzywdy?

Niepodejmowanie prób przezwyciężenia doświadczeń, które zrodziły rozczarowanie, gniew, strach, obrazę i upokorzenia, zabija. Ileż cierpienia muszą doświadczyć ludzie, którzy nie chcą być szczerzy sami ze sobą. I skupiają się na przerzucaniu odpowiedzialności za własne życie na innych.

Przebaczenie, darowanie komuś winy, jest aktem woli tak ważnym, że Jezus zaleca go w jedynej modlitwie, którą podyktował ludziom. W drugiej części „Modlitwy Pańskiej" odnoszącej się do naszej kondycji i natury oprócz prośby o zaspokojenie potrzeb ciała oraz o wybawienie naszego ducha od pokus zdolnych nas pokonać Jezus zaleca, abyśmy prosili jego ojca o odpuszczenie nam win na miarę tego, jak odpuszczamy je naszym winowajcom. Tak wielka jest waga przebaczenia. Modlitwa „Ojcze nasz" dotyka najważniejszych aspektów naszego ciała, duszy i ducha. I właśnie przebaczenie okazuje się najbardziej niezbędne dla zdrowia duszy. Biblia mówi też o wielkiej roli pojednania z bliźnimi. A wybaczenie jest pierwszym krokiem do pojednania.

Przebaczenie jest sztuką nieskończenie trudną, pierwszym warunkiem prawdziwego przebaczenia krzywdzicielowi jest bowiem zmierzenie się z naszą krzywdą. Stanięcie z nią twarzą w twarz. Zaakceptowanie mojej niegdysiejszej bezsilności, cierpienia, które mnie niszczyło i niszczy. Zobaczenie się jako niezdolnego do zadbania o siebie, przyznanie do własnej słabości. A my mamy tendencje do tego, by od cierpienia uciekać, wypierać złe doświadczenia, udawać, również przed sobą, że w sumie nic się nie stało. Dlatego tak często unikamy przebaczania. Bo przebaczanie boli. Poczucie krzywdy nie jest tym, co chcemy przeżywać.

Sama potrzeba przebaczenia zakłada istnienie winy. Pierwszy etap przebaczenia jest więc swego rodzaju konfrontacją z krzywdzicielem. Przebaczenie nie oznacza zapomnienia krzywd, które wyrządził nam ten człowiek, oznacza natomiast najpierw odrzucenie odwetu, potem uznanie się za skrzywdzonego, przypomnienie sobie ran, dopuszczenie do siebie wszystkich emocji – żalu, smutku, rozgoryczenia lub gniewu czy złości, pozwolenie sobie na płacz i krzyk, na każde bezpieczne dla nas rozładowanie emocji. Najłatwiej zrobić to w formie listu do krzywdziciela. Listu, w którym niczego nie cenzurujemy. I którego nikomu nie wysyłamy.

Przebaczenie, darowanie komuś winy, jest aktem woli tak ważnym, że Jezus zaleca go w jedynej modlitwie, którą podyktował ludziom

I nie chodzi o babranie się w ranach, lecz o to, by zobaczyć swoją krzywdę i nazwać emocje, które wypełniały/wypełniają moje serce. Przyjąć je. A potem dać sobie czas, by ostygły i gdy możemy już czytać zapisane wcześniej słowa bez dławiącego bólu, dokonać aktu przebaczenia, a list potargać lub spalić.

Przebaczenie jest procesem. Już sama decyzja o nim sprawia, że wchodzimy na drogę uzdrowienia, ale może to trwać dni, miesiące albo lata.

Sygnałem o zakończeniu procesu przebaczenia może być np. niewywołująca emocji zdolność do modlitwy o pełnię szczęścia dla krzywdziciela. Jeśli jestem do tego zdolny, zakładam, że od decyzji woli przeszedłem do dyspozycji serca. Że z serca przebaczyłem.

Przebaczenie jest tak trudne, bo oznacza całkowite uwolnienie drugiego człowieka od winy. Są też ludzie, którzy muszą przebaczyć samym sobie za popełnione błędy i słabości. Inaczej nigdy nie przestaną tkwić w przeszłości.

Każda historia uzdrowienia zaczynała się od przebaczenia. Tak powiedział mi w rozmowie na temat wychodzenia z homoseksualizmu terapeuta, który pomógł dziesiątkom osób zmienić orientację seksualną. Ta zmiana była zaś niejako ubocznym efektem integracji osobowości poprzez zaopatrzenie emocjonalnych deficytów pacjenta, zrozumienie swoich zranień i wybaczenie.

Przebaczenie jest człowiekowi równie potrzebne, co trudne. Czas, który teraz przeżywamy, sprzyja refleksji, przez kilka dni śmierć staje się bardziej realna, konfrontacja z jej istnieniem odbudowuje prawdziwą perspektywę życiową, pozwala też spojrzeć w przeszłość. Może są osoby już nieżyjące, którym nie potrafimy przebaczyć?

Prawdziwe przebaczenie przywraca człowiekowi wolność. Jak dobra spowiedź zdejmuje ciężar z barków, którego istnienia czasami nie jesteśmy świadomi.

eprasa.pl c67ab20c39

POPKULTURA

Warte Czteroodcinkowy miniserial dokumentalny *„Jeffrey Epstein: Obrzydliwie bogaty"* zostawia człowieka w niewyobrażalnym szoku. Wbija go w ziemię historia multimilionera, który przez dekady molestował nastolatki, o pochodzeniu jego majątku nikt nic nie potrafił powiedzieć, który oszukał grube ryby światowej finansjery, a potem wymykał się sprawiedliwości przez dekadę mimo 100-proc. dowodów świadczących o jego winie. Handel żywym towarem, zmuszanie do prostytucji, zastraszanie, przekupywanie ofiar i poczucie bezkarności. Pierwszy, trzynastomiesięczny wyrok – wynik katastrofalnej ugody, na którą poszedł prokurator mimo wagi zgromadzonych dowodów – Epstein spędził praktycznie na wolności. Do więzienia wracał na noc, mimo iż udowodniono mu, że molestował, gwałcił i zmuszał dzieci do prostytucji. Przez jego willę przewinęły się setki dziewczynek z biednych dzielnic, a także aspirujące modelki. Oprócz ofiar, policjantów i prawników w filmie występuje broniący tego pedofila i handlarza nieletnimi Alan Dershowitz. Postać chyba równie obrzydliwa jak sam jego klient. Oskarżony przez jedną z dziewczynek o molestowanie seksualne, występuje z groźbami wobec rozmawiających z nim dziennikarzy. W jego przypadku chyba nikt się nie spodziewa sprawiedliwości. Przyglądając się zaś całej tej historii, widząc, jak państwo amerykańskie jest bezbronne, gdy chodzi o „wielkich", jak długo trwała walka o aresztowanie człowieka, o którego winie nie sposób wątpić, jestem w tym przypadku zwolennikiem teorii spiskowej. Po niby samobójczej śmierci Epsteina opublikowano zdjęcia jego niby trupa i porównano z jego wcześniejszymi zdjęciami. Po śmierci twarz może się zmienić nie do poznania, inaczej może wyglądać nawet ludzki profil, ale nie kształt małżowin usznych! A na tych zrobionych ukradkiem zdjęciach i oficjalnych zdjęciach Epsteina widzimy małżowiny dwóch zupełnie innych ludzi.

POPKULTURA

Może być Film *„Napad"* rozpoczyna się niestety od topornej próby ocieplenia wizerunku majora peerelowskiej milicji. Jednak warto przewalczyć obrzydzenie. Fabuła luźno opiera się na historii brutalnego napadu na filię Kredyt Banku przy ul. Żelaznej w Warszawie w 2001 r., który skończył się czteroma ofiarami śmiertelnymi. Michał Gazda, przesuwając tę historię na połowę lat 90., opowiada ją zręcznie, świetnie oddano atmosferę tamtych lat, doskonałe role zagrali Olaf Lubaszenko, Jędrzej Hycnar i Magdalena Boczarska. Prący ku rozwiązaniu sprawy jak czołg stary ubek (Lubaszenko), przekonany o swej genialności szef bandy (Hycnara) oraz inteligentna i bezwzględna pani prokurator (Boczarska) rozgrywają brutalne szachy, w których moralność, dobro i zło nie znalazły miejsca na szachownicy.

POPKULTURA

Warte Jeszcze kilka słów o polskim serialu *„Krew z krwi"*, który odświeżyłem sobie również dlatego, że po 10 latach zaczęto kręcić jego trzeci sezon. Opowiedziana najpierw przez Xawerego Żuławskiego, a potem przez Jana Komasę historia mafijnej rodziny z Wybrzeża jest wiarygodna, obsada naprawdę doskonała, intryga ciekawie i sprawnie poprowadzona. Komplementowanie Agaty Kuleszy to trudna sztuka, bo wszystkie pochwalne epitety, achy i ochy już zostały wypowiedziane przy okazji właściwie każdego jej filmu. Mało dziś aktorów, którzy mogliby stanąć obok gwiazd starej szkoły. Tym bardziej – szacunek.

POPKULTURA

Może być *„Wojna i rewolta"* to koreański film akcji, którego fabuła rozgrywa się pod koniec XVI w. w czasie wojny wytoczonej koreańskiemu królestwu Joseon przez japońskie imperium. Mamy tu mnóstwo pojedynków, starć i bitew oraz postawione na ostrzu katany kwestie lojalności i sprawiedliwości. Niewolnictwo i braterstwo, korupcję i bunt. Głównym tematem jest zaś równość – powracająca dziś w realu kwestia nieprzekraczalnego podziału klasowego. Opowieść jest poprowadzona doskonale, aktorstwo zupełnie przyzwoite, choreografia walk świetna, a finałowa walka trzech głównych bohaterów spektakularna. Nie widziałem dotąd pojedynku trzech szermierzy, gdzie każdy walczy z każdym. To materiał na niezłą metaforę.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl c67ab20c39

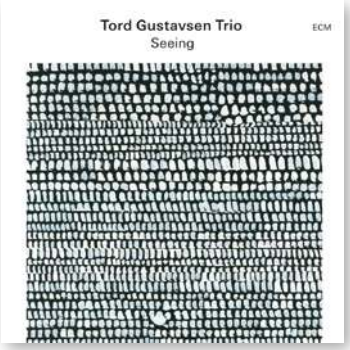

Ciche arcydziełko

To jeden z tych pianistów, którzy traktują pianistykę w sposób poetycki i gawędziarski. To gra pełna zdumiewającej czasem uczuciowości, niuansów, uwagi, a przez to bardzo medytacyjna. Płyta jest więc kwintesencją minimalistycznej estetyki, wzmocnionej dodatkowo świetną produkcją słynnego Manfreda Eichera. Tord Gustavsen wraz z wieloletnim współpracownikiem perkusistą Jarle Vespestadem oraz Steinarem Raknesem na kontrabasie uprawia swoje muzyczne poletko pomyślane jako mieszanka europejskiego jazzu nasączonego harmoniką gospel, a do tego skandynawskiego folku i muzyki kościelnej. Co na tej płycie czyni już od pierwszych minut z tradycyjnym norweskim hymnem religijnym „Jesus, gjør meg stille". Jego głęboka, religijna wrażliwość zawsze czaiła się tuż pod powierzchnią muzyki, a teraz ostatecznie zatriumfowała. Udanie brzmią nawet impresje dwóch znanych bachowskich kantat: „Christ lag in Todesbanden" i przede wszystkim „Auf meinen lieben Gott". To w końcu utwory zakorzenione w tradycji klasycznej, które jazzowa, europejska wrażliwość muzyków subtelnie przekształca, napełniając lirycznym frazowaniem, ciszą i groovem. Uczynienie czegoś takiego z muzyką barokową wymaga odwagi i wirtuozerii. Album zawiera również XIX-wieczny angielski chorał Lowella Masona „Nearer My God, to Thee". Mamy też kompozycje autorskie – wszystkie znakomite i całkowicie podporządkowane wspólnej, powściągliwej i organicznej wręcz grze pozbawionej solowych popisów. Po prostu mniej daje więcej. Na „Seattle Song" „The Old Church", tytułowym „Seeing" i chyba najciekawszym „Extended Circle" piętno odciska także wirtuozeria Vespestadema używającego nie tylko pałek, lecz także miotełek oraz filcowych młotków zagęszczających strukturę dźwięków. To muzyka dla zwolenników jazzu lirycznego i melodyjnego, a słuchając tak interpretowanych pieśni religijnych, na pewno poczujemy się nieco spokojniejsi na duchu. Bo czasem muzycy, a także twórcy filmowi czy pisarze usilnie próbują skłonić nas do tandetnego pesymizmu i wpychają w dół ciemnej strony życia. Norweski pianista, choć z północną duszą, sprawia jednak, że czujemy się zbudowani. Jak mawiał pisarz, nawet gdy ogarnia nas mrok nocy, kontemplujemy gwiazdy.

Tord Gustavsen Trio, „Seeing", ECM 2024

Maciej Walaszczyk

Reymont jako przewodnik po nowoczesności

Trwająca pod koniec XIX w. transformacja w kapitalizm przemieniła życie tysięcy Polaków. Nie posiadali oni jednak narzędzia w postaci państwa narodowego, które by wprzęgło jego dziką siłę do rywalizacji z innymi narodami, bo na ich los wpływały decyzje zapadające w Petersburgu i Berlinie. „Oto przesłanie reymontowskiej »Ziemi obiecanej«" – przekonywał Dariusz Gawin podczas ósmej już edycji Festiwalu Teologii Politycznej, która odbywa się w 100. rocznicę przyznania Władysławowi Reymontowi Literackiej Nagrody Nobla za „Chłopów". Z tej okazji odbyło się kilka ciekawych debat, w tym ta poświęcona Reymontowi reportażyście, którą zdominowało jednak współczesne odczytanie „Ziemi obiecanej".

Zdaniem Dariusza Karłowicza, jego zasługą jest uobywatelnienie ówczesnej rzeczywistości poprzez literaturę i wpisanie w odbywający się wówczas gigantyczny proces narodowotwórczy. W okowach carskiej cenzury i niemożliwości rozwoju publicystyki politycznej to literaturze przypadło wyrażanie idei i filozofowanie o polityce. „Ziemia obiecana" nie jest jednak lewicowym moralitetem o dramatycznych owocach kapitalizu, ale wpisuje się w rozumienie polityki jako gry w nowoczesność, która legła u narodzin nowoczesnego nacjonalizmu. To w recenzji opublikowanej na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego" przyjaźniący się pisarzem Roman Dmowski objaśnił jej przesłanie. Powieść bowiem tłumaczy, w jaki sposób Polacy powinni zachować się wobec sił generowanych przez kapitalizm, które mogą ich zmiażdżyć, ale które mogą też ujarzmić. Pytaniem nie było, czy chcemy nowoczesności, ale komu ma ona służyć. Eksplozja nowoczesności, jaka miała wówczas miejsce w Łodzi, nie zakotwiczała się bowiem w państwie, ale wyładowywała w próżni. Bo jedynie w nim można budować własny przemysł, mieszczaństwo, handel i parlamentaryzm. Odpowiedź podpowiada też galeria typów psychologicznych, wśród których to nie Borowiecki, ale Wilczek jest postacią pozytywną. Zdaniem Karłowicza, by zrozumieć i docenić realizm Reymonta, musimy również zdać sobie sprawę, jak wyglądałaby dziś polskość i nasza tożsamość, gdyby to krytycznie opętani artyści w rodzaju Wojciecha Smarzowskiego, którzy tworzyli zbiorową wyobraźnię na temat III RP, zabrali się za opowiadanie ówczesnych realiów. Pamiętając, że po 1989 r. przekonywano, że to polskość stoi na przeszkodzie do odrobienia zaległości.

eprasa.pl c67ab20c39

Pan Poeta

Uroczy, inteligentny, czasem niemal święty Herbert został kapitalnie oświetlony w biograficznym reportażu Joanny Siedleckiej jako człowiek. Ale zawsze poeta europejskiej cywilizacji

Wznowienie znakomitej, reporterskiej biografii Zbigniewa Herberta na stulecie jego urodzin, poszerzone o sześć rozdziałów, m.in. dotyczących jego żony Katarzyny, okresu sopockiego czy konsekwencji głośnego wywiadu, którego udzielił prof. Jackowi Trznadlowi na użytek „Hańby domowej". Warto przeczytać tę książkę, by dotrzeć do jej ostatnich rozdziałów i zrozumieć, o co toczy się gra w zmaganiach o pamięć o Herbercie. Kto ją prowadzi i jakimi metodami. Na okoliczność tego jubileuszu mamy przecież niewiele wznowień jego poezji, więc tym lepiej, że autorka przypomina o tej biografii.

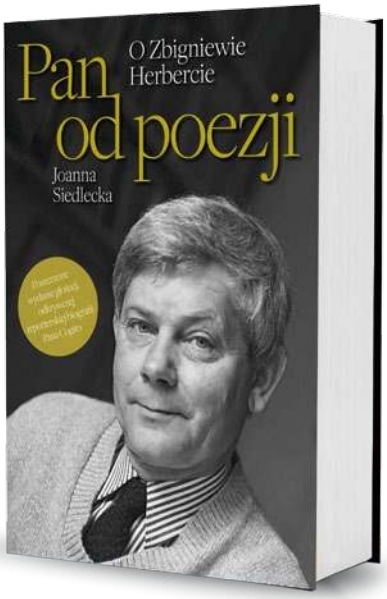

Zawiera ona m.in. pełne intymności i jakiejś tragiczności wejrzenie w zakamarki odwzajemnionej miłości Herberta do Haliny Musiałek. Kobiety zamężnej i dziesięć lat starszej, która, jak sama przyznawała, zniszczyła życie swoje i męża właśnie dla niego. Która, decydując się na wydanie napisanych dla niej erotyków, naruszyła monopol późniejszej wdowy na status najważniejszej kobiety w jego życiu. A jak się okazuje, to właśnie ona poznała się na nim najwcześniej, także na jego talencie. Jego zwolenniczkami, często zaprzysięgłymi, były zresztą kobiety, redaktorki z wydawnictw, a nawet siostry zakonne z Lasek.

Kochał Polskę i nie znosił komunizmu, choć cenił rosyjską poezję czy francuskich symbolistów. Pozostał tylko lekko batiarski i lwowski, trochę dekadent tęskniący za losem bohatera, zawsze niezależny, inteligentnie szyderczy, przekonany o tym, że „katolicki może być ksiądz, ale nie poeta". W stalinowskiej Warszawie świadomie stawiający opór „zaszaffionej filozofii i pseudowielkomiejskiej tandecie", a potem salonom. Choć był też autorem pewnej mitologii, którą z wdziękiem roztaczał wokół siebie. Krótsza noga, na którą kulał przez całe życie, to skutek wypadku na nartach jeszcze we Lwowie i źle poskładanej kości. To wyłączyło go z działalności w konspiracji, stając się potem pretekstem do heroizacji życiorysu i zmyślonego zaangażowania w AK. Choć jak wskazuje Siedlecka, przyczynił się do tego też Tyrmand, umieszczając *passus* o „pierwszym świętym stalinizmu" w swoim „Dzienniku 1954".

Ktoś więc musiał pieczołowicie, ale z wdziękiem odsłonić pokrywany patyną obraz poety. Biografka przeprowadza nas więc nie tylko po zakamarkach PRL-owskiej rzeczywistości, lecz także powraca do Los Angeles, Paryża, Italii, gdzie Herbert bywał. Z wielu różnych stron jest opisany jego konflikt z Czesławem Miłoszem, a także kulisy inwigilacji przez SB. Sporo dowiadujemy się też o dzieciństwie i młodości. Okazuje się, że początkowo zupełnie niepozorny, nieliczący się w towarzyskich hierarchiach i niebędący prymusem Zbysio na studiach ekonomicznych w Krakowie zdobył opinię niezwykle inteligentnego, jadowicie dowcipnego i zaczytanego. Przekonanego o tym, że studia literackie zabijają miłość do literatury, ale już prawo wprowadza w porządek rzymskiego ładu i kultury łacińskiej, a ekonomia w świat rzeczowości i konkretu, który, jak wskazuje autorka, widać w jego wierszach. Miał jeszcze okazję chodzić na wykłady Adama Krzyżanowskiego, Romana Ingardena, Wincentego Lutosławskiego czy Stanisława Pigonia, zanim zostali usunięci z katedr przez komunistyczne władze.

Przełomowe okazały się jednak przenosiny do Torunia, gdzie poznał prof. Henryka Elzenberga, filozofa oraz zaciekłego przeciwnika relatywizmu i utylitaryzmu. Uważającego, że sens życiu nadaje dopiero świadome przeciwstawianie się brzydocie, złu, tchórzostwu i konformizmowi, co potem mocno rezonowało w jego programie poetyckim. „Kwestię smaku" dedykował np. Izydorze Dąmbskiej, asystentce prof. Tatarkiewicza, którą marksistowscy hunwejbini usunęli w czasie przeprowadzonych przez siebie czystek. Znów inny swojemu lekarzowi psychiatrze, gdyż latami męczyła go depresja. Zwyczajna cywilizacyjna przypadłość, którą środowisko Michnika brutalnie wykorzystywało przeciw niemu po śmierci. Jak dodawał Marek Nowakowski, do tego „uszyto mu surdut pijaka". Choć Herbert nie lubił zadęcia, patosu i egzaltacji, dopiero w latach 80. narodził się poświęcony mu „przemysł hagiograficzny". Jak dobrze więc, że „Pan od poezji" jest wolną od tych obciążeń biografią człowieka poety.

Joanna Siedlecka, „Pan od poezji. O Zbigniewie Herbercie", Fronda 2024

eprasa.pl c67ab20c39

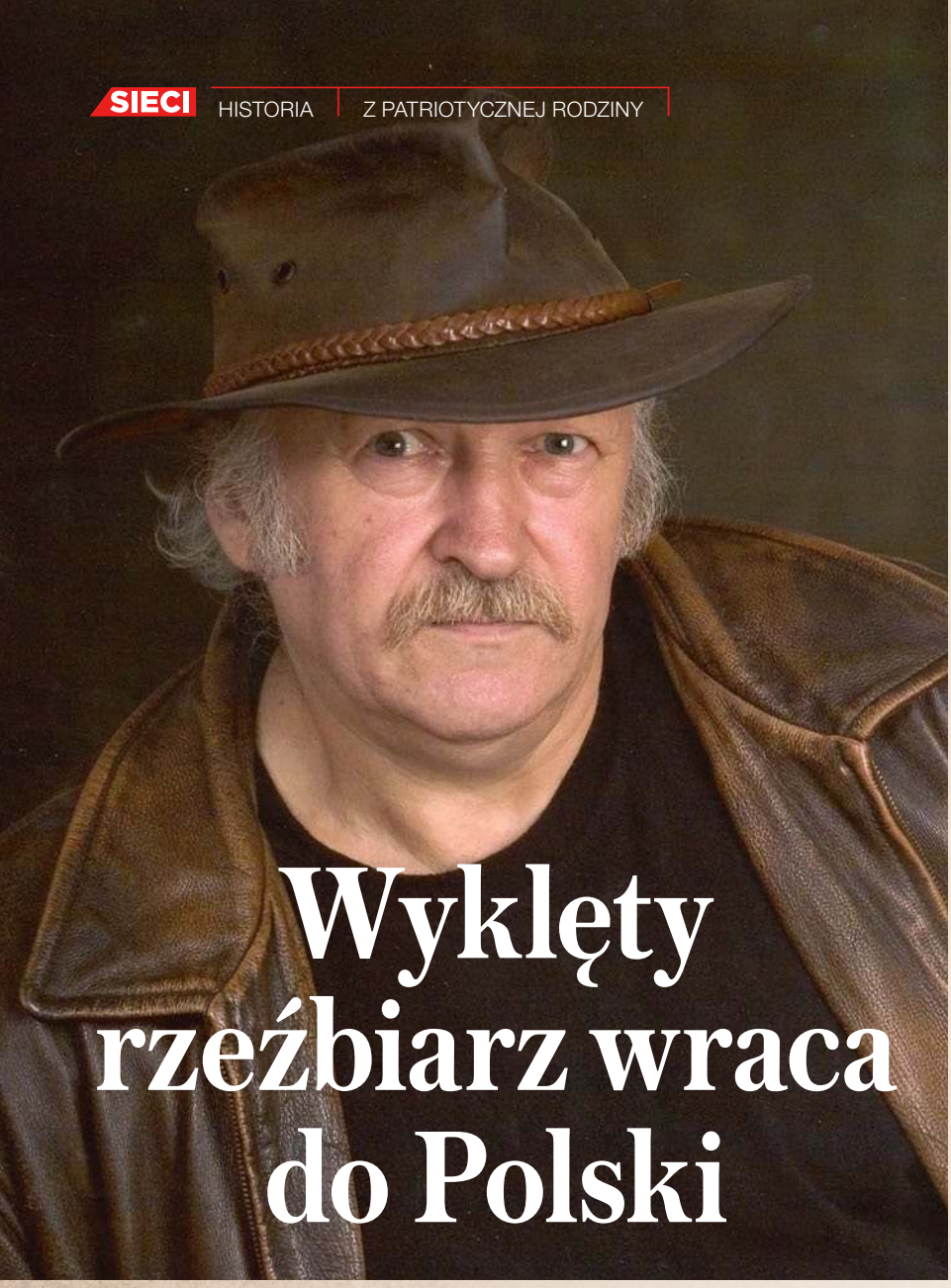

Wyklęty rzeźbiarz wraca do Polski

Cztery lata po śmierci do Polski wracają prochy wybitnego rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego. Jego życie od najmłodszych lat naznaczone było walką o niepodległość ojczyzny i cierpieniem. Był postacią bezkompromisową, co udało mu się udowodnić nawet po śmierci

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Rodzina Pityńskich pochodzi z Ulanowa. Ojciec Aleksander po ukończeniu siedmioklasowej szkoły podstawowej jako młody chłopak uczył się zawodu flisaka pod okiem swojego ojca Andrzeja Marcina Pityńskiego, który był retmanem, czyli szefem spławu drewna tratwami na Sanie i Wiśle od Karpat do Gdańska.

OJCIEC PARTYZANT, MATKA SANITARIUSZKA

Po wybuchu II wojny światowej w pierwszych dniach kampanii wrześniowej 1939 r. jedna z bomb zrzucanych przez Luftwaffe trafiła w dom Pityńskich, wskutek czego zginęła szesnastoletnia siostra Aleksandra Pityńskiego – Józefa, a dwie pozostałe Danuta i Teresa zostały ranne. W wieku 16 lat Aleksander uciekł z domu i wstąpił do oddziału partyzanckiego NOW-AK dowodzonego przez Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana". Wówczas ukończył tajną szkołę podchorążych i przybrał pseudonim „Kula". Brał udział w wielu walkach z Wehrmachtem, SS, Kałmukami i Ukraińcami wspierającymi Niemców. Walczył m.in. pod Groblami, Biłgorajem, Dąbrowicą, Hutą Deręgowską i Zdziarami.

Pozostał w oddziale nawet po jego częściowym rozbiciu przez Niemców 27 grudnia 1943 r. pod Grabą. Brał udział w największej bitwie partyzanckiej na ziemiach polskich, kiedy 14 czerwca 1944 r. połączone siły AK, NOW, NSZ, BCh, AL i sowieckiej partyzantki w sile 3 tys. ludzi zostały otoczone przez 30 tys. Niemców na Porytowym Wzgórzu. Poległo wówczas ok. 1 tys. partyzantów.

Po nadejściu frontu wschodniego Aleksander Pityński powrócił do Ulanowa, gdzie w lipcu 1944 r. dotarła Armia Czerwona. 14 listopada 1944 r. NKWD otoczyło miasto. Sowieci wchodzili do każdego domu i aresztowali wszystkich podejrzanego o działalność w AK. Pityński także został zatrzymany, a następnie wytypowany do zsyłki na Sybir. Udało mu się jednak uciec z posterunku w Ulanowie, wyskakując przez okno. Przez kilka dni ukrywał się na strychu w kościele. Następnie przeprawił się przez San i dołączył do oddziału NOW dowodzonego przez Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka". Wkrótce wziął udział w jednej z największych bitew powojennego podziemia niepodległościowego z Sowietami – 7 maja 1945 r. pod Kuryłówką. Walka zakończyła się rozbiciem kolumny oddziałów NKWD i śmiercią 57 enkawudzistów.

W trakcie bitwy Aleksander Pityński dowodził drużyną i został ranny.

Fot. IPN

eprasa.pl c67ab20c39

Razem z nim z pola walki na furmance wywożona była sanitariuszka Stefania Krupa „Perełka". Tak zaczęła się ich partyzancka miłość. Para wzięła ślub 20 stycznia 1946 r. w kościele w Tarnawcu niedaleko Kuryłówki. Po wyzdrowieniu Aleksander Pityński wrócił do oddziału „Wołyniaka". Walczył z polskimi komunistami, Sowietami i Ukraińcami spod znaku UPA. W nocy z 28 na 29 grudnia 1946 r., po samobójstwie Józefa Zadzierskiego, postanowił opuścić oddział ze swoją ciężarną żoną. Wrócili do Ulanowa, gdzie ukrywali się u rodziny i znajomych. W takich okolicznościach 15 marca 1947 r. urodził się ich syn – Andrzej Pityński.

UJAWNIONY „BANDYTA"

22 lutego 1947 r. komuniści ogłosili amnestię. W związku z narodzinami syna Aleksander Pityński postanowił zaryzykować i w kwietniu ujawnił się. Już tydzień później na jarmarku w Ulanowie został napadnięty przez funkcjonariusza UB, któremu wyrwał pistolet i ostrzeliwując się, uciekł z miejsca zdarzenia. Nakłoniony przez Franciszka Nachajskiego, spokrewnionego z nim burmistrza Ulanowa, oddał się do dyspozycji bezpieki i stawił na lokalnym posterunku. Natychmiast został przewieziony do więzienia UB w Nisku. Przez sześć miesięcy był poddawany brutalnym przesłuchaniom i torturom. Następnie został przetransportowany na zamek w Rzeszowie, gdzie katusze trwały kolejne cztery miesiące.

W lesie cały czas ukrywał się najstarszy brat matki Andrzeja Pityńskiego Michał Krupa „Pułkownik", „Wierzba". W czasie wojny razem z Aleksandrem Pityńskim był żołnierzem NOW-AK w oddziale „Ojca Jana". W 1943 r. przeniósł się do nowo powstałej jednostki „Wołyniaka". Walczył w niej do śmierci dowódcy, którego zwłoki potajemnie pochował na cmentarzu w Tarnawcu obok grobu swojego ojca. Następnie kontynuował walkę, tym razem pod komendą Adama Kusza „Garbatego". Oddział został otoczony i rozbity 15 sierpnia 1950 r. koło Gerlachów. Jednym z trzech partyzantów, którzy przebili się przez trzy pierścienie obławy był Michał Krupa. Od tego momentu faktycznie działał samodzielnie, ukrywając się w bunkrach i stodołach, korzystając z pomocy najbardziej zaufanych ludzi.

Po odzyskaniu wolności Aleksander Pityński mimo niebezpieczeństwa wspierał ukrywających się partyzantów, w tym przede wszystkim Michała Krupę. Najistotniejsze było dostarczanie prowiantu, środków higienicznych i informacji o wydarzeniach w okolicy. Już tylko z powodu pokrewieństwa z „Pułkownikiem" rodzina była narażona na prześladowania. Pityńskich cały czas nękano najściami, rewizjami, przesłuchaniami czy nawet pobiciami ze strony funkcjonariuszy komunistycznego reżimu.

KREW BRYZGAŁA WSZĘDZIE

W rozmowie z Kajetanem Rajskim (opublikowanej w książce pt. „Wilczęta. Rozmowy z dziećmi Żołnierzy Wyklętych") Andrzej Pityński wspominał: „Będąc dzieckiem »bandytów«, przechodziłem wraz z nimi gehennę tych, którzy walczyli z czerwoną zarazą. [...] Rewizje były częste i brutalne, zawsze nad ranem, o trzeciej lub czwartej godzinie. Wyważali drzwi kolbami, cały dom obstawiony, milicja w hełmach z pepeszami, dwóch ubeków trzymało nas pod bronią, kilku ormowców i milicjantów buszowało po szafach, kredensie, w piwnicy i na stryszku. Rwali podłogi, nawet piec kaflowy rozbili szukając w nim »Pułkownika«. Jedna zimowa noc tuż przed Bożym Narodzeniem utkwiła mi na zawsze w pamięci. O czwartej rano rozbili kolbami pepesz drzwi do domu, wywlekli nas w piżamach na zaśnieżone podwórko. Stałem z dziadziem boso w śniegu, księżyc był w pełni, świecił jasno i widno było jak w dzień. Wtedy zobaczyłem mojego ojca, tylko w białych kalesonach, ze skutymi rękami do tyłu, z zaciśniętymi pięściami, bitego przez sześciu ubeckich zbirów pałkami i kolbami pepesz po głowie, po plecach, po nogach. Krew bryzgała na wszystkie strony, białe kalesony były już czerwone [...] Potem wrzucili sponiewieranego tatę do milicyjnej suki i znowu go długo nie widziałem".

W tym czasie Michał Krupa nadal się ukrywał. Został odnaleziony i aresztowany przez komunistów dopiero 11 lutego 1959 r. w wyniku obławy we wsi Kulno. Skazany początkowo na dożywocie, wyrok odsiadywał w Strzelcach Opolskich. Po wyjściu na wolność w 1965 r. zamieszkał z Pityńskimi w Ulanowie.

Mimo trudnych warunków rodzina starała się normalnie funkcjonować. Andrzejowi udało się ukończyć szkołę podstawową, a następnie liceum ogólnokształcące w Ulanowie i w 1964 r. zdać maturę. Złożył papiery do szkoły oficerskiej marynarki wojennej, które zostały odrzucone ze względu na podziemną przeszłość rodziców. Wobec tego uczył się w Technikum Wodno-Melioracyjnym w Trzciance koło Rzeszowa. Po dwóch latach dostał dyplom technika melioratora. Następnie wrócił do Ulanowa i zaczął pracę jako starszy pomiarowy w geodezji. Zajmował się robieniem map powiatu niżańskiego. Wtedy komunistyczna bezpieka zorganizowała prowokację wobec jego rodziny.

„POLSKĘ MASZ W SERCU"

W grudniu 1967 r. czterech ormowców napadło na Aleksandra Pityńskiego pod miejscową gospodą. Kiedy Andrzej ruszył na pomoc ojcu, do bójki dołączyło dwóch milicjantów z psem. Już miesiąc później w Ulanowie został zorganizowany pokazowy proces, jedyny w historii tej miejscowości.

Po tym wydarzeniu Andrzej Pityński postanowił opuścić rodzinne strony. Wyjechał do Krakowa, gdzie rozpoczął naukę w Studium Nauczycielskim. Po roku zdał egzaminy wstępne na Akademię Sztuk Pięknych na wydziale rzeźby. Studiował pod okiem profesorów Mariana Koniecznego i Jerzego Bandury. Jako student wykonał popiersie Ignacego Jana Paderewskiego, które ustawiono przed Collegium Paderevianum w Krakowie. Wiedział jednak, że jeśli zostanie w Polsce, będzie musiał pracować pod dyktando komunistów. Od swojej matki miał usłyszeć: „Jedź stąd synu, Polskę masz w sercu i za Polską idziesz, ale tak, jak nas niszczą, tak i ciebie zniszczą, jedź i nie wracaj". 3 października 1974 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Komuniści nie zapominali o jego rodzinie. W czasie stanu wojennego jego ojciec Aleksander był internowany w Załężu pod Rzeszowem.

W Stanach Andrzej Pityński utrzymywał się początkowo z pracy fizycznej

eprasa.pl c67ab20c39

na budowach, równocześnie studiując na wydziale rzeźby w Arts Students League w Nowym Jorku. Niedługo potem został rzeźbiarzem światowej sławy. W 1979 r. wykonał rzeźbę „Partyzanci I" upamiętniającą żołnierzy polskiego podziemia. Inspiracją dla pomnika było wspomnienie spotkania z Michałem Krupą i dwójką partyzantów w 1958 r., a jedną z pięciu postaci uwiecznionych na nim został jego ojciec Aleksander. Monument odsłonięto w 1983 r. w Bostonie, a dzień tego wydarzenia został nazwany przez władze miasta Dniem Partyzantów. Jest to pierwszy na świecie pomnik żołnierzy wyklętych. Kolejna rzeźba autorstwa Pityńskiego „Partyzanci" stanęła w Hamilton.

MIĘDZY USA A POLSKĄ

Andrzej Pityński był członkiem National Sculpture Society i profesorem rzeźby w Johnson Atelier Technical Institute of Sculpture w Mercerville. W 1987 r. otrzymał obywatelstwo USA. Do Polski przyjechał po 15 latach, w 1989 r. Ufundował i bez zgody komunistycznych władz postawił na rynku w Ulanowie popiersie Jana Pawła II. Od tego czasu tworzył zarówno w Polsce, jak i w USA. Jest autorem sławnego pomnika katyńskiego w Jersey City odsłoniętego w 1991 r., upamiętniającego ofiary zbrodni NKWD z 1940 r.

14 sierpnia 1998 r., w przeddzień święta Wojska Polskiego i rocznicy Bitwy Warszawskiej, w Warszawie został odsłonięty i poświęcony zaprojektowany przez Pityńskiego pomnik Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej. W 2011 r. w Stalowej Woli stanął, także zaprojektowany przez Pityńskiego, pomnik Patriota. Jego ostatnim dziełem był pomnik Żołnierzy Wyklętych w Jaśle, a jego odsłonięcie miało miejsce w 2019 r. 11 listopada 2017 r. Andrzej Pityński otrzymał z rąk prezydenta RP Andrzeja Dudy Order Orła Białego. Ponadto w 2020 r. został uhonorowany Nagrodą „Kustosz Pamięci Narodowej".

DWA POGRZEBY

Po długiej i ciężkiej chorobie Andrzej Pityński zmarł 18 września 2020 r. Miał 73 lata. Został pochowany Mount Holly w USA. Teraz, po ponad czterech latach, spocznie w swoim rodzinnym Ulanowie. Dlaczego tak późno? W 2017 r. na zamówienie Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce Pityński zaprojektował pomnik Rzeź Wołyńska poświęcony ofiarom mordu UPA. W środku monumentu w kształcie orła znalazł się wycięty krzyż, a w nim trójząb, na który nabite jest ciało dziecka. Pomnik przez część opinii publicznej został uznany za zbyt drastyczny, dlatego samorządy zaczęły obawiać się postawienia kontrowersyjnego dla nich monumentu. Początkowo pomnik miał stanąć w Jeleniej Górze, później w Toruniu, Rzeszowie i Węgorzynie w zachodniopomorskim. Ostatecznie zdecydował się na to Zbigniew Walczak, wójt gminy Jarocin na Podkarpaciu. W 2018 r. spotkał się on z Pityńskim w jego rodzinnym domu w Ulanowie i przedstawił koncepcję ustawienia pomnika w Domostawie.

Dla słynnego rzeźbiarza sprawa była do tego stopnia ważna, że od jej efektu uzależniał swój pochówek w Polsce. „Chcę być pochowany w Ulanowie, w rodzinnym grobowcu obok brata Januszka, ale tylko wtedy, gdy Rzeź Wołyńska stanie pod polskim niebem". Ostatecznie mimo protestów strony ukraińskiej, pomnik został odsłonięty 14 lipca 2024 r. przy drodze ekspresowej S19 w Domostawie. Dopiero potem światowej sławy mistrz mógł w końcu wrócić do ojczyzny. Jego pogrzeb odbył się 26 października 2024 r.

Fot. ARK NEYMAN/Shutterstock.com

eprasa.pl c67ab20c39

Nie czas umierać, 007

Niegdyś miasto jaskiń, biedy i wstydu, a dziś pełne dumy ze swej historii i niezwykłej popularności. Wszystko dzięki hitowym filmowym produkcjom. Mel Gibson przywiózł tu Chrystusa, a Daniel Craig Jamesa Bonda. I tak Matera stała się „najbardziej przyjaznym miastem na świecie" i chlubą Włoch

PIOTR OSTROWSKI

Jest wczesny poranek, a promienie słoneczne już wdzierają się w każdy zakamarek starówki i zwiastują upalny dzień. Otwieram okiennice piekarni i wychodzę z filiżanką kawy na kamienny taras. Nade mną latają sokoły wędrowne, które od świtu polują na gołębie. W powietrzu unosi się zapach świeżego pieczywa, wanilii i cynamonu. Aromaty nie dochodzą z naszej forno, choć mury Due Forni, dawnej piekarni, w której śpimy, nadal pachną mąką i chlebem. Dostawca właśnie przywiózł rogaliki i bułki do sąsiedniego bistro Bella Matera, gdzie zaraz zjemy włoskie słodkie śniadanie.

Niedawno gościł tu najsłynniejszy agent Jej Królewskiej Mości – James Bond. Wraz z nim do Matery przybył tłum filmowców, techników, kaskaderów oraz dziennikarzy i gapiów. To właśnie tu, gdzie siedzimy, kręcono „Nie czas umierać", najnowszą jak dotąd część opowieści o słynnym 007, w którego po raz piąty i ostatni wcielił się Daniel Craig. Był to najdroższy Bond w historii tej serii, kosztował 250 mln dol.

W Sassi di Matera, najstarszej dzielnicy kamiennego miasta, nakręcono początkowe sceny filmu, w tym tę słynną z pościgiem. Bond, oczywiście w rajdowym stylu, pruł wąskimi uliczkami za kierownicą astona martina, uciekając przed goniącymi go autami i motocyklami. Była też strzelanina, więc zabytki trzeba było pokryć imitacjami rzeczywistych fasad.

– Autem kierowali kaskaderzy, kamera była zamocowana na dachu samochodu, a Bond tylko udawał, że prowadzi – mówi Matilda, barmanka i mieszkanka Matery. – Widziałam wszystko na własne oczy! – zapewnia. – Podobno całe miasteczko zagrało w filmie o Bondzie? – Byliśmy statystami i graliśmy samych siebie, czyli mieszkańców, ale nie zapłacili nam za grę, bo powiedzieli, że i tak będziemy sławni – śmieje się nasza nowa znajoma.

W sąsiedniej knajpce Oi MarÌ filmowcy zajadali się miejscowymi przysmakami.

– Codziennie zamawiali pizzę neapolitana! Tak im smakowała, że nie nadążaliśmy z wypiekiem – opowiada Maria z pizzerii. – Nagle miasto stało się jednym wielkim planem filmowym, wszędzie aktorzy, obsługa techniczna, paparazzi, a nad głowami helikoptery. Działo się. A teraz wszyscy, jak wy, dopytują, jak to wszystko wyglądało.

Przy okazji dowiedzieliśmy się, że do wszystkich ujęć wykorzystano aż osiem aut tego samego modelu astona martina, z czego tylko jeden był oryginalny. Pozostałe to repliki, które miały prawo ulec wypadkom i zniszczeniom. Co ciekawe, aż 90 proc. scen zrealizowano naprawdę, bez komputerowych sztuczek.

Ekipa filmowa liczyła 200 osób, a w nagraniach wzięli udział także zwykli mieszkańcy Matery. Miasto

eprasa.pl c67ab20c39

zarobiło na tym wydarzeniu co najmniej 12 mln euro. Film o Bondzie przyniósł 775 mln dol. i zgarnął 12 światowych nagród. Wszakże opowieść Iana Fleminga o brytyjskim agencie z 1953 r. to dziś kanon literatury światowej i klasyka kina. Film musiał osiągnąć sukces. Tak więc Matera wygrała los na loterii, a turyści przybywają tłumnie, by zrobić zdjęcie w miejscu, w którym walczył, jadł, pił i całował James Bond.

– Jest tu co zobaczyć, nie tylko z powodu 007, bo to jedno z najstarszych miast na świecie. Ma 2 tys. lat, ale pierwsze ślady osadnictwa pochodzą sprzed 12 tys. lat. Jeszcze w połowie XX w. grupa ludzi mieszkała w jaskiniach, z czasem zabudowując ich fronty. Tak powstały dzielnice Sasso Caveoso i Sasso Barisano. Część takich „domów" mieszkańcy okolicy po prostu sami wykuli w miękkich skałach – wyjaśnia Alessandro Chiefa, nasz gospodarz i właściciel kilku mieszkań na starówce.

W jaskiniach wąwozu Gravina u podnóża miasta ludzie żyli bez bieżącej wody i toalet, a śmiertelność dzieci z powodu chorób i niedożywienia była największa w powojennych Włoszech. Do tego brak stałej pracy, analfabetyzm i strukturalna bieda. W pewnym momencie „dzikusów" z Basilicaty wskazywał palcem cały świat. Z powodu jaskiniowych osiedli Materę nazywano miastem hańby i wstydu.

– Bogaty i rozwinięty kraj z dwutysięczną historią i nowoczesnymi technologiami dopuścił, aby jego mieszkańcy żyli w tak prymitywnych warunkach. W jednym miejscu, choćby w Wenecji, celebryci spotykali się na festiwalu filmowym, a w drugim dokumentaliści nagrywali ludzi żyjących w tym samym czasie w jaskiniach, często razem z hodowlanymi zwierzętami. To wstydliwa historia – mówi Ewa, Polka, która od 40 lat mieszka we Włoszech.

Dopiero w 1954 r. samorząd przy wsparciu rządu zdecydował wreszcie o budowie osiedli z mieszkaniami socjalnymi dla „jaskiniowców". W latach 80. starówka przeszła rewitalizację, a do miasta zaczęli przyjeżdżać turyści i artyści. W 2022 r. Treveller Review Award umieścił Materę na pierwszym miejscu na liście najbardziej przyjaznych miast na świecie. Ten prestiżowy ranking powstaje co roku na podstawie opinii turystów korzystających z portalu Booking.com.

PASJA, BOND, BEN-HUR I WONDER WOMAN

Dziś w nędznym niegdyś Sassi di Matera James Bond pije wstrząśnięte, nie zmieszane vesper martini, czyli słynny filmowy drink z angielskiego ginu, polskiej wódki i francuskiego likieru lillet blanc lub wermutu martini. Ciekawostką jest fakt, że ów napitek został wymyślony przez autora powieści o agencie 007 i nazwany na cześć Vesper, fikcyjnej ukochanej fikcyjnego Bonda.

Dziś przednie trunki i świetną kuchnię serwują tu niezliczone restauracje, tawerny i bary. Są też luksusowe butikowe hotele. Gwiazdy zazwyczaj wybierają Palazzo Gattini. Tutaj spali twórcy „Nie czas umierać": Daniel Craig, Léa Seydoux i reżyser Cary Fukunaga. Cena noclegu wynosi, i to po sezonie – 3,5 tys. zł. My śpimy w starej piekarni za 450 zł za noc, zaledwie 33 m poniżej pokoju słynnego 007. Gdy mówię żonie, że prawie za ścianą jest hotelowy apartament Bonda, odruchowo poprawia włosy i zagląda w lusterko, czy aby makijaż jest w porządku. – Tak blisko? – pyta niby zaskoczona.

Teraz starówkę Matery odwiedzają goście z całego świata, a o noclegi czasem jest bardzo trudno. To przecież ulubione miejsce filmowców, którzy zrealizowali w tym mieście ponad 100 produkcji. Wśród nich są wielkie filmy hollywoodzkie. Mel Gibson nakręcił tu słynną „Pasję", opowieść o ostatnich 12 godzinach życia Jezusa Chrystusa. Sceny nagrywano w jaskiniach, a starówka zagrała rolę starożytnej Jerozolimy. W Materze powstał film „Ben-Hur" i inne przeboje kinowe, jak: „Wonder Woman", „Maria Magdalena", „Włoski wyścig", „Król Dawid" czy „Twórca gwiazd". Ostatnio największy rozgłos Materze przyniósł oczywiście hit z 2021 r. „No Time to Die".

Niezwykła architektura i krajobraz są magnesem dla reżyserów, scenografów i producentów. A urodziwa jest nie tylko zabytkowa Matera, lecz także cała Basilicata – region, którego stolicą jest Potenza. Ta niewielka kraina graniczy z Apulią, Kalabrią i Kampanią, sięga do Morza Tyrreńskiego oraz Jońskiego, a jej południowe wybrzeże jest zwane podeszwą włoskiego buta.

– Stara Matera, czyli Sassi, w 1993 r. trafiła na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Od tego czasu miasto bardzo się rozwinęło, powstało nowe centrum, pojawiły się inwestycje, np. powstała tu siedziba Włoskiej Agencji Kosmicznej. Z jaskiń wyruszyliśmy prosto w kosmos – śmieje się nasz gospodarz Alessandro.

Warto zwiedzić Casa Grotta, czyli jeden ze skalnych domów. Dopiero wewnątrz widać, jak trudne było tutejsze życie. W jaskini składającej się z kilku pomniejszych grot żyła czasem kilkupokoleniowa rodzina, dzieląc tę przestrzeń z kozami i owcami. I to zaledwie 60 lat temu.

WINO, SER I PEPERONCINO

Region Basilicata liczy ok. 600 tys. mieszkańców. Żyją głównie z rolnictwa, czyli produkcji wina i oliwy, oraz z hodowli krów, bawolic, kóz i owiec.

Fot. Archiwum prywatne autora

eprasa.pl c67ab20c39

Winiarze uprawiają szczepy czerwone: aglianico, primitivo i cabernet sauvignon oraz białe: chardonnay, greco bianco i moscato. Z bawolego mleka powstaje słynny ser provolone, który wygląda jak mała dynia, a jego smak przypomina caciocavallo. Na stołach króluje oczywiście makaron, często w zielonym sosie ze szpinaku z dodatkiem mięty. Region słynie też z ostrych papryczek peperoncino. Uprawia się tu wiele owoców: figi, morele, a nawet kiwi i pomarańcze. Znane są tutejsze truskawki odmiany candonga – to te o wydłużonym stożkowym kształcie, które trafiają do nas zimą.

Włosi z Basilicaty lubią mięso owiec – grillowane, smażone, gotowane. Carne di pecora to ulubione kotlety z kością grillowane w ziołach – kosztowne, ale pyszne. Agnello alla pecorara to pieczona jagnięcina podawana z ziemniakami, a pignata di pecora to popularne ragu z jagnięciny, czyli mielone lub szarpane mięso duszone z warzywami z dodatkiem wina i pomidorowej passaty. Próbowałem zamówić to danie, choć nie znalazłem go w menu. Nie dogadaliśmy się z kelnerem w La Pico w żadnym języku i przyniósł mi jagnięcinę gotowaną w warzywach. A może po prostu chciał mi opchnąć to danie? Wyglądało niezbyt atrakcyjnie, ale owcze mięso było aromatycznie przyprawione i smaczne. Nawet szwędający się po starówce miejscowy pies potwierdził, że dobrze tu gotują, cierpliwie czekając przy naszym stoliku na kości z obiadu. Schłodzony wytrawny aglianico del vulture okazał się dopełnieniem kulinarnego szczęścia.

KAROL WOJTYŁA I KRÓLOWA BONA

Najtaniej i najszybciej dotrzemy do Matery, lecąc do Bari w sąsiedniej Apulii. Wylądujemy na lotnisku im. Karola Wojtyły. Stąd mamy tylko 60 km do magicznego miasta, a w porcie lotniczym bez problemu wynajmiemy auto. Do Matery dojedziemy również autobusem, a podróż trwa trochę ponad godzinę. Jest też połączenie kolejowe, ale kursuje tam tylko jeden pociąg dziennie.

W czasie wyprawy można wygospodarować kilka godzin na zwiedzenie Bari. W tym mieście jest pochowana włoska królowa Polski Bona Sforza. Warto pamiętać, że była ona żoną króla Zygmunta Starego i matką Zygmunta Augusta oraz Anny Jagiellonki, czyli ostatnich Jagiellonów. Współrządziła Polską w jej najwspanialszych czasach. Krzewiła naukę, kulturę humanistyczną i włoską sztukę oraz architekturę. Na Wawelu wprowadziła włoską kuchnię, a nawet posadziła winnicę. Po powrocie do Włoch została otruta na zlecenie Habsburgów, którzy byli jej dłużnikami i nie chcieli jej oddać pieniędzy. Pomnik i nagrobek Bony w romańskiej bazylice św. Mikołaja w Bari ufundowała jej córka Anna.

Interesująca jest średniowieczna starówka Bari oraz nadmorski deptak, więc jeśli przed odlotem mamy czas, warto tam zajrzeć.

ŚLADAMI BONDA Z PRZEWODNIKIEM

My większość czasu spędziliśmy w samej Materze, napawając się jej pięknem i kulinarną ofertą. Stare miasto ma tak gęstą zabudowę, że można się tu zgubić, a podczas każdej wędrówki odkrywamy coś nowego. Wspinając się wąskimi kamiennymi uliczkami na Piazza Duomo, spotykamy turystów, którzy wzdychają z zachwytu nad spektakularnym widokiem na miasto. Kolejni spacerowicze pokazują sobie w telefonach zdjęcia Daniela Craiga, który na potrzeby promocji filmu miał sesję fotograficzną na starówce. Wszyscy chcą mieć zdjęcie z miejsca, w którym prężył się agent 007 z pistoletem walther w dłoni.

Szlakiem Bonda można zwiedzać Materę z przewodnikiem – za „jedyne" 65 euro. Łatwo jednak samodzielnie wyszukać filmowe ciekawostki w sieci. W jednym zakątku fotografowała się Sophia Loren, a tuż obok Omar Sharif. A Mel Gibson lubił pić wino w Trattoria Lucana. W menu tej karczmy ma nawet swoje dania – fettuccine alla campagnola „Dedicate a Mel Gibson", makaron z grzybami lub muszlami z dodatkiem pomidorów, cebuli, rukoli i oczywiście pepperoni. W trattorii wiszą zdjęcia kucharza Gigiego Sanrocco gotującego z Melem Gibsonem. Inne znane gwiazdy piły wino i jadły w niezliczonych restauracjach na Piazza San Pietro Caveoso obok przepięknego kościoła św. Piotra z 1218 r., który stoi na wysokiej skale. To stąd możni tego świata, oparci o kamienny murek, oglądają wąwóz z jaskiniami dawnej biedoty i wzdychają: „Jak musiało być im ciężko".

Krajobraz Matery nawet nocą zachwyca swą urodą. Po zmierzchu kamienne białe miasto jest niewiarygodnie oświetlone. Romantyczny widok, iście z pocztówki, rozpościera się z wielu zakątków – wszędzie jest tu pięknie. Nic dziwnego, że James Bond uznał, iż nie czas umierać.

eprasa.pl c67ab20c39

KLAUDIA CARLOS*

Fantastyczne podróże i ważne spotkania

Miastem, z którego wyszłam i do którego chętnie wracam, które jest mi bliskie, jest Poznań. W świat ruszyłam z zespołem „Mazowsze". Kilka lat temu rodzinne szlaki zaprowadziły mnie aż do Uzbekistanu. Dzięki nim wciąż też odkrywam Portugalię.

Pochodzę z Poznania, z Jeżyc. To magiczne miejsce, kojarzące się oczywiście z „Jeżycjadą" i sagą rodziny Borejków. Od małego znam drogi bohaterów opisane w powieściach Małgorzaty Musierowicz. Łączy się z nimi bliskie mi przeświadczenie, że najważniejsze jest to, co wynosimy z domu – bezpiecznej, rodzinnej przystani.

Z Poznania powędrowałam do Warszawy, a właściwie do mieszczącej się w jej sąsiedztwie siedziby Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze". Trafiłam do Karolina po ukończeniu szkoły baletowej w Poznaniu. I zaczął się dla mnie czas ważnych doświadczeń, a także fantastycznych podróży. I takich też spotkań, przede wszystkim z wybitnymi artystami: Mirą Zimińską-Sygietyńską i Witoldem Zapałą, choreografem, który stworzył niemal trzy czwarte pozycji repertuarowych zespołu, w których miałam przyjemność tańczyć. Wiele też rozmawialiśmy na temat tańca. Kiedy pisałam doktorat [bohaterka ma tytuł dr. hab sztuk muzycznych – przyp. red.], gdy zostałam wykładowcą akademickim, te rozmowy poszerzyły się o inne spektra: muzykologię, plastykę i scenografię.

Dwie najbardziej zapamiętane trasy, w które ruszyłam z „Mazowszem", prowadziły przez USA i Kanadę. Wyjechaliśmy po świętach Bożego Narodzenia i wróciliśmy dopiero na Wielkanoc. Trzy i pół miesiąca w drodze. To był początek lat 90. ub.w. W Polsce nie było nic, więc te Stany i Kanada zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Nowy Jork, Filadelfia, Atlanta i potem na zachód przez stany Wyoming, Utah, Nevada, do Kalifornii. Dotarliśmy do San Francisco, Los Angeles, Las Vegas, potem na Florydę... To był genialny czas nauki, spostrzeżeń, jak może być gdzie indziej.

Na długo została też we mnie podróż do Japonii. Przemierzyliśmy ten kraj od Okinawy po Sapporo. Genialne półtora miesiąca. Spotkania z ludźmi z fantastycznej i tak odmiennej kultury oraz tradycji, ale jakże wrażliwymi na naszą muzykę. Próbowali nas przekonać, że „Szła dzieweczka do laseczka" jest piosenką japońską, więc śpiewali ją po japońsku. Nasze kostiumy zrobiły na nich ogromne wrażenie.

Przygoda z „Mazowszem" skończyła się po pięciu latach. To był bardzo intensywny czas, także z prywatnego punktu widzenia – w zespole poznałam męża. Następnie przez wiele lat byłam związana z Warszawską Operą Kameralną. Przejście z folkloru do muzyki klasycznej i współczesnej było fascynujące.

Już nie zawodowo, a prywatnie, ogromnie przeżyłam podróże związane z poszukiwaniem śladów mojego pradziadka, który w 1939 r. uczestniczył w kampanii wrześniowej, znalazł się na wschodnich rubieżach Polski, potem został przeniesiony do obozu w Równem i ślad po nim zaginął. Po czterdziestu paru latach dowiedziałyśmy się – bo to babcia jako jego córka była największą orędowniczką poszukiwań – że trafił do armii Andersa, niestety zmarł w miejscowości Szachrisabz w Uzbekistanie.

Osiem lat temu wyruszyłam z synem śladami ostatniej drogi pradziadka. Odnaleźliśmy odnowiony przez polskie władze wojskowy cmentarz, na którym go pochowano. Zapaliliśmy świeczkę, zostawiliśmy biało-czerwoną flagę. Dla syna to była żywa lekcja historii. Polecieliśmy do Taszkentu. Po drodze odwiedziliśmy też Bucharę i Samarkandę, ale istotą był cmentarz.

Mój tata ma portugalskie korzenie. Portugalia to kraj, który ciągle poznaję. Doświadczenie związane z „Mazowszem", zagłębianie się w świat muzyki, a także to, co przynosi życie, sprawia, że odkrywam dla siebie również muzykę fado. Trafiającą do głębi, do serca.

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Prezenterka PNŚ, prof. Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina*

Fot. TVP

eprasa.pl c67ab20c39

SŁODKO-SŁONY

Pieczone buraczki

ANNA MONICKA

Złote buraki to moje tegoroczne odkrycie – znalazłam je w czasie zakupów na straganie. Pięknie pokrojone w talarki i ułożone na półmisku przypominały dorodne grejpfruty. „Koniecznie proszę je spróbować, bo są słodsze, delikatniejsze od tych zwykłych i pozbawione ziemistego posmaku. Wychodzi z nich wspaniały, żółty kwas buraczany, są świetne do smoothie. A co najważniejsze – nie brudzą rąk ani desek do krojenia" – zachęcała mnie sprzedawczyni. Bez problemu dałam się przekonać, dołączyły do wielkiego kosza pełnego warzyw, który ledwo doniosłam do bagażnika.

W domu nastąpiła degustacja – najpierw na surowo. Ich słodycz rzeczywiście była inna, jakby pełniejsza. Ale prawdziwy smak ujawnił się dopiero po upieczeniu. Pokrojone w ćwiartki wylądowały na blasze (w wyszorowanych skórkach) wśród plastrów dyń nelson i hokkaido, marchewek, pietruszek oraz pokrojonej na steki kapusty. Do tego kilka ćwiartek czerwonej cebuli i parę główek czosnku – razem z łupinami. Dla kontrastu dorzucam jeszcze dwie garście koktajlowych pomidorków, a czasem połówki brukselek, plastry ziemniaków czy batatów. Załadowana warzywami głęboka żeliwna brytfanna została najpierw lekko posypana solą i cynamonem, a potem skropiona oliwą i octem jabłkowym (polecam Dębski ze starych odmian – dzięki dwuetapowej, trwającej rok fermentacji ma wyjątkowy zapach, smak i kolor, jest świetny nawet do picia po rozcieńczeniu ciepłą wodą), a gdzieniegdzie także syropem z daktyli. Po mniej więcej 30 minutach trzeba warzywa ostrożnie poprzewracać i jeszcze trochę dopiec.

Pieczyste zajadamy zwykle od razu. Warzywa rewelacyjnie komponują się z różnymi ugotowanymi na sypko kaszami. Najbardziej lubimy niepaloną gryczaną, ale niezły jest także pęczak albo ryż basmati. Złote buraki zdecydowanie wyróżniały się nie tylko smakiem, lecz także konsystencją. Zachwycona córka uznała, że przypominają jej nieco żelki lub galaretki i zawzięcie tropiła je w plątaninie kapuścianych liści i korzeni marchewki. Nic nie straciły podgrzane następnego dnia na patelni. Jeśli zauważycie je u jakiegoś rolnika na bazarze, bierzcie bez wahania.

Fot. Shutterstock, archiwum prywatne Monicki

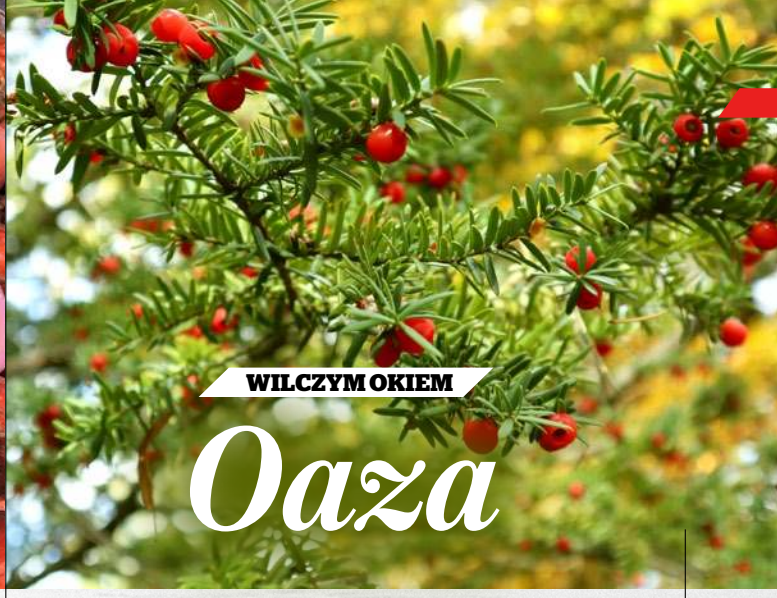

WILCZYM OKIEM

Oaza

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Parę dni temu byłem na cmentarzu. Jest położony wśród pól, nieduży i bezdrzewny. Zostały tylko trzy żywotniki i dwa nieduże świerki przy wejściu. Trawa, tam gdzie jeszcze rośnie, jest utrzymywana bardzo krótka, alejki wyłożone kostką. Większość grobów murowana.

Groby dziadka i jego sióstr są jednym z coraz mniej licznych wyjątków i tworzą małą oazę. Rośnie przy nich gęsty i rozłożysty jałowiec – oczywiście polski jałowiec pospolity (*Juniperus communis*). Mają obmurówkę wypełnioną ziemią, w której gęstą skupiną rosną różne rośliny. Lata temu szczególnie dobrze przyjęły się konwalie majowe, co roku odbijające z kłączy.

Podczas drobnych prac porządkowych z roślinami (z naciskiem na „drobnych") w obrębie każdego z grobów znalazłem mnóstwo ślimaków wstężyków ukrytych w gęstwinie, bo dzień był słoneczny. W sezonie letnim jest to także kryjówka jaszczurek zwinek i zapewne ich łowisko, na którym korzystają z obfitości bezkręgowców zamieszkujących tę niewielką powierzchnię.

W obrębie coraz mniej zielonej i nadmiernie uporządkowanej przestrzeni, gdzie nawet źdźbło w szczelinach kostki jest traktowane jako niepożądane i niezwłocznie usuwane, porośnięte roślinami groby z krzakiem jałowca tworzą ostoję kurczącej się różnorodności gatunkowej.

Cmentarz nie musi być miejscem, mówiąc ogólnie, wybetonowanym. Przeciwnie. Ze względu na swój charakter przestrzeni, którą traktuje się z szacunkiem, powinien też pełnić funkcje przyrodnicze. Modlitwa jest oczywiście najważniejsza.

Czy jednak zamiast spalania plastiku i różnych mieszanek w zdecydowanie zbyt dużej ilości zniczy lepszą ozdobą i wyrazem miłości nie byłaby zieleń i przyroda?

Może nie każda alejka musi być wyłożona kostką. Można pozwolić trawie, żeby wyrosła nieco dłuższa, przynajmniej w zakątkach położonych na uboczu. Byłoby wspaniale, gdyby cmentarz, nawet jeżeli nie będzie parkiem (chociaż dlaczego nie?), miał chociaż aleję dużych drzew.

A nawet jeśli się to nie uda, każdy może posadzić krzew. Nie zagraża grobom, nie zajmuje dużo miejsca. Krzew rodzimy, np. wspomniany jałowiec pospolity, cis pospolity (nie cis pośredni, najczęstszy w szkółkach), tarnina, łatwy do cięcia grab, dzika róża. W formie bujnej i gęstej, dającej szansę na założenie gniazda przez kosa czy pokrzewkę.

eprasa.pl c67ab20c39

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zmagania z trzecią władzą

Nie zdajemy sobie sprawy z zagrożenia, które wiąże się dzisiaj z uprawianiem uczciwego dziennikarstwa. Ostatnie wydanie pisma „Forum" Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zawiera przykłady, które nawet mnie, także swego czasu targanego przez sądy, wręcz porażają. Jest gorzej, niż można było się spodziewać i zgadzam się z Michałem Jaszewskim, doradcą prawnym SDP, że „nasze sądownictwo nigdy nie wyszło z tej choroby, którą był komunizm". Ale po kolei i w bardzo dużym skrócie.

Redaktor Sebastian Moryń nazwał w swoim felietonie tzw. Obywateli RP, którzy protestowali przeciwko zmianom wysokości ubeckich emerytur, blokując samochód z ministrem Ziobro, ludźmi broniącymi przywilejów esbeków i ubeków. Nie padły żadne nazwiska ani wulgarne słowa. Po czterech latach prywatny akt oskarżenia 20 tzw. Obywateli doczekał się pełnej akceptacji w sądach dwóch instancji i redaktor został skazany na zapłatę kary w wysokości prawie 70 tys. zł. Gdyby nie pomoc życzliwych ludzi za pośrednictwem portalu Zrzutka.pl i Fundacji Niezależne Media, dziennikarz nie wyszedłby z długów. Zmiana władzy spowodowała wysyp spraw sądowych – zauważa redaktor Anita Gargas. Licząc na przychylność sądów, ludzie wyciągają sprawy sprzed lat, chcąc się odegrać na dziennikarzu. Jako rekordzistka (ponad 20 spraw karnych i cywilnych w toku) upomina się jednak o sprawiedliwość dla swoich kolegów.

Chodzi o Mateusza Teskę, który został skazany za to, że ośmielił się wysłać pytanie rzecznikowi prasowemu sądu dotyczące jednej z sędzi w stanie spoczynku. Ta sprawa jest naprawdę kuriozalna. Nie było żadnego artykułu, programu radiowego czy telewizyjnego – był tylko jeden e-mail, wysłany nawet nie do sędzi, ale do instytucji, z którą była ona związana. Nigdzie nieupubliczniony. Redaktor zbierał jedynie informacje. Sędzia poczuła się zniesławiona i wytoczyła sprawę karną. W pierwszej instancji doszło do umorzenia, ale w drugiej nastąpiło skazanie dziennikarza na podstawie art. 212 kk, konkretnie na dwa miesiące ograniczenia wolności w postaci 80 godzin prac społecznych.

Więcej szczęścia miał redaktor Wojciech Biedroń. Wygrał trzy sprawy z art. 212 kk, choć ostrożnie zauważa, że są one tylko „najprawdopodobniej" zakończone. Wraz z redaktorami Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą opisywali fundację Otwarty Dialog Ludmiły Kozłowskiej i Bartosza Kramka, której interesy w Polsce wiązały się z Rosją.

Dramatycznie zakończyła się 18-letnia praca redaktor Agnieszki Romaszewskiej-Guzy, założycielki i szefowej TV Biełsat. Najpierw dostała typowe pracownicze wypowiedzenie, a jak się nie zgodziła na trzyletni, a nawet roczny „knebel", czyli całkowity zakaz wypowiadania się o telewizji, i po stwierdzeniu, że przegrała zawartość swojego komputera, otrzymała zwolnienie dyscyplinarne. Sprawa trafi do Sądu Pracy, ale to nie koniec, gdyż neo-TVP oskarżyła Romaszewską, że ze swoimi współpracownikami sprzeniewierzyła 7 mln zł, z tego 5 mln zł sama ukradła. W ten sposób upadła TV Biełsat. Nikt już nie będzie bronił 16 dziennikarzy – współpracowników stacji więzionych przez reżim Łukaszenki.

Za nazwanie pana Wielińskiego z „GW" Volksdeutschem (wcześniej Wieliński w rozmowie z niemieckim dziennikarzem stwierdził, że w Polsce nazwą go Volksdeutschem) Rafał Ziemkiewicz został skazany przed sąd na podstawie z art. 212 kk. Przewiduje on karę ograniczenia wolności, w tym przymusowych prac społecznych. Skazany nie musi przepraszać pokrzywdzonego, a ten czerpie satysfakcję z upokorzenia i ośmieszenia sprawcy. Można być skazanym także za cytowanie słów sędzi z uzasadnienia wyroku. Spotkało to Agnieszkę Siewiereniuk-Maciorowską. Opisała pewną organizację, która poczuła się zniesławiona. Redaktor otrzymała wyrok zakazujący mówienia o tej organizacji przez dwa lata. Nie mogąc się publicznie wypowiadać, zgodnie z wyrokiem sądu zacytowała w mediach fragment uzasadnienia orzeczenia wyroku. I to właśnie doprowadziło do kolejnej sprawy karnej, gdyż sędzia poczuła się pomówiona za słowa, które wcześniej sama wypowiedziała. W wyroku pierwszej instancji sędzia z Iustiti orzekł, że redaktor wyrażając własne zdanie, ma obowiązek zaprezentować także zdanie innych, bo wymaga tego rzetelność dziennikarska. Czyżby miał się sam oskarżać?

Przedstawiłem zaledwie cząstkę spraw opisanych w Forum SDP. Na zakończenie trzeba koniecznie wyrazić słowa uznania dla Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP za obronę wolnych dziennikarzy zmagających się z trzecią władzą w swojej codziennej pracy. Prawnik SDP, analizując orzeczenia skazujące dziennikarzy z art. 212, zauważa, że mamy tu do czynienia ze złamaniem zasady domniemania niewinności. Jak twierdzi, jest to zjawisko marksizmu kulturowego. Dziennikarz ma odstąpić od własnych poglądów, zaprzeczyć im, wpisując się w polityczną poprawność, a najlepiej zamilknąć, choć w dzisiejszym świecie to także nie chroni przed karą. Adam Smith-Connor, weteran brytyjskiej armii, został skazany na dwa lata w zawieszeniu za modlitwę w myślach, w ciszy, przed zakładem aborcyjnym.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Nadzieja w rosputicy

Andrzej Rafał Potocki

W obwodzie kurskim, opanowanym w dużym stopniu przez Siły Zbrojne Ukrainy (SZU), walka trwa. Żołnierze 36. Brygady Piechoty Morskiej (tej z Mariupola), którzy w Lubimowce koło Kurska zostali otoczeni przez Moskali, przez radio nadali komunikat, który podczas wojny w Wietnamie nosił nazwę „Broken arrow!" („złamana strzała"). Po naszemu to decyzja dowództwa o ściągnięciu ognia własnej artylerii na swoje pozycje. „Bratni ogień" zniszczył napastników, a marines z 36. brygady przeżyli, zgarniając po drodze podczas udanego odwrotu rannych i maruderów. Powoli daje o sobie znać rosputica – potworne błoto. Pogoda się załamuje, a z nieba zaczynają lać strugi deszczu. Do nadejścia mrozów Moskal przestanie atakować, bo nawet czołg może się zakopać i ryć brzuchem po ziemi. W międzyczasie Tryzuby wgryzą się w teren i umocnią pozycję. Bóg jeden wie, kiedy nadejdą mrozy, ale Kijów zyskuje miesiąc, może nawet dwa spokoju, a potem się zobaczy. Nie będzie łatwo. Widać, że jest szansa utrzymać zdobyty teren – bardzo dobrze.

Na południowym wschodzie sytuacja z lekka się poprawia. Pod Kupiańskiem Moskale dotarli do rzeki Oskił we wsi Kruglanówka, po czym zostali odepchnięci od brzegu przez komandosów HUR (wywiad wojskowy) i spadochroniarzy z 77. brygady. Sami sobie to trochę zafundowali, niszcząc most na Oskilu. Ukraińcy, nie mając się dokąd wycofać, zaatakowali. Pod Czasiw Jarem Moskale próbują obejść twierdzę od południa. Odbite kilka tygodni temu tereny koło Nielipówki zostały ponownie zajęte przez Ruskich. Najważniejszy obecnie kierunek, czyli tzw. pokrowski, ma odciągnąć siły ukraińskie. W rzeczywistości główne natarcie idzie tak, jak przewidywaliśmy, na Sełydowe i na południe od niego. Celem jest granica obwodu donieckiego w Horichowem. Pogoda również płata tam figle i atak zaczyna iść jak przysłowiowa krew z nosa. Między Konstantynówką a Wuhłedarem front w zasadzie stanął. Po zajęciu tego miasta Moskale nie ruszyli za ciosem, co sugeruje, że po prostu nie mają na to dość sił. Bojec ze zmasakrowanej po raz kolejny rosyjskiej 155. Brygady Piechoty Morskiej zeznał, że brygada została odtworzona z najgorszych mętów z rosyjskich kolonii karnych (osadzeni poddani najostrzejszemu reżimowi). I tyle w sprawie „niewyczerpanych zasobów Rosji". Widać, że zanosi się na zatrzymanie natarcia kacapów i stronom pozostanie jesienne okładanie się dronami.

Póki co miała miejsce udana zasadzka Tryzubów na Moskali. Na oficjalnym koncie Ministerstwa Obrony Ukrainy pojawiło się nagranie z akcji na froncie. Wystarczyło właściwie użyć trzech zachodnich typów broni, by odnieść spektakularny sukces. Na początku amerykański bojowy wóz piechoty M2 Bradley rozpoczyna ostrzał kacapskich pozycji. W tym samym momencie ukraińska załoga w czołgu Abrams M1 przechodzi do ataku z innej strony. Następnie do akcji wkracza niemiecki Leopard 2, który uderza w nadjeżdżający konwój rosyjskich pojazdów. Wówczas dochodzi do pojedynczych eksplozji, którym towarzyszą kule ognia i kłęby siwego dymu. W przerobieniu konwoju na kupę złomu udział wzięli również żołnierze z 33. i 47. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej. Obie jednostki uczestniczą w ukraińskiej kontrofensywie. Ich celem jest odzyskanie terytoriów, głównie w regionach Doniecka i Zaporoża, które pozostają intensywnie bronione i okupowane przez siły rosyjskie.

A w matuszce Rosji po staremu. Trwa pranie mózgu przedszkolakom. Tym, które wstąpiły do Hitlerjugend – sorry, do Junarmii (paramilitarna organizacja dziecięca). Ostatnio młody narybek spotkał się z bojcami, a ci zaprezentowali mu makietę ruin Bachmutu. Z tak uczonych dzieci raczej nie mają prawa wyrosnąć normalni ludzie. A w stolicy nieopodal Kremla zuchwale maszerują starsi. Czarne flyersy (kurtki niby-lotnicze), skóry, ręce wzniesione na „Heil!" i bannery: „Słowiańska siła!", „Russkij mir" i najlepsze: „Za naszą i waszą wolność". W stolicy kraju, chcącego denazyfikować cały świat, czyli w Moskwie, paradują rosyjscy neonaziści...

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c67ab20c39

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kłamstwo w pełnej podaży

Aleksander Nalaskowski

Bodaj żadne pojęcie nie zdewaluowało się tak jak prawda. Doszliśmy do punktu, w którym kłamie się bezczelnie i patrząc prosto w oczy, przekonując, że mówi się prawdę. Prawda bywa niewygodna, niepolityczna, a jeszcze częściej niezgodna z jakąś „prawdą czasu". Było to doskonale widać w przemówieniu Donalda Tuska, który po wysłuchaniu głosu prezydenta zachowywał się tak histerycznie jak diabeł, na którego spadły krople wody święconej. W swoim kontrprzemówieniu Tusk nie używał konkretów. Rzucał emocjami, z trudem panował nad głosem, a analiza tego, co powiedział pokazała, że była to czysta i beztreściowa, ale za to bardzo emocjonalna narracja. Pustosłowie i wielkie merytoryczne nic.

Kłamstwem wcielonym w czyn są mieszkaniowo-skarbowe kombinacje Myrchów. Dodatkowo jeszcze rzuca na nie cień wyjątkowy tupet i cynizm. Jak znam życie, jedyną karą będzie zaprzestanie wypłacania im dodatku mieszkaniowego przysługującego posłom. Ciekawa kara. To tak, jakby zabronić złodziejowi za karę kraść. O zwrocie niesłusznie zagarniętych kwot nikt nie wspomina. Dodatkowo koniecznie trzeba zauważyć, że dochody posłów z racji sprawowanej funkcji (a do tego jeszcze wypłaty za zasiadanie w komisjach, zespołach, prowadzenie biura itp.) są o dwa nieba wyższe niż dochody przeciętnego ojca polskiej rodziny. Sądzę, że przypadek spółki Gajewska & Myrcha to tylko wierzchołek góry lodowej. Ciekawym, czy odbędzie się jakiś audyt ujawniający prawdziwą skalę tego parlamentarnego oszustwa.

Kłamstwem jest nie tylko to, co powiedziano czy pokazano, lecz także to, co przemilczano i ukryto

Wielkim kłamstwem jest upowszechniana przez mainstream narracja w sprawie ks. Olszewskiego. Na tym kłamstwie polega jego (i dwóch urzędniczek) kara więzienia – bez wyroku, bez procesu. Najpierw nakłamano, a później duchownego zamknięto. A najgorsze, że jesteśmy wobec tego bezradni.

Blagą jest cały Trzaskowski, pozorowany włodarz Warszawy. W tym człowieku jest, wbrew oficjalnym doniesieniom, jedynie własne lenistwo i udawanie troski o stolicę. Kto się jeszcze nabiera na to kłamstwo? Warszawiacy mają, co chcieli. Chcieli kłamstwo, mają kłamstwo.

Kłamstwem jest prześladowanie gejów w Polsce. Starannie opakowane przez Staszewskiego, zostało łyknięte przez Europę jak śledź przez fokę.

Kłamstwo szerokim strumieniem wylewa się z TVP. Już nikt na to nie reaguje, bo prawie nikt nie ogląda państwowych stacji. Tam, gdzie jest wybór, ludzie wybierają sprawdzonych nadawców, którzy przekazują obraz mniej więcej prawdziwy. Bo czy do końca – trudno na co dzień zweryfikować. Zacięcie propagandowe jest w każdym medium.

Kłamstwem jest nie tylko to, co powiedziano czy pokazano, lecz także to, co przemilczano i ukryto. Mieliśmy tego próbkę w trakcie niedawnej powodzi. Mieszkańcy zalanych terenów mówili coś zupełnie innego, niż pokazywały oficjalne media. W tej chwili przekaz o powodzi został niemal zupełnie wygaszony, chociaż ludzkie tragedie się nie skończyły, a pomoc powodzianom w wielu miejscach ewidentnie kuleje.

Nieprawdą jest „uśmiechnięta Polska". Chyba że dostrzeżemy głupawy uśmieszek Brejzy, Schetyny czy Kierwińskiego. Ten ostatni zasłynął kłamstwem o wysokoprocentowym pogłosie w wystąpieniu do strażaków.

Nieprawdą było „zasłabnięcie" Giertycha, który bryluje wśród siewców kłamstwa, trollingu i hejtu. Skonstruował cały przemysł fałszu i ma się dobrze. A jakby co, to zawsze może wyjechać do Włoch.

Nie tak dawno minister edukacji powiedziała, że kłamstwo jest na każdej stronie wycofanego podręcznika do historii i teraźniejszości autorstwa Wojciecha Roszkowskiego. Głowę dam, że nie przeczytała tego podręcznika. Nie wygląda i nie zachowuje się tak, jak osoba, która umie czytać. Bo gdyby umiała i czytała, wiedziałaby, że ów podręcznik może być przykładem znakomitego i nowoczesnego pisarstwa podręcznikowego i wzorowego odtwarzania faktów. Mówiąc o kłamstwach z tego podręcznika, Nowacka po prostu kłamała. To było kłamstwo o kłamstwach.

Kłamstwo doczekało się licznych eufemizmów. Chamskie fałszowanie rzeczywistości bywa zatem „nadinterpretacją", „mijaniem się z prawdą", „półprawdą" czy „fikcją". Tymczasem kłamstwo to po prostu kłamstwo. I już!

Znajomy sztygar z Mikołowa powiedział mi kiedyś, że „w telewizji tylko mecze futbolowe są pokazywane prawdziwie, a reszta to cygaństwo". I pewnie miał sporą rację.

Kłamstwo demoralizuje. Demoralizuje kłamcę, to oczywiste. Degeneruje jego ego i postawę moralną. Ale kłamstwo degeneruje też okłamywanego, bo traci on zaufanie do otoczenia. Z czasem z wielkim trudem oddziela ziarno od plew, ale na końcu tej ścieżki zawsze jest zobojętnienie i utrata resztek zaufania do ludzi. To wbrew pozorom bardzo poważna choroba, na którą chorują miliony Polaków skazanych na skrajnie różne przekazy medialne i powtarzane jak mantra kłamstwa polityków we wszystkich bodaj kwestiach. To jeden z wymiarów kosztów, które poniesiemy za nieprzytomnie nierozsądny wybór sprzed roku.

eprasa.pl c67ab20c39

Michał Korsun prezentuje:
„Klocek w stolicy", czyli Muzeum Sztuki Nowoczesnej

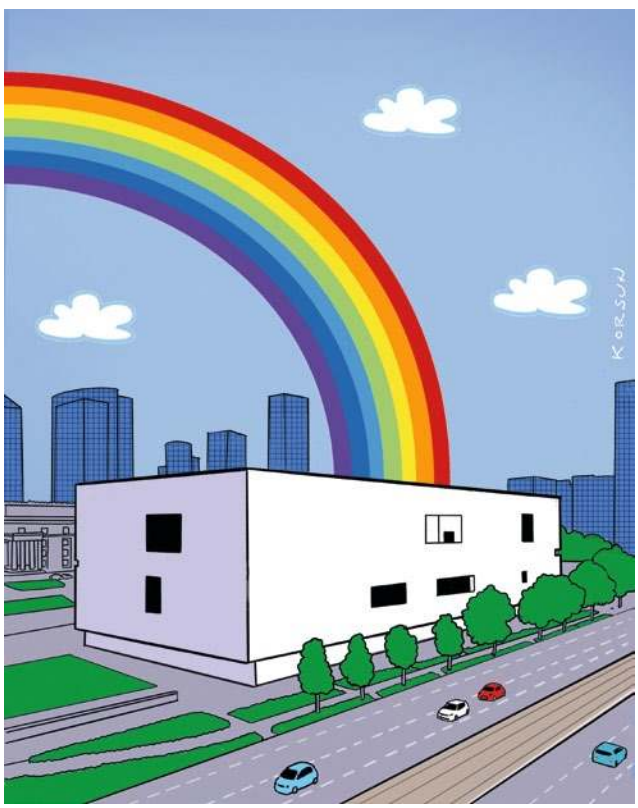

Wycinki z przeszłości

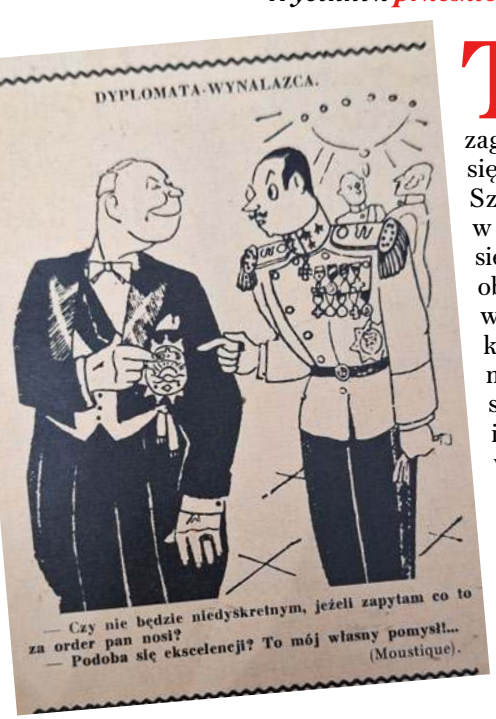

Ten rysunek satyryczny (przedruk z prasy zagranicznej) ukazał się w magazynie „Na Szerokim Świecie" w 1938 r. Dziś wydaje się znowu aktualny, bo obecna władza wysyła w świat dyplomatów, którzy poza dyplomami moskiewskich szkół nie mają wielu innych powodów do wypinania piersi. Nie wszyscy, nie zawsze – ale na tyle często, by się zaniepokoić, w jaką stronę wszystko to zmierza.

(mk)

Z WOLEJA

Jak zachód Moskwę bojkotował

Ryszard Czarnecki

Wzeszły czwartek minęło równo pół wieku, gdy na 75 sesji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego rozstrzygnięto, kto ma być gospodarzem XXII Letnich Igrzysk Olimpijskich. Wybór był bardzo polityczny, bo rywalizował Zachód i Wschód, USA i ZSRR, Los Angeles i Moskwa. Wybrano stolicę Związku Sowieckiego. Amerykanie zacisnęli zęby, aby po blisko sześciu latach wystawić ojczyźnie komunizmu rachunek: po agresji Sowietów na Afganistan w 1979 r. wezwali do bojkotu moskiewskich igrzysk.

Nie był to pierwszy polityczny bojkot IO: ten nastąpił tuż po II wojnie światowej, gdy... ZSRR zbojkotował igrzyska w Londynie AD 1948. Z kolei 16 lat później Chiny zbojkotowały Igrzyska w Tokio, podkreślając okrucieństwa japońskiej okupacji swoich ziem podczas II wojny światowej. W 1976 r. spora część państw Afryki zażądała wyrzucenia z IO w Montrealu Nowej Zelandii, której reprezentacja w rugby ośmieliła się zagrać mecze z RPA, ojczyzną apartheidu. MKOl nie dał sobie wejść na głowę, nie usunął kraju z Oceanii, a państwa Czarnego Lądu się podzieliły – część wystąpiła na IO w Kanadzie, a część nie.

Zachód zbojkotował moskiewskie igrzyska dość skutecznie – nie wzięły w nich udział aż 63 państwa, a uczestniczyło niewiele więcej, bo 81. Ciekawe, że bojkot połączył Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabię Saudyjską z... Izraelem, a komunistyczną Albanię z antykomunistyczną Koreą Południową. Wiele państw Zachodu się jednak wyłamało. Były to m.in.: Austria, Belgia, Dania, Holandia i oczywiście Francja, która także i tu nie chciała amerykańskiego dyktatu, oraz Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania i Włochy. Większość z tych krajów wysłała do Moskwy sportowców pod flagą olimpijską, pod własnymi wystąpiła Hiszpania, Portugalia i Nowa Zelandia.

Paradoksalnie mimo słabszej niż zwykle konkurencji, Polska zdobyła tylko 3 złote medale, co dało nam 10. miejsce w klasyfikacji medalowej. Jednak medali zdobyliśmy najwięcej w historii, bo aż 32. Tylko trzy kraje: ZSRR, NRD i Bułgaria, zdobyło ich więcej niż my. Do historii polskiego sportu weszli tyczkarz Władysław Kozakiewicz, który pobił rekord świata, a gwiżdżącym sowieckim kibicom pokazał rękę zgiętą w łokciu, Bronisław Malinowski, wygrywając bieg na 3 km z przeszkodami, na ostatnim okrążeniu odrabiając kilkadziesiąt metrów do biegacza z Tanzanii, oraz Jan Kowalczyk, który jako pierwszy (i ostatni) Polak wygrał na IO jazdę konną.

A po czterech latach Wschód zbojkotował igrzyska w USA.

eprasa.pl c67ab20c39

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Kupa mięsa nie razi sztucznej inteligencji

Zapytaliśmy Copilota (ChataGPT-4 z nakładką Binga Microsoftu), co sądzi o tym filmie. Co nam odpowiedział?

Horrory to nie nasza bajka. To rodzaj kina, którego nie oglądamy. Nie śledzimy, jakiego typu horrory są obecnie na fali. Niedawno okazało się, że zupełnie nie znamy skali makabry, którą ludzie aktualnie się straszą. No właśnie – czy to widzowie sami się straszą?

NAPOMNIENIE SOCJOLOGICZNE?

Może to po naszej stronie coś w rodzaju socjologicznego zaniedbania. Przecież co jakiś czas oferujemy tu felietonowe minidiagnozy kondycji dzisiejszej ludzkiej cywilizacji. Piszemy zatem o horrorze, gdyż nieoczekiwanie w tym właśnie temacie dostaliśmy szybkie korepetycje w e-mailu. Autor listu uprzedza, że pisze w nietypowej sprawie:

„Wczoraj byłem w kinie na obrzydliwym horrorze »Terrifier 3«. Film jest obecnie wyświetlany w polskich popularnych kinach.

Film jest makabryczny. Totalna rzeź. Flaki fruwające po ekranie, rąbanie ludzkiego ciała siekierą, pokazywanie szczegółowe cięcia ludzkiego ciała piłą spalinową itp. Mam 35 lat. Byłem na tym filmie trochę przypadkowo i jestem wstrząśnięty, że coś takiego przeszło cenzurę i jest pokazywane w kinach. Widziałem różne horrory, ale czegoś takiego nigdy. Według mnie film niszczy psychikę młodzieży, a nawet ludzi dorosłych. A FILM JEST DOZWOLONY OD 15 LAT!!!! Pytam, jak to możliwe? Gdzie są psycholodzy w tym kraju?

Poza makabrą film jest ewidentną kpiną z naszej cywilizacji i świąt Bożego Narodzenia. Sceneria to czas świąt, a morderca dokonuje mordu w stroju świętego Mikołaja.

Bardzo proszę o jakieś działanie. [...] Tego typu zjawiska, podobnie jak całkowita dostępność pornografii »na kliknięcie« dla dzieci i młodzieży, całkowicie niszczy nasze społeczeństwo".

HULAJ DUSZA, POPKULTURA

Zrobiliśmy szybki przegląd internetu. Oficjalny opis horroru „Terrifier 3" na stronie Filmweb mówi, że to „trzecia odsłona krwawego slashera, który porwał rzesze wielbicieli horrorów i sprawił, że klaun Art wszedł do panteonu największych zwyrodnialców popkultury". Co ciekawe, wśród komentarzy widzów jest niemało opinii w duchu obywatelskich refleksji, jak te z cytowanego przez nas listu. Po ich lekturze aż trudno uwierzyć, że tak obrzydliwy film może mieć rzesze fanów... Dla nas już samo obejrzenie zwiastuna wymagało samozaparcia. Jak chorą trzeba mieć wyobraźnię, by propagować takie obrazy?

Film faktycznie jest dozwolony od 15 lat i wygląda na to, że w Polsce wciąż toczy się dyskusja o zasadności ustalania kategorii wiekowych dla widzów, ale nie ma jednego podmiotu, który określa te granice. Często robią to sami dystrybutorzy na podstawie różnych opinii. Media podają, że w weekend otwarcia w Polsce „Terrifier 3" został obejrzany przez niemal 140 tys. widzów, stając się w kinach numerem jeden.

BRAKUJE GŁĘBI, ALE DUŻA DBAŁOŚĆ O SZCZEGÓŁY

Gdy zapytaliśmy Copilota (ChataGPT-4 z nakładką Binga Microsoftu), co sądzi o tym filmie, odpowiedział: „Recenzje są mieszane. Z jednej strony film jest chwalony za efekty specjalne i charakteryzację, które są na bardzo wysokim poziomie. Z drugiej strony niektórzy krytycy uważają, że fabuła jest nieco chaotyczna i brakuje jej głębi".

A gdy spytaliśmy: „Co jest fajnego w tym filmie?", to odparł:

„1. Brutalność i efekty specjalne: film jest znany z ekstremalnej przemocy i krwawych scen, które są wykonane z dużą dbałością o szczegóły. Efekty specjalne są głównie praktyczne, co dodaje realizmu i intensywności.

2. Czarny humor: mimo makabrycznych scen, film zawiera elementy czarnego humoru, które mogą rozładować napięcie i dodać nieco lekkości.

3. Rozbudowana mitologia: »Terrifier 3« rozwija historię i tło postaci klauna Arta, co może być interesujące dla fanów serii.

4. Nawiązania do klasyki horroru: film zawiera odniesienia do innych znanych horrorów, co może być gratką dla miłośników gatunku.

5. Świąteczny motyw: akcja filmu dzieje się w okresie Bożego Narodzenia, co dodaje kontrastu między radosnym świętem a makabrycznymi wydarzeniami".

ETYCZNA AI

Jakoś nie znajdujemy tu etycznego podejścia, którym twórcy AI tak potrafią się chlubić.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl c67ab20c39

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	339	121
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	dekoder Mediabox	dekod KAON
					PLAY dawniej UPC	

eprasa.pl c67ab20c39